

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

PARYŻ

Nr 5/43

1951

---



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

Cz. MIŁOSZ — Nie ★ W. GOMBROWICZ — Trans-Atlantyck  
★ P. HOSTOWIEC — Wronia i Sienna ♦ M. SOKOLNICKI —  
O wielkich błędach ostatniej wojny ♦ J. ŁOBODOWSKI —  
Korespondencja z Kraju ♦ STRATY KULTURY POLSKIEJ ♦  
ARCHIWUM POLITYCZNE ♦ NAJNOWSZA HISTORIA  
POLSKI ♦ SPRAWY I TROSKI ♦ KSIĄŻKI ♦ RESUME  
EN LANGUE FRANÇAISE



## SPIS RZECZY

Czesław Miłosz:	<i>Nie</i> .....	3
« «	<i>Poeta</i> .....	13
« «	<i>Fragment poematu „Toast”</i> .....	14
« «	<i>Młto bzykający</i> .....	15
« «	<i>Do Jonathana Swifta</i> .....	16
« «	<i>Do poety</i> .....	18
Witold Gombrowicz:	<i>Trans-Atlantyk</i> .....	19
Paweł Hostowicz:	<i>Wronia i Sienna</i> .....	42
Wit Tarnawski:	<i>Krytyka literacka na emigracji</i> .....	54



Michał Sokolnicki:	<i>O wielkich błędach ostatniej wojny</i> .....	61
Jan Librach:	<i>Stosunki amerykańsko - rosyjskie</i> .....	84

### STRATY KULTURY POLSKIEJ

Jerzy Lerski:	<i>Wspomnienie o „Bazylim”</i> .....	101
---------------	--------------------------------------	-----

### SPRAWY KRAJOWE

Józef Łobodowski:	<i>Wołania o ratunek</i> .....	108
-------------------	--------------------------------	-----

### ARCHIWUM POLITYCZNE

Bogdan Konaszewicz:	<i>List z Niemiec</i> .....	111
Juliusz Mieroszewski:	<i>List z Wyspy</i> .....	118

### SPRAWY I TROSKI

J. B.:	<i>Kronika emigracyjna z Niemiec</i> .....	125
Londyńczyk:	<i>Kronika emigracyjna z Anglii</i> .....	126

### NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

ERKA:	<i>Ostatni rozkaz Marsz. Śmigłego</i> .....	129
Jan Barański:	<i>Jeszcze o „Komitecie Siedmiu”</i> .....	132

### KSIĄŻKI

Kazimierz Zamorski:	<i>Literatura o Kołymie</i> .....	138
AV:	<i>Europejska „Humanitas”</i> .....	144
Emeryk Czapski:	<i>Perfidny Albion</i> .....	147
W. A. Zbyszewski:	<i>Dyplomacja Watykańska</i> .....	150
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i> .....	154
—	<i>Résumé en langue française</i> ..	155
Wojciech Zaleski:	<i>List do Redakcji</i> .....	160

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

PARYŻ

Maj — Mai

1951

*Numer poświęcony*

*Polskiemu Programowi*

*Radiowemu*

*Stacja W. J. L. B. Detroit, U. S. A.*

pod dyrekcją

*Eugeniusza H. Konstantynowicza — Jana Mariana Kreutzta*

INSTYTUT



LITERACKI



## Noty biograficzne autorów

Michał SOKOLNICKI, Dr fil. 1914-17. Sekretarz gen. Nacz. Kom. Nar. w Krakowie. 1919 Sekretarz gen. Delegacji Polskiej na Konferencji Pokojowej w Paryżu. 1919 radca Poselstwa w Londynie. 1920-23 Poseł R. P. w Finlandii i Estonii. 1923-30 profesor Historii Dypl. w Szkole Nauk Politycznych w Warszawie oraz Historii Powszechnej na Wolnej Wszechnicy Polskiej. 1926-31 Naczelnik Wydziału Hist.-Naukowego MSZ i wydawca kwartalnika "Sprawy Obce". 1931-36 Poseł R. P. w Danii, 1936-1945 Ambasador R. P. w Turcji.

Główne publikacje: "Les Origines de l'Emigration Polonaise en France", 1910; "Generał Michał Sokolnicki", 1912; "Sprawa Armii Polskiej", 1913; "Skrzynecki", 1914; "Polska w Pamiętnikach Wielkiej Wojny", 1925; "Czternaście Lat", 1935; "The Turkish Straits", 1950.

Czesław MIŁOSZ, znakomity poeta polski średniego pokolenia, urodził się w r. 1911. Studia uniwersyteckie odbywał w Wilnie. Jest on autorem tomów wierszy: "Poemat o czasie zastępnym" (1933), "Trzy zimy" (1936) i "Ocalenie" (1945), szeregu rozpraw i artykułów.

W czasie wojny, którą spędził w okupowanej Warszawie, wydał jako druki podziemne antologię poezji "Pieśń Niepodległa" i swój przekład książki Jacques Maritain'a "A travers le désastre" ("Drogami kłeski").

Znany jest jako tłumacz poetów angielskich, amerykańskich i francuskich. W latach 1945-1950 spopularyzował w Polsce szereg dotychczas nieznanych nazwisk literackich Anglii i krajów Ameryki.

Wit TARNAWSKI, pisarz i krytyk, ur. 1894 r., syn znakomitego lekarza, założyciela Zakładu Przyrodo-Leczniczego w Kosowie; z wykształcenia lekarz. Przed wojną zamieszczał essay'e krytyczne (podpisywane pseud. Witold Turno) w "Prosto z mostu", w "Wiadomościach Literackich", w "Przeglądzie Powszechnym" i w "Skamandrze". Autor szeregu nowel (m.in. "Historia Judyty", tygodnik "W Drodze", szkic powieściowy "Dzieje Nałęczkich", "Kultura") i studiów o J. Conradzie (najobszerniejsze z drukowanych ukazało się jako przedmowa do wydania jerozolimskiego jego powieści, r. 1945, "O stylu Conrada" w "Kulturze", 1949).

Juliusz MIEROSZEWSKI — dziennikarz i publicysta. Przed wojną współredaktor polityczny "Ilustrowanego Kuryera Codziennego" w Krakowie. W czasie wojny współredaktor "Ku Wolnej Polsce" (Tygodnik Sam. Brygady Strzelców Karpackich), "Orla Białego" i "Parady". Od 1 kwietnia 1950 londyński korespondent "Kultury".

Publikacje literackie: Trzy powieści, nowele i krytyki. Pseudonim angielski: J. Calveley.

Jan LIBRACH, urzędnik dyplomatyczny Polskiej Służby Zagranicznej, autor prac politycznych; pracował w Centrali M.S.Z. w Warszawie oraz w Genewie, Paryżu i Londynie, gdzie przebywa obecnie.

IMPRIME EN FRANCE

Imprimerie de la S.N.I.E., 32, rue de Ménilmontant, Paris (20)

## Nie

To o czym opowiem można nazwać historią pewnego samobójstwa. Jest to historia dość pouczająca i różna od opisów otrucia się z przyczyny miłosnego zawodu. Ponieważ wplątane są w nią sprawy, które zaprzatają umysły znacznej liczby ludzi na świecie, zasługuje — jak sądzę — na spisanie, chociaż dotyczy mojej osoby.

Byłem cenionym polskim poetą i tłumaczem poetów innych narodów na język polski. Tłumaczyłem między innymi Miliona, Blake'a, Burnsa, Browninga, Wordsworth'a, Whitmana, T.S. Eliota, Pabla Nerudę i krewnego mego, Oskara Miłosza. Szekspir w moim przekładzie był grany w polskich teatrach z wielkim powodzeniem. Moje nazwisko literackie było wymawiane z szacunkiem, moja kariera literacka była zapewniona. I wtedy to — właśnie dostałem korekty "Jak wam się podoba" Szekspira i pracowałem nad trzecim aktem "Otella" — nagle przeciąłem, będąc w Paryżu, moje związki z polską demokracją ludową i stałem się emigrantem, świadomy tego co to oznacza. Zrobiłem to w chwili, kiedy naśladowanie wzorów sowieckich stało się w Polsce obowiązujące dla pisarzy.

Ach, jeszcze jedna historia rozczerwanego komunisty! Niezupemnie. Kiedy w r. 1945 kraje Europy Środkowo-Wschodniej zostały podbite przez Nową Wiarę, idącą ze Wschodu, w intelektualnych kołach komunistycznych stało się rzeczą modną porównywać komunizm z pierwszym chrześcijaństwem. "The decline and fall of the Roman Empire" Gibbona rzeczywiście zasługuje na czytanie w dzisiejszych czasach i dostarcza wielu analogii. Połąć Europy, w której — dzięki zwycięstwu Armii Czerwonej — można było Nową Wiarę zaszczepić, była z gruntu pogańska, a ilość domorosłych komunistów mniej czy bardziej znikoma. Aby puścić w ruch aparaty państwowe trzeba było zrobić użytek z pogan. Dzielono ich na ogół na trzy kategorie: bezużytecznych i niepoprawnych, których należało się jak najszybciej pozbyć; użytecznych, ale ze złą przeszłością, których należało wykorzystać do czasu aż wyrosnie nowe i bardziej godne zaufania pokolenie; wreszcie "dobrych pogan", których zachowanie się zdradzało objawy "immanentnego chrystianizmu", a więc rokujących nadzieję nawrócenia. Zaliczano mnie do "dobrych pogan". Moja postawa wobec totalitarnych doktryn



szerzających się w XX wieku na prawicy była zawsze bezkompromisowa, byłem autorem szeregu utworów zwróconych przeciwko nazizmowi, które w polskim podziemiu w czasie wojny zdobyły popularność, nie ukrywałem swojej niechęci do nacjonalizmu i szowinizmu, starałem się walczyć z polskim antysemityzmem. Byłem więc "dobrym poganinem" i darzono mnie względami. W ciągu pięciu lat służyłem lojalnie mojej ludowej ojczyźnie starając się według najlepszego mego rozumienia wypełniać moje obowiązki i jako pisarz i jako attaché kulturalny w Stanach Zjednoczonych i we Francji. Przychodziło mi to tym łatwiej, że cieszyłem się iż pół-feudalna struktura Polski została złamana, że robotnicza i chłopska młodzież zapełnia uniwersytety, że została przeprowadzona reforma rolna, a Polska zmienia się z kraju rolniczego w przemysłowo-rolniczy. Poza tym mój stosunek do politycznej emigracji polskiej był co najmniej ironiczny: na kimś, kto rozumiał dynamikę przemian zachodzących w Polsce, spory kilkuosobowych stronnictw robiły wrażenie bezużytecznej zabawy, a same postacie tych polityków wyglądały na figury z wodewilu. Miałem więc powody, aby trzymać się nowej Polski zmierzającej ku socjalizmowi i tak było do czasu gdy postanowiono mnie, tak jak i innych podobnych do mnie pisarzy, ochrzcić. Wtedy powiedziałem: "Nie".

Ponieważ nie byłem jednym z wiernych, moje odejście nie pozostawiło mi tej nienawiści, jaka często pochodzi z poczucia odstępstwa i z sekciarstwa. Jeżeli sądzone mi jest zostać do końca życia poganinem, nie znaczy to, że nie powinienem starać się możliwie najlepiej zrozumieć Nową Wiarę, której hołduje dzisiaj tylu ludzi zrozpaczonych, rozgoryczonych i nigdzie indziej nie znajdujących nadziei.



Pozycja społeczna pisarza w krajach demokracji ludowej jest bardzo dobra. Pisarze w krajach Zachodu nie mogą mieć pojęcia o opiece jaką zapewniają ich kolegom państwa rządzone według zasad leninizmu-stalinizmu. Pisarz może tam poświęcić się wyłącznie pracy literackiej, która przynosi mu dochody co najmniej równe pensjom najwyższych dygnitarzy, a przeważnie znacznie wyższe. W porównaniu z zarobkami przeciętnego robotnika czy urzędnika jego zarobki są niebotyczne. Ma zwykle piękne mieszkanie, wolne od rekwizycji, bibliotekę, domy wypoczynkowe dokąd może wyjeżdżać na wakacje czy też po to, żeby tam spokojnie pisać, korzysta z licznych zniżek i udogodnień. Pieniądże na to wszystko idą z kasy państwa, w którego rękach są fabryki i kopalnie, sklepy i środki komunikacji, szkolnictwo i domy wydawnicze. Obowiązki pisarza są określone jako usługi, które winien jest on tym co go utrzymują, to jest przede wszystkim ludziom zaangażowanym w bezpośrednich procesach produkcji, a więc robotnikom i chłopom.

Przywileje pisarza są wynikiem faktu, że należycie rozu-

miana jest potęgą słowa. Potęga ta zdaje się być tym większa im bardziej płynne i podległe zmianie są warunki życia; słowo też może być chlebem. Aby działanie pisarza było skuteczne musi on jednak wyplenić w sobie skłonności do tematów, które są obce robotnikom i chłopom, jak też do używania środków stylowych zbyt trudnych dla jego odbiorców. Jest to potrzebne zwłaszcza jeżeli weźmie się pod uwagę, że zasadniczo istnieje tylko jeden rodzaj literatury, że nie ma podziału na literaturę elitarną, drugorzędną i brukową, a każdy ukazujący się utwór, czy to w prasie, czy też w państwowych firmach wydawniczych, jest z a l e c o n y czytelnikom dzięki temu, że firmuje go państwo. Los utworu rozstrzyga się więc nie po jego ukazaniu się, ale przed ukazaniem się, w labiryncie komisji wydawniczych, po którym krążą manuskrypty, dyskutowane, poprawiane, przerabiane — nieraz całymi latami.

Nie jestem szczególnie gorliwym zwolennikiem literatury rozumiałej tylko dla paru wtajemniczonych. Myślę, że to wojna, którą spędziłem w okupowanej przez nazistów Warszawie, oduczyla mnie od kultu ezoterycznych szkół literackich. Ambicją pisarza powinno być trafienie do prostych, uczciwych ludzi, którzy może nigdy nie czytali Prousta czy Joyce'a, ale których zaprzątają bynajmniej nie błahe problemy. Organizacja życia literackiego, którą przedstawiłem, nie była więc dla mnie czymś szczególnie uciążliwym. Każdy zresztą z pisarzy w krajach Europy Środkowej i Wschodniej rozumie jej wady i zalety.

Sięgnijmy jednak do spraw bardziej zasadniczych. Jeżeli pozycję pisarza w tych społeczeństwach można przyrównać do pozycji dobrze sytuowanego kapłana w cywilizacjach, których cementem była religia, to tylko słabo poinformowani mogliby go uważać za kapłana wyższego rzędu. Nazwisko jego może być drukowane wielkimi literami na pierwszych stronach pism i popularyzowane przez radio. Niemniej drży on przed tymi, którzy stoją nad nim wyżej w hierarchii, to jest przed filozofami marksizmu, stanowiącymi górę Partii (niezależnie od tego czy sam należy do Partii czy nie). Ci mędrcy traktują go z taktowną pogardą: jest użyteczny, ale jest tylko narzędziem. Co do jego publiczności, dla której pisze, to ta odnosi się do niego z mieszaniną podziwu i lekceważenia, należnego propagandyście, to jest ludziom, o których z góry wiadomo czego można od nich oczekiwać.

Pogarda mędrców dla pisarza ma głębokie uzasadnienie. Oni w i e d z ā. On jest tym, który musi tę wiedzę oblec w słowo, nauczyciela się jej. O pisarzach mówi się: "On wykazuje zrozumienie", "on się nie uczy", "on nic nie rozumie", "on robi postępy". Zakłada się, że rzecz pisarza nie jest m y ś l e ć, ale z r o z u m i e ć. Co jest całkowicie logiczne: jeżeli mamy do czynienia ze światopoglądem opartym na zasadach ściśle naukowych, brednią jest wszelkie myślenie przed-naukowe, lęgające się w ludzkich głowach, to "filozofowanie", któremu oddawali się z zapałem pisarze epok minionych. I tutaj tkwi całko-



wita i zupełna różnica pomiędzy cywilizacją, która nas duchowo wykarmiła i pomiędzy cywilizacją Nowej Wiary. Wielcy pisarze przeszłości rzadko byli za ich życia honorowani. Zdychali z głodu, wyganiano ich z republik, wyśmiewano, uważano za wariatów i maniaków. Wszyscy oni jednak *m y ś l e l i* (a myślenie rozumiem nie tylko w sensie funkcji czysto intelektualnej, ale również w sensie wizji i nadania kształtu własnym namietnościom). Rościli oni pretensję do duchowego przewodnictwa, walczyli, smagali ironią. Źródłem ich siły był ból z powodu niedoskonałości świata. Rewolta przeciwko losowi ludzkiemu była ich racją istnienia. Ponieważ Nowa Wiara jest ściśle naukową metodą usunięcia niedoskonałości świata, rola pisarza, tak jak ją znamy z historii, jest skończona. Jeżeli dawniej było miejsce na rozważania nad, dajmy na to, poglądami Dantego na rolę sztuki, czy nad bovaryzmem Flauberta, albo nad myślami Dostojewskiego — to odtąd nie do wyobrażenia są podobne zabiegi w stosunku do pisarza Nowej Wiary: treść myślowa jego utworów jest *d a n a*, można się tylko zastanawiać w jakim stopniu umiał się on posłużyć tym doskonałym instrumentem, który dostał w ręce. Pozostaje mu więc tylko obserwacja szczegółów, budowanie postaci i zręczność pisarska — a te z kolei poddane są surowym rygorom.

Wobec tego przełomu wszystkie inne zagadnienia tracą na znaczeniu. Pomiedzy treścią i formą powstaje taki stosunek jak pomiedzy pestką i miąższem brzoskwini: wie się z góry, że rozkroiwszy brzoskwinię nie znajdzie się tam złotej monety ani pierścienia. Trzeba zapytać czy prawdziwe dzieło sztuki może powstać w podobnych warunkach. Prawdziwe — nie tylko jako doskonałość artystycznego rzemiosła, ale jako siła moralna, która jest jego warunkiem. Sztuka była dotychczas rodzajem wizyjnego, szczególnego poznania rzeczywistości. Wyprzedzała nie raz świadomość zbiorową i na swój sposób odkrywała nowe prawa. Pasja sięgnięcia w teren niezbadany, poczucie wędrówki w puszczy dziewiczej były największą radością i motorem działania artysty.

Z chwilą gdy prawa zostały ustalone i wiedza o nich znalazła się w posiadaniu dialektyków z góry partyjnej, artyście pozostaje rola nadażania i uczenia się, na każdej ścieżce znajduje drogowskazy. Nigdzie nie występuje to wyraźniej niż w poezji. "Myślenie" poety jest ściśle związane z formą, poeta "myśli" rytmem i obrazami. Zracjonalizowanie poetyckiej twórczości przez poddanie mu tematu i określenie "stacji docelowej", do której poeta powinien dążyć czyni z poezji coś zupełnie innego niż to co było znane w przeszłości pod tą nazwą. Nie trzeba być zwolennikiem "poezji czystej" ani różnych odmian wiersza opartego na skojarzeniach łączonych metodą alogiczną, aby to stwierdzić. Przeciwnie, im większy głód rzeczywistości ma poeta, im bardziej pragnie iść drogą klasyków, to znaczy patrzeć, zapamiętywać, przekształcać, komentować swój materiał — tym dotkliwiej gnębi go świadomość, że wynik jego rozlicznych rów-

nań poetyckich nie zależy od jego uczuć, myśli i namietności, ale jest z góry zdeterminowany. Historia poezji znała znakomite ody na cześć wybitnych osobistości? Tak, ale sprawa nie sprowadza się tutaj do zastosowania konwencji, sięga to znacznie głębiej. Im więc głośniejsze są w tej sytuacji słowa poety, tym ciszej i słabiej bije prawdziwe i ukryte serce jego wiersza. Rozumieją to dobrze mędrzy partyjni, których nie należy posądzać o niezdolność oceny walorów artystycznych. Chcą mieć dobrych poetów, których słowo z siłą magiczną działałoby w pożądanym kierunku. I wiedzą, że jest to kwadratura koła. Poeta obdarzony siłą magiczną nie pracuje w pożądanym kierunku. Kiedy zaczyna pracować w pożądanym kierunku, traci siłę magiczną. Najlepsze utwory poetów Nowej Wiary powstały ostatnio w krajach gdzie są oni zwalczaną siłą rewolucyjną. Działały tam inne prawa psychologiczne, bo poemat rewolucyjny był zaakceptowaniem wolności, myśleniem na własny rachunek. "Wolność tajemna" poety, o której mówił przed śmiercią wielki poeta rosyjski Błok, nie jest łatwa do określenia. Wiadomo tylko, że poezja ginie tam gdzie jej nie ma i rzucane przez Partię hasło "walki o podniesienie jakości poezji" jest podlewaniem rośliny, którą odcięto od korzenia.

Chcę być dobrze zrozumiany. Nie chodzi tutaj o prawo do praktykowania "sztuki dla sztuki". Żyjemy w czasach kiedy egoizm pisarza stał się już najgorszym z użytków jakie można zrobić z wolności. Chodzi tutaj o prawo do oburzenia i do oceny praw, obyczajów i instytucji. Realizm socjalistyczny określa szczegółowo jak pisarz ma obserwować, jak dokonywać wyboru spośród swoich obserwacji i do jakich dochodzić wniosków. Twórczość jego ma być: 1) optymistyczna, 2) mobilizująca czytelników do walki o zwycięstwo rewolucji w skali światowej, 3) wychowawcza, tj. dająca czytelnikom wzory zachowania się i reagowania, 4) walcząca ze złem, które jest równoznaczne z reakcyjnością albo brakiem świadomości socjalistycznej. Rezultat jaki się otrzymuje nie ma nic wspólnego z rzeczywistością i termin "realizm" może być użyty tylko przy założeniu, że każdy ogląd rzeczywistości przez człowieka ma w sobie elementy wartościowania i selekcji, wobec tego obraz rzeczywistości odpowiednio, planowo, według pewnej metody przystrzygany też da się nazwać realizmem.

Twórczość pisarza Nowej Wiary musi być szlachetna, moralnie dodatnia. Miłość ojczyzny, walka o pokój, energia człowieka w pokonywaniu trudności, nieegoistyczna ambicja przodowania w pracy z równoczesnym udzielaniem pomocy innym, zdolność przyznawania się do popełnionych błędów, ciągły zapal rozszerzania własnego zasobu wiedzy, skromność i życzliwość w stosunku do innych — oto zespół motywów, które sprawiają, że człowiek w utworach pisarza Nowej Wiary jest istotą pogodną, promienną, dzielną, istotą o nieograniczonych możliwościach rozwoju. Jakiż kontrast z ponurą, błakającą się w ciemnościach literaturą Zachodu!



Niemniej pisarz w demokracjach ludowych doskonale wie, że osiąga ten wynik przez całkowite wyrzeczenie się prawdy. Codziennie patrzy na tragedie ludzkie, w zestawieniu z którymi błędna tragedia antyczne. Spojrzenia jakie napotyka są spojrzemiami ludzi śmiertelnie wystraszonych, spojrzemiami które zna tak dobrze z czasów, gdy w jego kraju szalało Gestapo. Szepety, które słyszy są szeptami donosicieli. Rozpacz chłopów, którzy są klasą znieawidzoną przez Nową Wiarę, gdyż reprezentują mentalność drobnomieszczańską; wielkie konflikty wewnętrzne rodziców, którzy są w przygniatającej większości poganami, a ich dzieci — dzięki wpływowi szkoły i związku młodzieży — należą już do społeczności nawróconych; milczenie o bliskich ludziach zabranych przez policję bezpieczeństwa z nieznanego powodu; kurczowe czepianie się katolicyzmu przez tych, którzy nigdy nie odznaczali się gorliwością religijną i czują teraz że toną, bo nic znakomitej dialektyce Nowej Wiary nie umieją przeciwstawić — to wszystko prześladowuje pisarza bardziej niż oczywiste wady gospodarcze systemu, w którym nadmiernie rozbudowany aparat dystrybucji i administracji nakłada na każdy produkt ręk robotnika haracz nieraz większy niż zyski przedsiębiorców, kupców i podatki pośrednie w krajach kapitalistycznych.

Widzi on osiągnięcia systemu i cieszy się nimi: uprzemysłowienie kraju, rozwój szkolnictwa, młodzież pochodzenia proletariackiego zapelniająca uniwersytety, walkę z analfabetyzmem. Chciałby jednak dać obraz swoich czasów taki jakim on jest naprawdę, we właściwej proporcji rozdziałając blaski i cienie. To jest niemożliwe. Jeżeli istnieje zło — mówi Nowa Wiara — jest ono powodowane przez chwilową niedoskonałość to jest niepełne zrozumienie Nowej Wiary przez obywateli. Rzeczywistość nie jest statyczna, zadaniem pisarza jest zmieniać ją nie przez podsuszanie czytelnikom prawdy, która by nimi wstrząsnęła i zachęciła do walki o zmianę — zadaniem pisarza jest dawać wzory postępowania i w ten sposób być wychowawcą człowieka. Pisarz jednak, oglądając człowieka właśnie wychowywanego przez państwowe zakłady hodowli, organizacje i związki ma niejaki wątpliwości czy istota tak wyprodukowana jest postacią świetlaną, czy też raczej jej grzeszność, pracowitość, zamknięcie się w sobie, fałszywość, czujność na opinie idące z góry, kult dla silnych, lęk przed wystąpieniem w obronie pokrzywdzonych nie zawierają w sobie jakichś elementów niebezpiecznych. Aby to zbadać musiałby szczerze przedstawić człowieka — zamiast tego jest obowiązany rysować czarne i białe charaktery, a jego książki są tym co dawniej zaliczano do literatury dla młodzieży. Cały człowiek nie jest bowiem wskazanym tematem — są w nim zagadkowe siły, którymi karmią się najbardziej groźne dla Nowej Wiary demony: Kościół, Metafizyka i Psychologia (umiejętnie użyta Sztuka już do nich nie należy).

Pisarz zwraca wzrok do Rzymu na Wschodzie, do kraju któ-

ry, jak to zostało tam urzędowo stwierdzone, zrealizował socjalizm. Wiedza jaką pisarz posiada o tym kraju jest dość znaczna (jeżeli nie należy do najmłodszego pokolenia), jakkolwiek nastrojająca niezbyt optymistycznie. Pośród swoich krewnych i znajomych ma przynajmniej jedną osobę, która spędziła tam kilka lat w obozach pracy przymusowej, a nierzadko sam ma za sobą okres niewolnictwa. Są to rzeczy, o których się nie mówi, jednak wystarczają one aby wiedział, że to co się pisze na Zachodzie o rozmiarach deportacji ludności i o wskrzeszeniu instytucji niewolnictwa jest prawdą. Kontakt z obywatelami tego kraju jest trudny, wspomienia jakie zostawiła armia wyzwalająca, nadmiernie skłonna do grabieży, złodziejstwa i gwałcenia — niemiłe. Obyczajowość prywatna mieszkańców kraju dialektyki wydaje mu się, sądząc z doświadczenia, daleka od wzorów przedstawianych w literaturze i nawet niepiśmienny chłop tego kraju zdaje się pod tym względem znacznie gorować nad ludźmi od trzydziestu lat poddawany mi doskonałym rygorom. Traktując sztukę jako rodzaj manometru, notującego napięcia rzeczywistości, pisarz stwierdza, że malarstwo tego kraju jest bezapelacyjnie złe i przypomina słabe ilustracje do książek dla młodzieży, że teatr jest mierny i wystarcza oglądać jeden akt sztuki, aby wiedzieć co będzie dalej; że literatura po okresie rewolucyjnym coraz bardziej pokrywa się warstwą urzędowego pokostu i że czytelnik, mimo usiłowań, nie może odkryć w autorze słabego choćby, ale bliskiego i żywego człowieka; co do muzyki, jej folklorystyczna hałaśliwość i sentymentalizm zdają się przeczyć całkowicie dążeniom do czystości i równowagi.

Pisarz może tak myśleć, jednak jego stosunek do centrum Nowej Wiary jest ściśle określony instrukcjami. Można powiedzieć, że wyrażanie bezgranicznego podziwu i entuzjazmu dla przeszłości, teraźniejszości i przyszłości tego kraju jest główną racją jego istnienia. Pod jego piórem kraj ten musi zmieniać się w siedlisko najdoskonalszej etyki, najwyższej na świecie stojącej techniki i nauki, najznakomitszej literatury, najpełniejszej wolności. Nie jest to operacja łatwa. Nie należy uważać pisarza za moralnego potwora, który stawiając litery nie ma poczucia r o w n o c z e s n o ś c i i zjawisk: w chwili kiedy pisze z zaryglowanych wagonów, które wiozą opornych chłopów ku obozom położonym gdzieś pod kołem polarnym, rozlegają się rozpaczliwe krzyki o kubek wody; kolumna wynędzniałych ludzi posuwa się w krajobrazie północnego lasu, konwojowana przez strażników z psami; na słońcu, przed barakami obozu, leży rząd dogorywających mężczyzn, z których wyciśnięto już wszystkie siły i którzy są już niepotrzebni, bo rezerwuar materiału ludzkiego jest w tym kraju niewyczerpany. Ach, nasza planeta jest mała, obiega ją samolot, ale obiega również myśl. Pisarz kładzie na papierze słowo i nawiedza go wizja, więc słowo przekreśla — wydaje mu się one zbyt pochlebne w zestawieniu z wizją. Przestrasza się — i przywraca poprzednie słowo. Zastanawia się nad nim długo, gdyż, biorąc pod uwagę inne



kryteria, słowo to jest zbyt słabym superlatywem. Więc przekreśla to słowo i na jego miejscu stawia nowe, które objawia jego entuzjazm w sposób już nieskażony.

Trzeba jednak jakoś dać radę ze sobą samym przy wykonywaniu podobnego zajęcia. Istnieją wśród pisarzy sympatyczni cynicy, którzy uważają literaturę za rzemiosło takie jak każde inne — jest to tylko kwestia otrzymania zamówienia. Napiszą odę, poemat dla dzieci, panegiryk, napaść, ściśle według wymagań, za jedynie godne dyskusji uważając sumę honorarium i zręczność techniki. Czyż nasza profesja — autorów płatnych hymnów na cześć wybitnych osobistości i paszkwilów na wrogów władcy — nie jest stara? Czyż nie posiada pięknych tradycji? — zapytują. Co prawda była ona przez długi czas zapomniana. Ale została wskrzeszona. Nie jest ona gorsza niż tradycja pisania krwii i potem w imię zbawiania świata.

Inni, nie mogąc uporać się z zagadnieniem tak prosto, zdobywają się na szczególną operację: cokolwiek osłabia człowieka w jego działaniu jest ich zdaniem złe. Co jest złe powinno być z organizmu usunięte. Ponieważ świadomość r ó w n o c z e s n o ś c i i zjawisk zmniejsza energię działania, należy to usunąć przez ustalenie pewnych tabu, których nie powinna tykać mowa ani myśl ("ja tam nie byłem", "ja tego nie widziałem", "jeżeli tak jest to widać tak być powinno" etc.). Zabieg taki wymaga jednak wyjątkowo dużej zręczności.

Większość pisarzy cierpi na rozdwojenie i na to rozdwojenie musi być znaleziona rada. Wyrzeczenie się prawdy na rzecz literatury propagandowej i utylitarnej jest możliwe jeżeli jest to wyrzeczenie się w imię czegoś. Tutaj dochodzimy do konieczności przyjęcia Nowej Wiary drogą praktyki: jeżeli praktykujesz musisz wreszcie uwierzyć pod grozą albo zdradzenia się, albo wpadnięcia w zupełne rozbicie własnej osoby. Dosięga się wreszcie punktu, w którym odpowiedź samemu sobie na pytanie czy jest się poganinem czy nawróconym nie da się dłużej odkładać.

Dla kogoś kto wierzy, że idzie "przez mór, przez głodu morze" (Majakowski) — ku szczęściu jakiego ludzkość dotychczas nie znała, wszystkie ofiary są usprawiedliwione. Oto po raz pierwszy w dziejach organizacja społeczeństwa będzie oparta na naukowych podstawach. Czyż da się coś zbudować bez cierpienia? Miliony ludzi przez trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt lat będą żyły w nędzy, miliony zginą, ale ich wnukowie zdobędą szczęście. Czyż nie śmieszne jest powtarzać takie słowa jak prawda, sztuka, sprawiedliwość w obliczu równie wielkiego zadania? Czyż pisarz nie powinien być dumny, że tak jak umie służy wielkiemu dziełu, rezygnując ze swoich ambicji, czyniąc swoje utwory czymś skromnym, ale bezwątpienia użytecznym? Kiedyś, kiedy przyjdzie ostateczne zwycięstwo, nastąpi rozkwit sztuki nigdy dotychczas niespotykany. Dzisiaj jednak służba i walka w szeregach są jedynym znamieniem wielkości i ta skromna wielkość będzie przez potomnych oceniona. Gdyż inna wielkość, dzie-

ki dialektyce rozwoju, jest dzisiaj n i e m o ż l i w a. Reakcyoniści wylewają krokodyły łzy nad losem niewolników kopiących kanały, wznoszących wielkie budowle w socjalistycznej ojczyźnie i kpią z niskiej stopy życiowej w gospodarce kolektywnej? Niewątpliwie większość ludzi w zamożnych krajach Zachodu jest szczęśliwsza niż ta sama ilość w krajach, które "zniosły wyzysk człowieka przez człowieka". Można to przyznać, ale po cóż tak wiele obnosić się ze słowem szczęście, które również jest abstrakcją. Czy szczęście ludzi, których horyzont myślowy jest ograniczony do kopania swoich ogródków, picia wina w kafejce i uprawiania hobbies nie jest szczęściem idiotów? Nie do takiego szczęścia dąży ludzkość poprzez śmierć i terror. Czy idiota będzie sadzić róże w swoim ogródku, czy rąbać las w karnych brigadach jest właściwie wszystko jedno.

Co do kłamstwa, to znów nie należy się sugerować słowami. Są kłamstwa godne potępienia i są kłamstwa godne pochwały. Nie zapominajmy, że rozumiemy dialektycznie. Kłamstwo, które pomaga wielkiemu dziełu, bo utrzymuje ludzi w stanie wiary, daje im poczucie celu, mnoży ich siły — jest kłamstwem dobrym. Mruczysz, że On jest katem Rosji i że jego ręce ociekają krwią milionów niewinnych istot? A jednak piszesz odę na Jego cześć, bo wiesz, że On jest potrzebny, bo wiesz że Jego kult jest potrzebny w realizacji wielkiego celu. I tak być powinno.

To co podobnemu rozumowaniu może przeciwstawić poganin jest oczywiście znacznie słabsze, bo rozumują w nim raczej stulecia historii (ciemnej, ponurej historii) niż on sam. Czyż myśl ludzka, choćby najbardziej genialna, może sprawić że dopełnią się czasy i historii już nie będzie? Bo szczęście całej ludzkości byłoby końcem historii. Jeżeli tak nie jest i jeżeli ustrój budowany z takim poświęceniem będzie tylko etapem, na którym powstaną nowe zarzewia buntu — to jakież ma się prawo wprowadzać poszczególnego człowieka do gmachu nad którego drzwiami są napisy: Strach, Wysiłek i Kłamstwo — i n i e o s t r z e g a ć. Czyż pewien, niedoskonały co prawda i ciągle na nowo deptany, ale niemniej istniejący szacunek dla jednostki ludzkiej, dla jej głupich często myśli i zajęć — jest dorobkiem zupełnie nieprzydatnym w Nowej Budowli? I czy należy pozbywać się prawdy, równoznacznej, czy kto tego chce czy nie chce, z prawdziwą sztuką — w imię odległej chwili kiedy prawdziwa sztuka znów będzie możliwa, to jest kiedy pisarz znów rozedrze sobie szatę na piersiach pełen grozy, litości i gniewu?

Na to poganinowi odpowiada wyznawca: pocóż sięgać tak daleko? Nikt nie może sobie nawet wyobrazić czym będzie społeczeństwo komunistyczne i jakie będzie miało problemy. Rozszerzenie się na cały świat ustroju, który zwycięża w kraju dialektyki, jest jednak koniecznością historyczną. Któż rozsądny będzie wygrażał pięścią chmurom w czasie burzy? Ci co spróbują wystąpić przeciwko historycznej konieczności zostaną zmiażd-



dzeni. Pisarz, jeżeli nie chce narazić się na niebyt, na wykreślenie przez potomnych, winien przyspieszać swoją pracą, to, co jest nieuniknione.

Nigdy nie zdołałem przekroczyć tego progu. Szaleństwo? Być może. Samobójstwo, koniec literackiej kariery (a czymże innym dla poety jest stracić ojczyznę?) — niech będzie. Jeżeli winność ma polegać jedynie na zrozumieniu konieczności, to ja, nędzny robak, stoję na drodze którą ma przejść Historia w grzmocie czołgów i łopocie sztandarów i nie obchodzi mnie, że będę nazwany niewolnikiem moich przesądów i odziedziczonych przyzwyczajęń. Przez tysiące lat ludzkość żyła w trwodze przed potęgami przyrody poddając się ich koniecznościom i próbując je jedynie ubłagać. Aż potęgi przyrody zostały okiełznane przez tych, którzy zaprzeczyli konieczności. Dzisiaj ludzkość zaczyna uważać, że instytucja niewolnictwa, kłamstwo i strach są konieczne — na okres przejściowy, mający trwać pięćdziesiąt czy sto lat, po którym rozpocznie się drugi okres przejściowy, a po nim trzeci — i ciągle w imię wzniesienia Wielkiej Budowli. Czy człowiek, który pierwszy przepłynął zatokę morską w czółnie z kory był w mniejszym stopniu szaleńcem, niż ten który utrzymuje, że można wynaleźć sposób zorganizowania społeczeństwa bez niewolnictwa, kłamstwa i strachu? Granica jaką stanowią brzeg burzliwego morza była dla pierwotnego człowieka koniecznością równie nieprzezwyciężalną jak dla człowieka XX wieku granica, którą stwarza naukowo opracowany terror. Gdyby zabrakło takich, którzy odważyli się wyruszyć na morze w swoich wątych czółnach, morze nigdy nie byłoby opanowane. Rola pisarza Nowej Wiary jest dlatego wstydliva, że na brzegu morza wzniesione są tablice zabraniające zbliżania się do wody pod karą śmierci.

Ci, którzy nigdy nie zajmowali się tymi sprawami, nie wiedzą jaką torturą jest nie móc uwierzyć w słuszność zakazów i z tej niemożności wiary wyciągnąć konsekwencję. Aby tego dokonać trzeba w sobie przewyciężyć strach przed siłą intelektualną i strach przed samotnością. Siłą intelektualną: ponieważ problemy organizacji lepszego społeczeństwa są dziś ośrodkiem zainteresowań ludzkich i tylko one właściwie mają pełną żywotność. Natomiast w tym zespole doktryn i pomysłów tylko Nowa Wiara dostarcza wyczerpujących i dostatecznie uzasadnionych odpowiedzi, stanowi system myślenia wybitnie współczesny i wsparty analizą historii. Osiągnięcia teoretyczne jej klasyków nie mogą być zwyczajnie odrzucone, mogą być tylko wchłonięte przez myślenie, które pójdzie dalej i ukaże je z nowej perspektywy, podobnie jak w dziedzinie fizyki odkrycia Einsteina nie przekreśliły użyteczności praw Newtona.

Samotność — być może jest ona mistrzynią mędrców, z większym jednak prawdopodobieństwem można powiedzieć, że jest ona po prostu cierpieniem. A nikt na cierpienie nie godzi się z ochotą.

Najbardziej jednak trudną do zniesienia jest myśl o wszystkich ludziach, którzy przebywając poza odrebem imperium Nowej Wiary wierzą i mają nadzieję. O pisarzach, którzy są przekonani że nie wolno im rozpraszać złudzeń proletariuszy, o bosych i niepiśmiennych nędzarzach, którzy wiedzą, że są skrzywdzeni i tęsknią do światła na Wschodzie; o tych, którzy cierpią w więzieniach i giną po to, żeby spełniło się światło. Pozostając poganinem ma się dziś, jak się zdaje, większe obowiązki niż ma wyznawca Nowej Wiary, zwolniony z ciężaru rozważań przez powagę autorytetów.

Czesław MIŁOSZ.

## Moje credo poetyckie

### Poeta

*On powie tym co wiernych liczą  
Ze powołaniu służył swemu.  
Zasmieją się i nie dostyszą.  
Bawiąc się, zapytają: c z e m u ?*

*Późno zrozumie, osaczony,  
Kiedy go zwarty szyk otoczy,  
Ze nie ma w taki dzień obrony  
Bo nikt mu nie śmie spojrzeć w oczy.*

*I język jego z dwu-płomienia  
Co śmierć zadaje niewidzialną  
Do ostatniego będzie technienia  
Kłosać satyrą pożegnalną.*

*Spojrzy w twarz dawnych wielkich braci.  
W ich słowach była prawda szczerą:  
Powinien wiedzieć jak się płaci  
Kto z młodu zawód ten obiera.*

*Ustyszy, gdy go chirurg weźmie:  
„My krzywdy twojej tu nie chcemy.  
Pierś otworzymy bezboleśnie,  
Węgiel gorący z niej wyjmujemy.”*

*„Żyć będziesz od cierpienia wolny,  
Poczytność damy ci i sławę.  
Niech wiersz twój, zamiast toczyć wojny,  
Kształcąca ludziom da zabawę.”*



Stanie się tak. I popiół szary  
Spadnie na strony jego pisma.  
Choć będą śnity się koszmary  
Nikt do nich głośno się nie przyzna.

A ty nie raduj się, człowieku,  
Że zgon poety grają bębny.  
Z płaczem go wspomną wnuki wieku.  
Bardziej niż sądzisz był potrzebny.

## Fragment z poematu «Toast»

drukowanego w "Odrodzeniu" z 17. IV. 1949 r.  
(Pełny tekst bez wykreśleń cenzury)

W szkole już mi się kpina niejedna dostała  
Za wielbienie poezji co niezrozumiała  
I takiegoż malarstwa. Już wtedy Picasso  
Budził gniew ludzi wyższych wykwinem i rasą  
Nad takie bohomazy. „Komu to potrzebne? —  
Krzyczeli — Czy to zdrowe moralnie? Czy piękne?”  
Ty, hucząc głosem trzmiela, byłeś zawsze pierwszy  
Do żartów z nowoczesnych obrazów i wierszy.

Mojego wieku chciałem zostać wiernym synem,  
Nie żeby zaraz czoło przystrajac wawrzynem,  
Ale bardziej od innych w tym byłem szczęśliwy  
Że świat mi pokazywał niepojęte dziwy  
Barwy, kształtu i dźwięku. Bo to wielka era  
Co tworzy możliwość nową i oczy otwiera.  
Z tysiąca krętych ścieżek, które w nicość wiodą,  
Dźwiga się coś, co nie jest kaprysem ni modą  
I do epoki Giotta przyrównam odkrycia  
Zrobione w państwie sztuki za naszego życia.  
Niechaj ciebie nie zmylą częstochowskie rymy:  
Od nas także zależy, co w dziełach widzimy.  
Zauważ mój rysunek. Umiem jedną kreską  
Stworzyć kraj, miasto, potop, czy panią Wiśniewską,  
Bo z odkryć moich mistrzów wyciągnąłem wnioski.  
Tylko dlatego służy mi rym częstochowski.  
Jak o po. anku w górach, kiedy mgła się przetrze  
I na radosne, jasne wyglądasz powietrze,  
Tak wchodzisz w nowy wiersz mój, może nie ognisty,  
Ale ostry, dobitny, krystalicznie czysty.  
I będę go używać, chociaż oleodruk

W godność spotecznej sztuki znów dzisiaj się oblókt.  
Reszta wszystko zgnilizna. To widok niemiły:  
Plują w źródło, z którego wnuki będą piły.

W służbie polskiej poezji żyć postanowiłem  
Choćby przyszło mi zostać nieznaczącym pyłem  
Na jej górze, skąd idą nieśmiertelne błyski.  
Trudniej, myślę, ją zdobyć niż paszport brytyjski.  
Taką może przynajmniej zdołam osiąść władzę  
Że moją pracą hańbę podstępnie sprowadzę  
Na tych, co siedząc w lipy rozłożystej cieniu  
Jedną nutę piskliwie grają na grzebieniu.  
A poezja jest prawda. I kto ją obedrze  
Z prawdy, niech jej kupuje trumnę kutą w srebrze.

Poezja polska dzisiaj bardzo jest słabiutka.  
Pachnie. Jakby karbidem zaprawiona wódka.  
Czytając różne pisma stale się rumienię  
Bo biedne jest naprawdę młode pokolenie  
Wyzwolone z honoru uczciwej roboty.  
Takimi poetami lepiej grodzić płoty  
Niż cieszyć się, że rośnie już gromada ciołków  
Politycznie pojętych i skłonnych do hołdów.  
Nie potępiam działaczy. Oni są milusi.  
Trudno, gdzie ktoś buduje, ktoś złe czynić musi.  
Kto ma tak zwane wpływy, zaraz się uważa  
Za znawcę sztuk, badacza, mędrca i pisarza,  
Rozcina w artykułach przy każdej niedzieli  
Problemy, nad którymi artyści siwieli,  
I nikt mu wytknąć nie śmie, że słabo rozróżnia  
Co jest tytuł, co autor i co treść, co próżnia.  
Nazajutrz jego rękę cisną ze słodyczą  
I korzą się przed głośną muchą urzędniczą.  
Że poezji w ten sposób zręcznie da się radę  
Za wsparty doświadczeniem pewnik tutaj kładę,  
Bo zawsze mecenas, co tu mówić dużo,  
Takich mają poetów, na jakich zastępują.

## Mdło bzykający

Mdło bzykający, albo pustym sporem  
Zaczerniający piśmideł stronicę,  
Wściekły, jeżeli wbrew dowodów plice  
Świat huchnie różną, tryśnie meteorom,  
Życie do czasu. Wasz taniec znikomy  
I monotonii powszechnej nadzieje  
Poeta, który właśnie z was się śmieje,  
Ma zamiar zamknąć w kryształ nieruchomy.  
Będziecie wtedy jak muchy w bursztynie,



Wciąż zawiedzione, jak widać po minie,  
 Układające modlitewnie łapki.  
 Skrzyżowane pyszczki, fraczki, żądła, szpady,  
 Błysną w kamieniu, kiedy go z szuflady  
 Wyjmie kto, spośród pamiątek prababki.

## Do Jonathana Swifta

(Wiersz drukowany w "Odrodzeniu" z 29. IV. 1949 r.)

Do ciebie zwracam się, dziękamie,  
 Prosząc o dobre rady twoje.  
 Na tak nieczęste powitanie  
 Żadną się chlubą nie przystroję.

Widzę ocean zielonkawy  
 Jak pianą bije w brzeg skalisty  
 I w białych palcach tej oprawy  
 Szmaragdem połyskują wyspy.

Mieni się kamień fioletowy  
 Ponad Irlandią torfowiska  
 I w domach, pod hukaniem sowy,  
 Rynka w kominie kaszą pryska.

Srebro wyszycia, błysk peruki,  
 i gęsie pióro mapę kryśli  
 Dla pouczenia i dla sztuki.  
 Zawsze nie w tej, co sądzą, myśli.

Według tej mapy, znak po znaku,  
 Mój okręt odnajdywał skróty.  
 Zwiedziłem ziemię Brobdingnagu  
 I nie minąłem wysp Laputy.

Poznałem także plemię Jahu  
 Co wielbi własne ekskrementy,  
 Żyjący w niewolniczym strachu  
 Donosicielski ród wyklęty.

Życie się moje przetamało  
 Na fazy najzupetniej różne.  
 Solą burz morskich w serce wiało,  
 Lecz nie jest jeszcze całkiem próżne.

Niepojętego zaślepienia  
 Na oczach nie nosiłem wstążki  
 I szczerą wściekłość opromienia  
 Moje rozliczne obowiązki.

Ty możesz wskazać mi, dziękamie,  
 Jak się ten płyn przedziwny stwarza  
 Że prócz inkaustu pozostaje  
 Coś więcej na dnie kałamarza.

Daj mi sekrety swego wieku  
 Abym nie krzywił się obleśnie  
 Jak ci co prawią o człowieku  
 I tylko cicho skomlą we śnie.

Odbity w lustrze Xiążę raczy  
 Chcieć pochwał swoich rymopisów  
 I kupry chyłą w tył dworacy  
 Rzędami Whigów i Torysów.

Xiążę, dziękamie, zwykle błądzi  
 Choć za nim racja jest i siła.  
 Psztyczek ze stawy go wytrąci  
 I w piekło kartoteki zsyła.

Trwalszy twój dom pod krzykiem sowy  
 Gdzie noc irlandzkie sypie deszcze  
 Niż grymas książąt marmurowy  
 I drzewka lauru przypochlebce.

Dotychczas mówią twoje usta:  
 Rzecz ludzka nie jest zakończona.  
 Kto dziejów doskonałość uzna  
 Bezbronną śmiercią niechaj skona.

Odwagi synu. Bierz okręty,  
 Na linach śmieszna flotę prowadź  
 I mrówczych mocarstw dawne błędy  
 Obszarom gwiazd daj kamienować.

Dopóki niebo jest i ziemia  
 Dla nowych Miast gotuj przystanie.  
 Poza tym nie ma wybaczenia.

Będę się starać, mój dziękamie.



## Do T. Różewicza, poety

(Wiersz drukowany w "Zeszytach Wrocławskich", 1950)

Zgodne w radości są wszystkie instrumenty  
Kiedy poeta wchodzi w ogród ziemi.  
Czteryście rzek błękitnych pracowało  
Na jego narodziny i jedwabnik  
Dla niego snuł błyszczące swoje gniazda.  
Korsarskie skrzydło muchy, pysk motyla  
Uformowały się z myślą o nim  
I wielopiętrowy gmach łubinu  
Jemu rozjaśniał noc na skraju pola.  
Więc się radują wszystkie instrumenty  
Zamknięte w pudłach i dzbanach zieleni  
Czekając aby dotknął i aby zabrzmiaty.

Chwała stronie świata, która wydaje poetę!  
Więść o tym biegnie po wodach przybrzeżnych  
Gdzie na tafli, we mgłach, śpiąc pływają mewy  
I dalej, tam gdzie wznoszą się i opadają okręty.  
Więść o tym biegnie pod górskim księżycem  
I ukazuje poetę za stołem  
W zimnym pokoju, w małym znanym mieście,  
Kiedy zegar na wieży wybija godzinę.

On ma dom w igle sosny, w krzyku sarny,  
W eksplozji gwiazd i wnętrzu ludzkiej dłoni.  
Zegar nie mierzy jego pieśni. Echo  
Jak w głębi muszli starożytność morza  
Nigdy nie milknie. On trwa. I potężny  
Jest jego szepot wspierający ludzi.

Szczęśliwy naród który ma poetę  
I w trudach swoich nie kroczy w milczeniu.

Tylko retorzy nie lubią poety.  
Siedząc na szklanych krzesłach rozwijają  
Długie rulony, metry szlachetności.  
A naokoło huczy śmiech poety  
I jego życie nie mające kresu.

Gniewni są. Wiedzą że ich krzesła pękną  
A w miejscu gdzie siedzieli nie wyrosnie  
Ani żdźbło trawy. Krąg spalonej siarki,  
Rudy, jałowy pył mrówka ominie.

Czesław MIŁOSZ.

## Trans-Atlantyk

OD REDAKCJI

Czytelnicy nasi zapewne przypominają sobie poruszenie, jakie wywołało w naszym środowisku literackim ukazanie się, na rok przed wojną, powieści Gombrowicza „Ferdynand”. Polemikę zapoczątkował odczyt w Związku Literatów tragicznie zmarłego podczas wojny, wybitnego pisarza i krytyka, Brunona Szulca, który nie wahał się uznać powieści Gombrowicza za wręcz rewelacyjną w skali europejskiej. Wielu pisarzy poparło opinię Szulca, choć nie brakło głosów, odmawiających „Ferdynandowi” wszelkiej trwałej wartości.

W 1939 r. Gombrowicz został zaproszony przez „Gal” na pierwszą podróż statku „Chrobry” do Buenos Aires. Przybył do Argentyny na tydzień przed wojną i został odcięty od Kraju. Po wojnie nie powrócił do Polski i do tej chwili mieszka w Argentynie.

W r. 1947 „Ferdynand” ukazała się w tłumaczeniu hiszpańskim. Powieść spotkała się w środowiskach intelektualnych Argentyny i Ameryki tacińskiej z przyjęciem nie mniej gorącym, niż w Polsce. — Miarą uznania, jakie wzbudziła ta powieść w kręgach intelektualnych — tak wypowiada się jeden z największych i najpoważniejszych dzienników argentyńskich „La Nación” — jest fakt, iż około 20 osób współpracowało przy jej przekładzie. Ale i w Argentynie zadzierzżył utwór Gombrowicza był zwalczany, a jeden z krytyków (Troiani w „Critica”) zaczyna swój artykuł od tego, że „nie trudno dopatrzeć się w grupie pisarzy, która z hukiem lansowała „Ferdynand”, chęci wywołania skandalu”. Jednakże czołowi pisarze argentyńscy, M. Galvez i E. Martinez Estrada wyrazili się o „Ferdynandzie” w słowach niezwykle gorących, podkreślając jej odrębność i siłę.

Dramat „Ślub”, który został opublikowany przez Gombrowicza w tłumaczeniu hiszpańskim w dwa lata po ukazaniu się „Ferdynanda”, niezwykle ambitny w swojej koncepcji i skrajnie nowatorski w swoich środkach artystycznych wywołał nową sensację i pozyskał autorowi nowych zapalczywych wielbieli m. in. w osobach niektórych pisarzy naszych na emigracji, jak Kuncewiczowa, Wittlin, a także w Kraju. Pisarze ci kwalifikują „Ślub” jako dzieło wielkiej miary.



## P R Z E D M O W A

Przebywam teraz w Argentynie. Udało mi się ogłosić tutaj w tłumaczeniu hiszpańskim moją powieść "Ferdydurke", a także ukazał się — również w tłumaczeniu hiszpańskim — dramat "Ślub", napisany już po wojnie; ale po polsku od dziesięciu lat z okładem nic mojego się nie pojawiło.

Ja, jeśli przypominacie sobie, zawsze byłem autorem "trudnym" i dostępnym tylko dla ludzi bardziej wyrobionych. Jednakże przyjąłem ostatnio zwyczaj poprzedzania moich rzeczy przedmowami, które ułatwiają nawet czytelnikowi niezbyt wytrawnemu podejście do mojej literatury — i ten system wyda mi się niezmiernie praktyczny. W danym wypadku zaś przedmowa o tyle bardziej jest wskazana, iż ta nowa książka dotyka spraw delikatnych... wy zaś nic, lub prawie nic, o mnie nie wiecie. W zupełnym osamotnieniu przedzieram się przez zawły gąszcz sztuki. Nie popiera mnie żaden obóz, żadna grupa, żadna propaganda i mój sposób pisania jest z tych, które, zaiste, nie nadają się do popierania, gdyż jest on z jednej strony jakiś "ekscentryczny", a z drugiej może jakiś "niepoważny", poza tym zaś nawet dosyć "zaskakujący", o tyle przynajmniej, iż nie stanowi wlernej kopii powszechnie uznanych sposobów pisania. Ostrożnie, jednak! I radziłbym wam dobrze zastanowić się zanim mnie zlekceważycie — albowiem, choć nie jestem zjawiskiem równie solidnym jak wasi wieszczowie, moja pisanina jakoś dotąd nie umiera, a nawet w swojej wędrówce poprzez obce kraje zdobywa sobie zwolenników; to zaś poparcie dość jest szczerze i rzetelne, ci ludzie dość są wysokiej jakości, abym mógł poczuć się pewnie na nogach, pomimo iż nie otrzymuję nagród na konkursach. Zwycięstwa sztuki prawdziwie ambitnej, która pragnie stać się aktem istotnie twórczym, inną mierzą się skalą... i gdy książka taka, odrębna i własna, zdoła w ogóle utrzymać się w literaturze, to więcej znaczą i głębsze pociągają za sobą konsekwencje niż cały rejwach, towarzyszący hurtowej produkcji. I na pewno, jaka by nie była ta moja "twórczość", głupia czy też mądra, udolna czy nieudolna, jest w niej przecież coś własnego i nieprzekupnego, coś stanowczego i ostrego, co nie tak łatwo może zostać zbagatelizowane.

Ale mnie nie tyle zależy — w tej przedmowie — na pozyskaniu waszego uznania dla mej działalności pisarskiej, ile na tym, abym jako człowiek stał się wam bardziej bliski i godniejszy zaufania. Ci bowiem, którzy mnie czytają z niedostateczną uwagą, lub dla których świat mój niedosć jest jasny, z łatwością myślą się co do mojej osoby: tu więc, na tych stronicach wstępu i rozmawiając z wami po prostu, chcę wykazać, że nie jestem może tak szalony, jakby się na pozór zdawało i że nie jest nieodzowne pomawiać mnie ot tak od razu, z miejsca, o najtrywialniejsze, najbardziej ordynarne cechy, jak na przykład o "żadzę oryginalności" albo "pozę" lub też o jakieś wariacko destrukcyjne, anarchistyczne skłonności. Najuczciwszy,

najszlachetniej poczęty tekst się nie ostoi, jeżeli będzie czytany z tępym niedowierzaniem, z tą skłonnością do możliwie najtrywialniejszego, najbardziej płaskiego interpretowania wszystkiego co na cal odbiega od schematu. Jeżeli przyzwyczailiście się do bezmiaru tandety na wszystkich polach sztuki i kultury, to jeszcze nie powód, aby zwątpić w ogóle w możliwość istnienia w tej dziedzinie ludzi mniej więcej przyzwoitych i uczciwych, którzy nie pragną robić sobie z gęby ściěrki.

Przypuszczam iż książka, którą macie w rękach, wyda się wam na pierwszy rzut oka dosyć rażąca: gdyż, jeśli nie waha się ona dotykać i drażnić najbardziej wstydlivych miejsc waszych, oraz jeszcze niezagojonych ran, to jednak czyni to w jakimś gawędziarskim sposobie... i jeśli treść jej jest do tego stopnia bolesna iż mogłaby nawet przywieść na myśl obraz jakiegoś bezdennie tragicznego pustkowi, na którym Naród wasz szarpie się i zмага z samym sobą, to przecież na przeszkodzie dramatowi staje ta starszylachecka dobroduszość i żart, który jak gołębica unosi się ponad wodami... A jeśli przypatrzycie się bliżej sekretom tego żartobliwego utworu, to, być może, dojdziecie do przekonania, że jakiś świecki a nawet kacerski duch wtargnął w pobożność waszą, w tę pobożność, która stanowiła zawsze kanon najbardziej szanownej waszej sztuki, z Mickiewiczem i Szopenem na czele. Ale ów rażący "Trans-Atlantyk" jest najściślej związany z poprzednimi moimi utworami, jest on w gruncie rzeczy tylko rozdziałem większej księgi, którą od dawna już pisać zacząłem, i nie jest ani na jotę bardziej dziwny niż na przykład "Ślub", albo "Ferdydurke". Jeżeli więc mamy w ogóle się dogadać, to chyba należało by naprzód wyjaśnić na jakim tle powstały te różnice, które dziś sprawiają, że ton mój i myśl stają się dla was orzechem trudnym do zgryzienia, trudniejszym jeszcze do przełknięcia.

Rzeczywiście, ja bardzo się od was oddaliłem — i podczas gdy inteligencja polska lat przedwojennych szła mniej więcej torem wyznaczonym przez poprzednie pokolenia, ja, przypadkowo może, zabiłdżyłem w inne okolice. Do jakiegoż zaś stopnia to moje zboczenie z utartej drogi wydało się wam istotnie zboczeniem tj. anormalnością i dziwactwem, tego najlepszym dowodem, że "Ferdydurke" stała się nieomal skandalem i że upłynęło trochę czasu zanim zdołaliśmy sobie wyperswadować, że ta garść nieoczekiwanych idei i sytuacji jest jedynie "surrealizmem" (wygodne słowo). Nieraz zastanawiałem się, jak określić rozbieżność między mną a wami i sądzę, że tkwi ona w samym ujęciu człowieka: to, co mnie od was oddaliło, to był fakt iż posunąłem się bardzo daleko — o wiele dalej od was — w uznaniu zależności człowieka od człowieka, że, dla mnie, człowiek jest bez przerwy przez ludzi stwarzany. Ta wizja (gdzie nie jest to żadna filozofia) stanowi punkt wyjściowy mego świata: świata, gdzie człowiek związany jest z człowiekiem; gdzie człowiek dąży do człowieka; gdzie człowiek, pod nieustan-



nym ciśnieniem człowieka, co chwila się stwarza i przetwarza; gdzie właściwie trudno jest mówić o jakiejś określonej, statycznej istocie ludzkiej, a raczej wchodzi w grę "międzyludzkie" napięcia i nasilenia, które nas — ludzi — wyznaczają i określają w każdej chwili. Tu więc człowiek poddany jest temu co się dzieje między ludźmi i ze wszystkich żywiołów natury ten żywioł międzyludzkiego stwarzania jest najgwałtowniejszy, i, będąc ludzkim, jest zarazem nieludzkim i nadludzkim.

Czytając te słowa nie zapominajcie, że nie jestem filozofem tylko artystą. Jednakże i tych kilka mglistych zdań wystarczy aby ukazać przepaść, która istnieje między waszym "człowiekiem" a moim. Jeżeli bowiem obecnie panująca w świecie psychologia (pomijając tę która dojrzewa w warsztatach naukowych) jest o wiele od tego wszystkiego spokojniejsza, to nigdzie chyba zagadnienie człowieka nie było potraktowane w sposób bardziej idylliczny niż w Polsce — i z całej prawie literatury naszej bije przeświadczenie, że casus ten da się rozwiązać na prostej drodze, nie nastrecza żadnych specjalnych trudności. I jeśli dla ludzi wierzących to zagadnienie w ogóle nie istniało, gdyż człowiek posiadający jasno określoną duszę oraz niemniej wyraźne obowiązki wobec Boga, społeczeństwa, nie jest dla siebie zagadką, to nawet dla tych z was, którzy zwątpili w świętą wiarę Mickiewicza, dla tych "nowoczesnych" i "postępowych" również nie istniał tu i nie istnieje żaden zbyt skomplikowany problem. Niezależnie od tego, czy jesteście indywidualistami, czy też kolektywistami, człowiek wasz jest istotą dość określoną i zrównoważoną, obdarzoną takim lub innym charakterem, opiniami, uczuciami, skłonnościami i który postępuje tak jak mu dyktują jego instynkty lub też przemyślenia. Zawsze słonni byliście — być może wskutek sielskich tradycji waszej kultury — traktować człowieka po prostu, zawsze wierzyliście w zbawczą moc prostoty i naturalności.

Dlatego to moja "sztuczność" stała się dla was kamieniem obrazu. Spójrzciec tylko jak wielkie zachodzą różnice: gdy wy sądzicie, iż człowiek jest na ogół taki, jak się objawia na zewnątrz w swoich postępach lub słowach, ja sądzę, że jest on nieustannie zniekształcany w całym objawieniu swoim; gdy wy sądzicie, że żyje on własnymi uczuciami, własne ma myśli i poglądy, w moim przekonaniu nie ma on nic całkowicie własnego, nic czysto swojego... ponieważ urzeczywistnia się w starciu z rzeczywistością zewnętrzną; gdy wy sądzicie więc, że jednak, gdzieś w głębi, świat człowieka jest prawdziwy i autentyczny, dla mnie jest on z istoty swojej fikcją, kłamstwem, deformacją (a jedynie utrzymuje się w nim samo niezmożone pragnienie nasze prawdy i autentyczności); i gdy, wy, dopuszczając wpływ innych ludzi na człowieka, ujmujecie ten wpływ w sposób raczej abstrakcyjny jako wpływ społeczeństwa, narodu, środowiska, dla mnie człowiek "rozstrzyga się" i "stwarza" przede wszystkim w konkretnym, przypadkowym zetknięciu z ludźmi.

Stąd więc mógłbym może powiedzieć o sobie, iż usiłuję wprowadzić myśl polską w świat niestały, przyzwyczaić ją do tej dynamiki, która — jak przeczuwam — stanie się chlebem codziennym przyszości. Ale ze wszystkich różnic i sprzeczności, które powodują starcie między waszym — bardziej statycznym — a moim — bardziej dynamicznym — światem, żadna chyba nie jest tak ważna, jak ta która dotyczy niezmiernego znaczenia Formy w naszym życiu — które to znaczenie mnie musiało wydać się decydujące z chwilą gdy przyjąłem, że wzajem nieustannie się deformujemy. Dlatego potężne ciśnienie Formy, jej potrzeba, ten jej głód, którego doznajemy, i nasze obcowanie z nią, i jej wytwarzanie, stały się nieomal głównym tematem mojego pisarstwa. Czyż w "Ferdynurce" nie idzie przede wszystkim o to wzajemne gwałcenie się Form, stylów, a zwłaszcza o ten szczególnie bolesny przypadek, gdy dojrzałość nasza zmuszona jest objawiać się w formie niedojrzałej? A dramat "Ślub" niedawno napisany — czyż nie powstał z wycucia że, w pewnym sensie, Forma jest jedynym dostępnym nam bóstwem? "Tu ludzie" (cytuje z przedmowy do wydania hiszpańskiego) "łączą się w jakieś postacie Bólu, Strachu, Śmieszności lub Tajemnicy, w nieprzewidziane melodie i rytmy, tworząc absurdalne sytuacje; i, poddając się im, są stwarzani przez to co sami stworzyli. W tym kościele ziemskim duch ludzki uwielbia ducha międzyludzkiego..."

Ale myśl polska nigdy nie zajęła się bardziej na serio sprawą Formy — zagadnienie to było dla was raczej estetyczne niż psychologiczne — nie lubiliście tego tematu, wydawał się on wam może... niedość "życiowy". Tu więc znowu stałem się wam obcy, podejrzany... I gdy spotykacie się w moich utworach z rzeczywistością, w której nie tyle osoby ludzkie ile Formy się ścierają, ta gra Form wyzwolonych z człowieka i jakby żyjących własnym życiem (co najwyraźniej być może uwidacznia się w "Ślubie") jest dla was nieprzekonywająca ponieważ, jak dotąd, Forma stanowi dla was raczej ornament życia, nie jego sedno.

A jednak weźcie pod uwagę, że to wszystko nie jest jakimś kapysem estetycznym, czy też jedną więcej intelektualną konstrukcją, a tylko wynika z wewnętrznej potrzeby raczej świeżej i naiwnej duszy. I, zamiast pomawiać mnie o żądze niezwykłości, zastanówcie się raczej, jakie to we mnie jest polskie i zwykle: bo przecież, gdybym od dzieciństwa nie musiał mordować się ze złą, niedojrzałą Formą, która mi została narzucona przez ów światek mój sandomierski, szlachecki, ziemiański, krzywy, pokurczony, gdybym na każdym kroku z boleścią nie stwierdzał, że to co mówię i robię jest gorsze ode mnie samego i poniżej mojego osobistego poziomu, to, zapewniam, pozostawiłbym tę problematykę profesorom uniwersytetu. I jest samo przez się zrozumiałe, że to zagadnienie Formy, to jest sposobu, w jakim objawiamy się na zewnątrz, jest bliższe istotom i narodom, które nie wyrobiły sobie jeszcze sty-



lu, niż tym, które mniej mają kłopotu ze znalezieniem swojego wyrazu, ba, twierdzą nawet, że dla tych ludzi i narodów jeszczce nieufornowanych nie ma w ogóle, w porządku duchowym, kłopotu bardziej palącego. Ale tutaj nasunąć się może pytanie (jakoż i nasunęło się niejednokrotnie) czy takie obnażenie esencjonalnej sztuczności człowieka nie prowadzi do zgnubnych następstw pod względem moralnym, a także społecznym. Jeśli bowiem ktoś oświadcza, że jest "zniekształcony" przez innych, że wypowiada się i objawia w "formach", które mu zostały narzucone, to, rzecz jasna, przestaje się on czuć wyłącznie i całkowicie odpowiedzialny za swoje postęпки. I jeśli, z jednej strony, taka postawa zapewnia nam niezmierną swobodę i to nie tylko wobec naszych czynów, ale nawet wobec najbardziej "własnych" drgnięń duszy, wobec, rzekłbym, samego naszego "ja", to, z drugiej, wygląda to tak jakbyśmy wycofywali się z naszej osoby. To hasło odwrotu. To próba oderwania się od tego, czym się jest. Czyż więc ten uchylający się, umykający duch mego pisania nie jest po prostu zaproszeniem do anarchii, a nawet do samounicestwienia?

Nieraz stawiano mi takie zarzuty. Dla wielu mądrali moja literatura jest tylko igraszką, kaprysem, a inni podejrzewają mnie o jakieś burzycielskie pasje. Wszystkim tym stróżom moralności to przede wszystkim miałbym do powiedzenia: moi drodzy, życie jest trudne. Drogi ludzkości żmudne i zawile. Wypracowania zadawałające pod każdym względem, idealnie poprawne, pisują tylko pensjonarki. Nie wymagajcie ode mnie abym rozwiązał zagadkę bytu, opanował żywioł ludzki, ani też abym dał w sztuce pełny jego obraz — nie, ja mogę tylko przekazać wam jeden aspekt rzeczywistości, fragment, cząstkę, która musi być uzupełniona tysiącem i tysiącem innych ujęć, innych podejść... Nie przybierajcie też miny jakby już wszystko było wam wiadome i jakbyście już tak dokładnie byli poinformowani o tym co jest szkodliwe, a co pożyteczne. I jakiej sztuki wy właściwie chcecie? Takiej, która by wam tylko recytowała wiecznie te same komunały, czy też takiej, która stanowi krok naprzód?... Chcecie aby artysta pisał wam czytanki szkolne, czy też wolicie oglądać jego ból, śmiech, zabawę, rozpacz i jego — nawet — klęskę i upokorzenie w prawdziwym zmaganiu się ze współczesnym życiem?

Ale nawet gdybym szczerze pragnął zadowolić waszą moralność, wasz program, waszą ideologię, wasze interesy, to bym nie mógł: bo przecież wszystkie te wasze koncepcje niemiłosiernie pożarły się między sobą i każda z nich domaga się czego innego. Nie jestże śmieszne widzieć jak dziś jeden drugiemu wymyśla, ziejąc oburzeniem, od szkodników i łajdaków — jak gdyby wszyscy nie byli aktorami tej samej farsy. I oto dla czego ja, znudzony tym wrzaskiem, dość mając tego użerania się rozpętanych Form, usiłuję wycofać się w głąb, poza fasadę, tam gdzie człowiek staje się Wytwórcą Formy, nie jej niewolnikiem.

Odwrot? Zapewne. Bywają jednak odwroty, które są nakazem rozwoju — i więcej one warte niż na oślep z krzykiem prowadzona ofensywa. Nie przeczę, że świat mój jest trudniejszy od waszego — ale jeśli uważniej wczytacie się w moje utwory, to spostrzeżecie, że ta moja pozorna "ucieczka" od życia przeobraża się w atak — a moja "sztuczność" prowadzi właśnie do wielkiej szczeroci — a moja "nieodpowiedzialność" umożliwia mi bardziej poważne podejście do naszych spraw, najbardziej palących. Czyż bowiem, gdybym czuł się tak stuprocentowo "odpowiedzialny", mógłbym być bezpośredni? Czy, gdybym nie śmiał przyznać się do własnej sztuczności, mógłbym być szczerzy? Czy, gdybym nie uciekał od wszystkich schematów, mógłbym upierać się z taką namiętnością przy tych zasadniczych imponderabiliach — jak ludzkość... jak szlachetność, dumna, godność, niezależność? Tak, niewątpliwie: w tej mojej krainie fikcji, fałszu i nieodpowiedzialności utrzymuje się jednak, żywa i nietknięta, sama odwieczna potrzeba nasza prawdy, cnoty. Sztuka moja jest i pozostanie protestem przeciwko temu właśnie światu, który ukazuje. I nawet gdyby opór był zgoła bezsilny, gdyby świat zewnętrzny do tego stopnia nas przeniknął i zniekształcił, iż nikt z nas nie mógłby zaufać żadnej myśli, żadnemu uczuciu swojemu, to przecież wystarczy sama świadomość zniekształcenia, ona to, świadomość, pozwoli nam wziąć rozbrat ze spaczonym kształtem naszym...

Widzicie więc, że bardzo prosta jest w gruncie rzeczy moja filozofia. Ja, jak wy, nienawidzę kłamstwa. Jak wy, jestem śmiertelnie zmęczony tą wielką Gębą współczesności i głupotą głupców, niedojrzałością niedojrzałych, podłością podłych. Szlachetny duch mój wije się pod tym uciskiem — podobnie jak i wasze duchy. To jest przyczyna, dla której pragnę dotrzeć do większej dojrzałości, osiągnąć wyższy szczebel świadomości — a wszystko co kiedykolwiek napisałem, choćby to miało pozór szaleństwa, choćby się wydawało przy czytaniu, że autor jest jak bela pijany, nie co innego ma na celu.

Ale obawiam się iż ten "Trans-Atlantyk" zacznie wierzeć, widząc się opatrzonym aż tak poważną przedmową — nie, nigdy ta stara, koślawa fregata nie miała pretensji do podobnie dumnego ogona. Żaglowiec ten to po prostu pamiętnik — pamiętnik z pierwszych dni mojego pobytu w Argentynie. Z chwilą gdy zawałiło się wszystko powstała próżnia: w tej to próżni "formalnej" odbywa się pokraczny pochod scen, rozpiętych między przeszłością a przyszłością. Odnajdziecie w tej starodawnej gawędzie refleksy rzeczywistych moich przygód tutaj, a więc na przykład refleksy utarczek moich z tępą biurokracją Narodu, lub z miejscowym gronem pięknoduchów. Co chwila będzie się wam zdawać, że jesteście na tropie jakichś rzeczywistych zdarzeń, ale co chwila też owa rzeczywistość będzie się ulatniać w sen...

Czyż potrzebuję zaznaczać, że nie jestem pisarzem realistycz-



nym? Nie jestem opisywaczem i głosicielem świata zewnętrznego — jestem tylko piewą tego, co we mnie się dzieje. Niech więc nikt nie szuka w tym poemacie sprawiedliwego raportu na temat naszych emigrantów, lub wiernego opisu rzeczywistości Argentyny. Jeżeli przyzwałem na te karty biernego i płaskiego ducha tutejszych estetów, który tak mi się dał we znaki w Buenos Aires, to wcale nie znaczy abym poza tą infra-Argentyną nie dostrzegał innej, rodzącej się i istotniejszej Argentyny.

Bez obawy zatem, bez skrpułów, możecie wstąpić na pokład starego, dziurawego pudła, aby pożeglować po wodach losu waszego. Spójrzcież — cóż to za dziwaczny okręt! Maszty spróchniały, z lamusa chyba wyciągnięte, a jak dyszle! Koło sterowe jakby z bryczki zdjęte, a żagle ze starych waszych prześcierań! I cały statek wypełniony od góry do dołu jakąś niewydarzoną, ciężką i niezdatną mową i jakby echem dawnych gestów, przebrzmiałego już ceremoniału, jakimś pradawnym cuctwem, odwieczną sklerozą. Kulawy, kaczy, krowi okręt, tępy, psi i koński statek, a właściwie bryczka, dawna bryczka nasza...

Ale ten cudacki wehikuł uwozi was jak się rzekło, wprost na plac pojedynkowy losu waszego: gdzie w pustce wystrzałów obwieszczą się konflikt pomiędzy pobożną Dawnością, a rozwydrzeniem nieznającej norm Dzisiejszości. O cóż tu idzie? Groźne, potężne pytanie, które przewija się na dnie tej humorystycznej opowieści brzmi jak następuje: czy Polacy mają upierać się przy obecnym kształcie swoim, czy mają pozostać tym, czym są obecnie i czym ich stworzyła przeszłość, czy też raczej winni na oślep powierzyć się życiu, rozwojowi, dać niejako krok w ciemność aby wyzwolić się z siebie? Istnieje jednak trzecie rozwiązanie. I utwór ten odradza wam abyście wybuchem śmiechu wykpiłi wszelkie najbardziej dramatyczne wasze antynomie: jeśli potraficie śmiać się z siebie, bawić i cieszyć się sobą, choćbyście w najgorszych znajdowali się opałach, będziecie zbawieni.

I możecie oglądać tutaj, jak zadawnione formy Przeszłości waszej, jak ten ociężały, niezgrabny Sarmatyzm, wijąc się w śmiertelnych zapasach pod razami wroga, usiłuje zjednać sobie niechętną Naturę. Jak pod niebem milczącym, złowrogim, brzemiennym ironią, na ciemnym bezkresnym ugorze te śmieszne kukły starają się czarować sobą lub przerażać sobą. Daremnie się wdzięczą! Daremnie, aby przestraszyć Naturę, grozę wytwarzają! Próżno nadludzkością usiłują nadrobić swą ludzkość! Próżno ceremonie swe pełnią i święcą obrzędy! A ja, Gombrowicz, pokraczny "geniusz" szarpie się między tą zadawnioną, bezsilną Ojczyzną, a nową Synczyny religią, religią stawania się i przetwarzania: o, niech by uwieść Ojcu Syna, a niech by Syna spod ręki ojcowskiej wyzwolić, niech by Syn pana Ojca jak koń poniósł gdzie oczy poniosą... O Syn, Syn, Syn! Oto jedyne światło, jedyna miłość, jedyna nadzieja! Oto Jutro, oto Wyzwolenie! Więc, sprzymierzając się z kapłanem anar-

chii, uwodzę Syna w krainę, gdzie wszystko ze wszystkim się parzy! O Syn, Syn, Syn! I Syn, porwany rytmem straszego Buch-bacha podnosi rękę na Ojca swojego! A Ojciec syna chce zabijać!

A zatem już koniec! Już kres! Już nie ma zbawienia! Pochylcie czoła, krwawym rumieńcem pokryte! A nad nieszczęściem waszym i porażką wznosi się znak nieodwołalny, pieczęć wieczystej śmieszności! I dramat wasz tym bardziej dramatyczny, iż nie dojrzał do dramatu! Klęska tym okropniejsza, iż ona nawet klęską być nie jest w stanie! Nieszczęście wasze nie wzrusza, lecz śmieszy! A więc już koniec, koniec i kres, kres i Buchbach, Buchbach i hańba, hańba i tylko rumieniec! A jednak, nie! A jednak nie traćcie nadziei! Nie, o, nie, to nie klęska, to Zwycięstwo raczej! Patrzcież jak lekko, cudownie on, Syn wasz, wzbija się na skrzydłach boskiej chłopięcej zabawy ponad swój upadek — patrzcież jak umknął klęsce swojej w rozbawienie! I patrzcież jak dzielnie, jak dziarsko ja, Gombrowicz, za łeb zła-pałem śmieszność, która nas tratuje i, oklep dosiadając jej, ja, jeździec, koniem śmiechu naszego głoszę dumę naszą!

#### PIERWSZY FRAGMENT TRANS-ATLANTYKU

Odczuwam potrzebę przekazania Rodzinie, krewnym i przyjaciołom moim tego oto zaczątku przygód moich, już dziesięcioletnich, w argentyńskiej stolicy. Nikogo ja na te Kluski stare moje, na Rzepę może i surową nie zapraszam, bo w Cynowej misie Chude, Kiepskie, a do tego podobnie Wstydlive, na oleju Grzechów moich, Wstydlów moich, te Krupy ciężkie moje, Ciemne, z kaszą czarną moją, ach, że i lepiej do Ust nie wziąć, bo chyba na wieczne Przekleństwo, Poniżenie moje, na drodze nieustającej Życia mojego i pod tę ciężką, żmudną Górę moją.

Dwudziestego pierwszego sierpnia 1939 roku ja na statku Chrobry do Buenos Aires przybijałem. Żegluga z Gdyni do Buenos Aires nadzwyczaj rozkoszna... i nawet niechętnie mnie się na ląd wysiadało, bo przez dni dwadzieścia człowiek między Niebem i wodą, niczego niepamiętny, w powietrzu skąpany, w fali roztopiony i wiatrem przewiany. Ze mną Czesław Straszewicz, towarzysz mój, kajutę dzielił, bo obaj jako Literatki żal się Boże mało co opierzone na tę pierwszą nowego okrętu podróż zaproszeni zostaliśmy; oprócz niego Rembieliński senator, Mazurkiewicz minister i wiele innych osób, z którymi się poznałem. Dwie też Panienci ładne, Zgrabne, Pochopne, z którymi ja w wolnych chwilach bajdurzyłem i barszkowałem, Główni za-wracałem, a tak powtarzam, między Niebem i Wodą, a wciąż przed siebie, Spokojnie...

Otóż, jakeśmy do łądu dobili, ja z panem Czesławem i Rembielińskim senatorem w miasto zapuściliśmy się, a całkiem na oślep, jak w Rogu, bo żaden z nas tu nigdy nogą nie stąpił. Zgiełk, pył i szarość ziemi niemile poraziły po owym czystym, słonym fal różańcu cośmy go na Wodzie odmawiali. Niemniej, przez plac Retiro, na którym wieża stoi przez Anglików zbud-



wana, przeszedłszy, żwawo w ulicę Florida wstąpiliśmy, a tam sklepy Luksusowe, nadzwyczajna Artykułów, towarów obfitość i publiczności kwiat dystyngowanej, tam Magazyny wielkie i cukierne. Tam Rembieliński senator sakiewki oglądał, a ja afisz, na którym słowo "CARAVANAS" wypisane, zobaczyłem i mówię do pana Czesława w ten dzień jasny, Zgiekliwy, gdyśmy to tak sobie chodzili, chodzili: — II... widzisz pan, panie Czesław, te Caravanas?

Ale zaraz na statek wracać musieliśmy, gdzie kapitan Prezesów i Przedstawiciele tutejszej Polonii podejmował. Zeszła się tych Prezesów i Przedstawiciele duża kupa, a ja zaraz sobie wrogów narobiłem, bo w tyłu nowych, nieznanym obliczach, jak w Lesie, zgubiony w godnościach i tytułach się gubiłem, ludzi, sprawy i rzeczy mieszałem, to wódkę piłem, to znowu nie piłem i jak omackiem po Polu chodziłem. Także i JW. minister Kosiubidzki Eugeniusz, poseł nasz w tym kraju, obecnością swoją Przyjęcie zaszczycał i, szklaneczkę w dłoni trzymając, stał ze dwie godziny, to tego to tamtego najuprzejmiej stanem swoim zaszczycając. W mów, rozmów odmęcie, w lamp niezwywym lśnieniu, ja jak przez Teleskop na wszystko patrzyłem i wszędzie Obcość widząc, Nowość i Zagadkę, jakąś nikością i szarością zdjęty, domu mego, Przyjaciół i Towarzyszów wzywałem.

Owoż i Mało co z tego. Ale coś niedobrze. Bo już tam, panie gdzieś tam coś tam się kiełbasi, a choć i puste jak w nocy na polu, tam za Lasem, za Gumnem, trwoga i Skaranie boże i jakby się na co zanosilo; ale każdego myślał, że może rozejdzie się po kościach, a z Dużej Chmury mały deszcz i tak to jak z Babą, co Tarza się, Ryczy, Jęczy z Brzuchem wielkim, Czarnym ach Niemiłosiernym, że chyba Szatana porodzi, a to ją tylko kolki sparły; więc po strachu. Ale coś Niedobrze i coś Niedobrze chyba, oj, Niedobrze. W ostatnich tych dniach przed Wojny Wybuchem ja z panem Czesławem, Rembielińskim senatorem i Mazurkiewiczem ministrem na wielu Przyjęciach byliśmy, bo to i JW. poseł Kosiubidzki i Konsul i Markiza jakaś w hotelu Alvear i Bóg raczy wiedzieć kto i co i gdzie i z jakiej przyczyny, a z czym do czego i po co; ale gdyśmy z tych przyjęć wychodzili, to na ulicach o uszy nam się obijał gazet krzyk "Polonia, Polonia" uprzykrzony. Już tedy coraz nam ciężiej, coraz markotniej, a każdego uszy po sobie, jak Struty chodzi, tyleż Troskami, co Frykasami wypełniony. Aż tu Czesław do kajuty naszej (bo wciąż na statku mieszkaliśmy) z gazetą wpada: "Wojna dziś, jutro wybuchnąć musi, nie ma Rady! Owoż kapitan rozkaz wydał, aby jutro statek nasz wypłynął, bo choć do Polski już się nie przedostaniemy, to pewnie gdzieś do Anglii, Szkocji brzegów dobijemy". Gdy to wyrzekł, że Łzami w objęcia sobie padliśmy i zaraz na kolana padliśmy, pomocy Bożej wzywając i Panu Bogu się ofiarowując. A tak klęcząc, powiadam do Czesława: — Płyńcież, płyńcież z Bogiem!

Czesław do mnie: — Jakże to, przecie z nami płyniesz! Powiadam więc (a umyślnie z kolan nie wstawałem): — Płyńcież i obyście szczęśliwie dopłynęli. Mówi: — Co tyż ty mówisz? To ty nie popłyniesz? Powiadam: — Jabym do Polski popłynął; ale po co mnie do Anglii? Po co mnie do Anglii, lub do Szkocji? Tu zostanę. Tak jemu półgębkiem mówię (bo całej prawdy powiedzieć nie mogłem), a on patrzy się na mnie i patrzy. Ozwał się, a już bardzo zafrasowany: — Nie chcesz z nami? Tu wolisz się zostać? Ale ty do Poselstwa naszego pójdziesz, tam się Zamelduj, żeby cię za dezertera albo i co gorszego nie ogłoszono. Pójdziesz do Poselstwa, pójdziesz? Odpowiedziałem: — Co sobie myślisz, pewnie że pójde, przecież wiem co jako Obywatel powinienem, już się o mnie nie bój. Ale lepiej nikomu nie mów, może jeszcze Zamiar swój odmienię i z wami odpłynę. Dopiero wtenczas z klęczek powstałem, bo już najgorsze przeszło, a Czesław pocziwy, ale i Zafrasowany, nadal serdeczną mnie darzył przyjaźnią (choć jakby Tajemnica jakaś między nami była).

Ja człowiekowi temu, Rodakowi, prawdy całej nie chciałem wyjawić, ani tyż innym Rodakom i Swojakom moim... bo chyba by mnie za nią żywcem na stosie palono, końmi albo kleszczami rozrywano, a od czci i wiary odsądzono. Trudność zaś największa moja taka, że, na statku mieszkając, żadną miarą potajemnie jego opuścić nie mogłem. Dlatego to, jak najusilniej się przed wszystkimi mając na baczności, ja niby to w tym rozgardiaszu powszechności całej, w biciu serc, w Zapalu wykrzykach i śpiewkach, w cichych lęku i troski westchnieniach tyż za innymi Wołam, albo Śpiewam, albo Blegam, albo Wzdycham... ale gdy już liny odwiązują, gdy Statek ludźmi rozkołatany, od ludzi Rodaków czarny, już już odbijać ma, odpływać, ja z człowiekiem, który za mną dwie walizki moje niósł, po schodkach na ląd zstępuję i oddalać się zaczynam. Owoż tak się Oddalam. A wcale za siebie się nie oglądam. Oddalam się, a nic nie wiem, co tam za mną. Ale oddalam się po zwirowanej Alei i już dość daleko jestem. Dopiero, gdy już dobrze się Oddalił, przystanąłem i za siebie spojrziałem, a tam Okręt od brzegu odbił, na wodzie stoi, a ciężki, Pękaty.

Wtenczas na kolana paść chciałem! Jednakowoż wcale nie padłem, a tylko tak z cicha Bluźnić, Wyklinać silnie, ale do Siebie Samego zacząłem: — A płyncież wy, płyncież Rodacy do Narodu swego! Płyncież wy do Narodu waszego świętego chyba Przekłętego! Płyncież do Stwora tego św. Ciemnego, co od wieków zdycha, a zdechnąć nie może! Płyncież do Cudaka waszego św., od Natury całej przekłętego, co wciąż się rodzi, a przecież wciąż Nieurodzony! Płyncież, płyncież, żeby on wam ani Żyć, ani Zdechnąć nie pozwalał, a na zawsze was między Bytem i Niebytem trzymał. Płyncież do Ślamazary waszy św. żeby was ona dali Ślimaczyła! Okręt już skosem się zwrócił i odpływał, więc jeszcze to mówię: — Płyncież do Szaleńca, Wariata waszego św. ach chyba Przekłętego, żeby on was skokami, szalami swoimi Męczył, Dręczył, was krwią zalewał, was Ry-



kiem swym ryczał, wrykiwał, was Męką zameczał, Dzieci wasze, żony, na śmierć, na Skonanie sam konając w konaniu swoim Szału swojego was Szalał, Rozszalał! Z takim więc Przekleństwem od Okrętu się odwróciwszy, do Miasta wstąpiłem.

Miałem wszystkiego 96 dolarów, które mnie co najwyżej na dwa miesiące najskromniejszego życia starczyć mogły, więc zaraz trzeba było się pogłowić, co i jak uczynić. Umyśliłem najprzód do pana Cieciszowskiego się skierować, którego jeszcze z dawnych lat znałem, bo matka jego, owdowiawszy, pod Kielcami u Adasiów Krzywnickich zamieszkała, o mil dwie od Kuzynów moich, Szymuskich, do których ja czasem z bratem moim i z bratową zajeżdżałem, a głównie na Kaczki. Ten więc Cieciszowski, od kilku lat tu przebywający, mógł mnie służyć radą i pomocą. Z tłumokami zaraz do niego pojechałem i tak szczęśliwie się złożyło, że go w domu zastałem. Najdziwniejszy to chyba człowiek był, jakiego ja w życiu spotkałem, bo Chudy, drobny, od Bładaczki, której w dzieciństwie się nabawił, bardzo Błady, przy całej grzeczności, układności swojej, jak Zając pod miedzą słuchami strzyże, wiatr łapie, a nieraz łapu capu Krzyknie albo i Ucichnie. Ujrawszy mnie zawołał: — Kogo widzę! I ściska, siadać prosi, stołków przystawia, a w czym by pożyteczny mógł być, zapytuje.

Prawdziwej, a ciężkiej Bluźnierczej przyczyny zostania mego jemu wyjawić nie mogłem, bo, Rodakiem będąc, mógł mnie wydać. Powiadam więc tylko, że siak, owak, widząc, że od kraju odcięty jestem, z wielkim Bólem, żalem moim tu zostać się postanowiłem, zamiast do Anglii lub do Szkocji na tułaczkę płynąć. Z równą mnie odpowiedział ostrożnością, że już to pewnie w tej potrzebie Matki naszej serce pocziwe Syna każdego do niej, do niej Ptakiem się wrywa, ale, powiada, trudna Rada, rozumiem Boleść twoją, ale przecie przez ocean nie przeskoczysz, więc też Postanowienie twoje pochwalam albo nie pochwalam, i dobrześ zrobił, żeś się tu został, choć może Niedobrze. Tak mówi, a palcami Młynka kręci. Widząc tedy, że on tak temi palcami kręci, kręci, pomyślałem "co ty tak kręcisz, to może i ja Ci pokręcę" i też jemu Młynka zakręciłem, a zarazem mówię:

— Tak pan mniemasz?

— Nie jestem ja na tyle szalonym żebym w Dzisiejszych Czasach co mniemał albo i nie mniemał. Ale gdyś tu się został, to idźże zaraz do Poselstwa, albo nie idź, i tam się Zamelduj, albo nie Zamelduj, bo jeśli się Zameldujesz lub Niezameldujesz, na znaczną przykrość możesz być narażonym, lub nie narażonym.

— Tak sądzisz pan?

— Sądzę, albo i nie sądzę. Różne co sam uważasz (tu palcami kręci), albo nie uważasz (i palcami kręci), bo już głowa

twoja w tem (znów palcami kręci), żeby cię co Złego nie spotkało, albo i Spotkało (i znów kręci).

Dopiroż ja jemu zakręciłem i mówię: Taka rada twoja? Kręci, kręci, aż tu do mnie przyskakuje: — Nieszczęsny Człowieku, a toż ty lepiej Zgiń, Przepadnij i cicho sza, a do nich nie chodź, bo jak się do ciebie przyczepią, to się nie odczepią! Słuchaj Rady mojej, lepiej ty z Obcemi, z Cudzoziemcami się trzymaj, w Cudzoziemcach zgiń, Rozpłyn się, a niechże ciebie Bóg broni od Poselstwa, a tyż od Rodaków, bo Żli, Niedobrzy, skarani boże, tylko ciebie Gryźć będą i tak cię zagryzą! Dopiroż powiadam: — Tak uważasz? Na to wykrzyknął: — A niechże cię ręka Boska broni, żebyś ty Poselstwa albo Rodaków tutaj będących unikał, bo jak ich unikać będziesz to Gryźć ciebie będą, a tak cię zagryzą! Palcami kręci, kręci, ja też kręcę, a już od tego kręcenia mnie się w głowie zakręciło, ale przecie coś począć trzeba, bo pusta sakiewka, więc w te słowa ozwałem się: — Nie wiem czybym jakiego zajęcia nie dostał, żeby to przynajmniej pierwsze miesiące przetrzymać... Gdzieby tu co znaleźć? W ramiona mnie złapał: — Nie bój się, zaraz co uradzimy, już ja ciebie z Rodakami poznam, to ci dopomogą lub nie dopomogą! Tu zasobnych naszych kupców, przemysłowców, finansistów nie brak, a już ciebie jako wkręcę, wkręcę... lub nie wkręcę... i palcami kręci.

Rada w radę. Owoż, powiada, tu trzech współników jest, którzy Spółkę mają i Interes Koński tyż i Psi Dywidendowy założyli a oniby tobie pomogli albo nie pomogli i może na urzędnika albo pomocnika zgodzili z pensją 100 albo 150 Pezów, bo najzacniejszych, najpocziwszymi lub nienajpocziwszymi są ludźmi, Spółka zaś Komandytowa, Subhastowa lub nie Subhastowa; ale w tem sęk, żeby każdego z nich na osobności zdybać i na osobności Prywatnie się rozmówić, bo tam z dawnych Czasów dużo Jadu, Swaru i tak już jeden drugiemu Obmirzły, że jeden przy drugim Obmirzły i tylko by Mierzł. Ale w tem Sęk, że jeden drugiego na krok nie odstępuje. Owoż jabym ciebie Baronowi przedstawił, bo to człek hojny, wspaniały i łaski ci swojej nie odmówił; ale cóż kiedy Pyckal wtenczas ciebie sklnie i baronowi cię wyzwie od Jasnej Cholery, Baron ciebie Pyckalowi ofuknie, się zadmie, z Fumami na ciebie Pyckalowi wjedzie, Ciunkała zaś Baronowi, Pyckalowi ciebie okantuje, może Osmaruje. Owoż w tem sęk, żeby ciebie Baronowi przeciw Pyckalowi, Pyckalowi przeciw Ciunkale i Ciunkale przeciw Pyckalowi, Pyckalowi przeciw Baronowi (tu palcami kręci). Długo jeszcze gadaliśmy o tem i owem, a też przyjaciół z dawnych czasów wspominaliśmy, aż w końcu (a może już druga popołudniu była), do pensjonatu, który mnie wskazał był, z pakunkami memi pojechałem i w nim pokoik mały za pezów 4 dziennie wynająłem. Miasto jak miasto. Domy jedne wysokie bardzo, drugi niski stoi. Na uliczkach ciasnych tłok duży, że ledwie przecisnąć się można, a pojazdów mnóstwo. Huk, stuk, trąbienie, ryczenie, powietrza nieznośna wilgotność.



Nigdy tych pierwszych dni moich w Argentynie nie zapomnę. Nazajutrz, jakem tylko w moim pokoiku zbudził się, doszedł mnie przez ścianę Staruszka płacz, jęki i biadolenie, a ze skarg jego to tylko rozumiałem "guerra, guerra, guerra". Jakoż gazety krzykliwym głosem wybuch wojny obwieszczały, ale i co tam kto wiedział, bo jeden mówi że tak, drugi, że siak, a rozejdzie się po kościach, nie rozejdzie, biją się, nie biją, i tak nic, a Szaro, Giucho, jak w polu na deszczu. Dzień był jasny, pogodny. Ja w tłumie zgubiony, mojem Zgubieniem się cieszyłem i nawet do siebie na głos powiadam: "Nic piskorzowi kiedy Raka biją". A tam Biją! Przed Redakcjami gazet wielkie ludzi mrowie. Do taniej garkuchni wstąpiłem, żeby co przekąsić i Bife za 30 ctvs. zjadłem, ale powiadam (a wciąż do siebie): "Zdrów Czyżyk choć tam Barana sztorcują". A tam i sztorcują! Potem więc nad rzekę poszedłem, gdzie pusto, cicho, wietrzyk wieje i mówię do siebie: "Otóż to Makolągwa czyrka, a Borsuk w Potrzasku, mało co ze skóry nie wyskoczy". A tam ze skóry mało co nie wyskakują..." i za Gumnem, za Stawem, za Lasem niemilosierny Wrzask, Ryk, Biją, Mordują o zmiłowanie proszą, Pardonu nie dają i Diabli wiedzą co, a pewnie i Diabli!

Powiadam tedy: "Na co mnie do Poselstwa iść, do Poselstwa ja wcale nie pójde, a że Chuda Szkapa była, to niech Zdycha". A tam i Zdychają. Powiadam więc: "Na wszystko moje zaklinam się i przysięgam, nie będę ja się w to mieszał, bo nie moja Sprawa i, jeśli konać mają, niech konają", ale wzrok mój na małym Robaczku spoczął, który po żdzble trawy do góry się wspinał i widzę, że Robaczek ten w tem Miejscu i Czasie, w tej właśnie chwili i na tem Brzegu, za tem Oceanem, wspina się i wspina, wspina się i wspina, a wówczas najokropniejsza mną owładnęła trwoga i myślę, że lepiej do Poselstwa pójde, o pójde, tak, pójde, pójde, Jezus Maria pójde, lepiej pójde, i poszedłem.

Poselstwo okazały gmach na jednej z bardziej dystyngowanych ulic zajmowało. Doszedłszy do gmachu tego, przystanąłem i myślę, iść, czy nie iść, bo po co ja będę do Biskupa chodził, gdy m kacierz od Wiary odstępca, bluźnierca. I zaraz najokropniejsza Pycha, Duma moja, która od lat dziecinnych mnie przeciw Kościołowi memu kierowała! Bo przecie nie na to mnie Matka urodziła, nie na toż Rozum mój, Wzniosłość, Twórczość moja i lot Natury mojej niezrównany, nie na toż Wzrok przenikliwy, Czoło dumne, Myśl ostra gwałtowna, abym ja w kościołku swojskim Gorszym, Mniejszym do Mszy ach chyba Gorszej, Tańszej, w Chórze tańszym, marniejszym, kadzidłem miernem, marnem się odurzał wraz tam z innemi swojskiemi Swojakami swemi! O, nie, nie, nie na toż ja Gombrowicz, abym przed Ołtarzem ciemnym, niejasnym, a może nawet Szalonym uklękał (ale Biją), nie, nie, nie pójde, kto wie co mi zrobią (ale Strzelają), nie, nie chcę tam iść, kiepska,

marna Sprawa (ale Mordują, Mordują!) I w Mordzie we krwi, w Bitwie do gmachu wstąpiłem.

A tam cicho i Wschody duże, dywanem wysłane. Przy wejściu woźny pokłonem mnie przyjął i do Sekretarza po wschodach prowadził. Na pierwszym piętrze sala duża, kolumnowa, a w niej dosyć mroczno, chłodno i tylko przez okien kolorowe szybki pęki promieni wpadają, na gzymsach, ciężkich sztukate-riach i złoceniach przysiadają. Wszedł do mnie Podrocki radca w ciemnogrnatowym czarnym Garniturze, w Cylindrze oraz w rękawiczkach, a z lekka Cylindra uchyliwszy półgłówno o powód mej wizyty wypytywał. Gdy mu powiedział, że z JW. Posłem pragnę się rozmówić, zapytał: — z J. W. Posłem? Powiadam więc, że z JW. Ministrem, on zaś mówi: — Z Ministrem, z samym pan mówić chcesz Panem Ministrem? Gdy więc mówię, że, owszem, z J. W. Posłem chciałbym rozmówić się, w te słowa mi odpowiedział, głowę na pierś chyląc: — Powiadasz pan, że z Posłem, z samym Panem Posłem? Mówię więc, że owszem, z Panem Ministrem, bo ważną mam sprawę, on zaś powiada: — A! Nie z Radcą, nie z Attaché, nie z Konsulem, z samym pan pragniesz widzieć się Ministrem? A po co? A w jakim celu? A kogo pan znasz tutaj? A kim pan jesteś? Z kim się przyjaźnisz? Do kogo chodzisz? Tak to on zaczął wybadywać i coraz ostrzej do mnie Doskakiwał, przyskakiwał, aż wreszcie z tego wszystkiego Rewizją zaczął robić i sznurek mnie z kieszeni wyciągnął: Wtem drzwi się w głębi otwierają i JW. Poseł wyjrzał, a że to już znany mu byłem, na mnie Kiwnął: za sprawą kiwnięcia tego Radca w ukłonach się rozpiywając i Kuprem wierząc, a Cylindrem wymachując, do gabinetu mnie wprowadził.

Minister Kosiobudzki Feliks jednym z najdziwniejszych był ludzi, na jakich ja w życiu mojem natrafiłem. Cienki Grubawy, cokolwiek tłustawy, nos tyż miał dość Cienki Grubawy, oko niewyraźne, palce Wąskie Grubawe i takąż Nogę Wąską, a grubawą, lub tłustawą, a Łysinka jemu jak Mosięzna, na którą włoski czarne ryżę zaczesywał; lubił zaś okiem lypać i coraz to lypnie. Zachowaniem i układem swoim niezwykły wzgląd na wysoką godność swoją wykazywał i każdym swem poruszeniem honor sobie świadczył, a tyż i tego z kim mówił sobą silnie bez przerwy zaszczycał, że już to prawie na Kolanach z nim się rozmawiało. Zaraz więc, płaczem wybuchnąwszy, jemu do nóg padłem i dłoń całowałem; a służby swoje, krew, mienie ofiarowując, o to upraszałem, aby mnie w takiej chwili św., wedle woli św., rozumienia swego, użył i moją rozporządzał osobą. Najłaskawiej mnie a siebie słuchaniem św. swoim zaszczycając, pobłogosławił i okiem lypnął, a potem mówi: — Już tobie więcej jak 50 pezów (sakiewkę wyjął) dać nie mogę. Więcej nie dam, bo nie mam. Ale jakbyś chciał do Rio de Janeiro pojechać i tamtejszego Poselstwa się czepląc to, owszem na podróż dam i nawet co na odczepne dołożę, bo Literatów nie chcę tutaj



mieć: bo tylko Doją i Obszczekają. Jedźże tedy do Rio de Janeiro, dobrze ci radzę.

Owoż Zdumienie, Zdziwienie moje! Znowu tedy mu do nóg padłem i (sądząc, że niedobrze mnie zrozumiał) osobę swoją ofiarowywałem. Powiada więc: — Dobrze już, dobrze, masz tu 70 pezów i więcej nie Doj, bom nie krowa.

Widzę więc, że on mnie Piniędzmi zbywa; a już nie tylko piniędzmi, ale Drobniakami! Na tak ciężką Obrazę moją mnie krew do głowy uderzyła, ale nie nie mówię. Dopiroż mówię: — Widzę, że JW. Panu bardzo drobnym być muszę, bo mnie Drobniakami podobnie JW. Pan zbywasz, a pewnie mnie między Dziesięć Tysięcy literatów zaliczasz; ale ja nie tylko literat, ale i Gombrowicz!

Zapytał: — A jaki Gombrowicz? Powiadam: — Gombrowicz, Gombrowicz. Łypnął i powiada: — Ano, jak Gombrowicz, to maszże tu 80 pezów i więcej nie przychodź, bo Wojna i Pan Minister zajęty. Ja powiadam: — Wojna. On mówi: — Wojna. Ja mówię: — Wojna. On mnie na to: — Wojna. To ja jemu: — Wojna, wojna. Przestraszył się nie na żarty, aż mu jagody zbiełały, łypnął na mnie Okiem: — A co? Maszże wiadomość jaką? Mówiono ci co? Nowiny jakie?... — ale się pomiarkował, chrząka, kaszle, za uchem się drapie i mnie Klepnął: — Nic to, nic, nie bój się, już my wroga pokonamy! A zaraz głośniej krzyknął: — Już my wroga pokonamy! Wtedy więc jeszcze głośniej krzyknął: — Już my wroga pokonamy! Pokonamy! Powstał i krzyczy: — Pokonamy! Pokonamy!

Słyszając te wykrzyki jego, a widząc, że z fotela wstał i Celebruje, a nawet Zaklina, ja na kolana padłem i, w tej Celebracji św. się stowarzyszając, krzyczę: — Pokonamy, pokonamy, pokonamy!

Odsapnął. Okiem łypnął. Mówi: — Pokonamy, psia jego mać, już ja ci to mówię, a to ci mówię, żebyś nie mówił, że ja ci mówiłem, że nie Pokonamy, bo tyż ci mówię, że Pokonamy, Zwycięzimy, by w proch zetrzemy dłonią mocarną najjaśniejszą naszą w proch, pył rozstrzaskamy, rozbijemy, na Pałazach, Lancach roznieśmy a zgnieciemy i pod Sztandarem naszym a w Majestacie naszym o Jezus Maria, o Jezus, o, Jezus, rozmiażdżemy, Zabijemy! O, zabijemy, roznieśmy, zdruzgoczymy! A co się tak patrzysz? A przecie ci mówię, że zgnieciemy! A przecie widzisz, słyszysz, że ci sam Minister, Poseł Najjaśniejszy mówi, że Zgnieciemy, widzisz chyba, że sam Poseł, Minister tu przed tobą chodzi, rękami macha i ci mówi, że Zgnieciemy! A żebyś nie czekał, że ja przed tobą nie Chodziłem, nie Mówiłem, bo przecie widzisz, że Chodzę i Mówię!

Tu się zdziwił, Baraniem Okiem na mnie spojrzął i powiada:

— A to ja przed tobą Chodzę, Mówię!

Potem powiada:

— A to sam Poseł, Minister przed tobą Chodzi, Mówi... To ty chyba nie Byle Pętka jeżeli sam JW. Poseł tyle czasu z

tobą siedzi, a i Chodzi przed tobą, Mówi, nawet wykrzykuje... Siadajże Pan Redaktor, siadaj. A jak godność, proszę?

Powiadam, że Gombrowicz. Powiada: — Owszem, owszem, słyszałem, słyszałem... Jakżeby nie słyszał, jeżeli przed tobą Chodziłem, Mówiłem... Trzebaż Szanownemu Panu jako z pomocą przyjść, bo ja obowiązek swój wobec Piśmiennictwa naszego Narodowego znam i jako minister tobie z pomocą przyjść muszę. Owoż, że to pisarzem jesteś, jabym tobie pisanie artykułów do gazet tutejszych wychwalające, wystawiające Wielkich Pisarzów i Geniuszów naszych zlecił, a za to Krakowskim Targiem 75 pezów na miesiąc zapłać... bo więcej nie mogę. Tak krawiec kraje, jak materii staje. Wedle stawu grobla! Kopernika, Szopena lub Mickiewicza ty wychwalać możesz... Bójże się Boga, przecie my Swoje wychwalać musimy, bo nas zjedzą! Tu się ucieszył i mówi: — Otóż to dobrze mnie się powiedziało i Najwłaściwsze to dla mnie, jako Ministra, a tyż i dla ciebie, jako Pisarza.

Ale powiadam: — Bóg zapłać, nie, nie. Zapytał: — Jakże to? Nie chcesz wychwalać? Rzekłem: — Kiedy mnie Wstydno. Krzyknie: — Jako ci wstydno? Mówię: — Wstyd, bo swoje! Łypnął, łypnął, łypnął! — Co się wstydzisz g...! — wrzasnął. — Jeśli Swojego nie będziesz chwalił, to kto ci pochwali?

Ale odsapnął i mówi: — Nie wiesz to, że każda lizka swój ogon chwali!

Rzekłem tedy: — Doproaszam się łaski JW. Panie, ale bardzo mnie wstydno.

Mówi: — Cóżes ty Zbaraniał, Zglupiał ze szczętem, czy ty nie widzisz, że Wojna, a teraz w ty Chwili wielkich Meżów na gwałt potrzeba bo bez nich Diabli wiedzą co może być, i ja tu od tego Minister, żeby Wielkości Narodowi naszemu przysparzać, o, co ja z tobą zrobię, ja chyba tobie Pysk zbiję... Ale urwał, znowu Łypnął i mówi: — Czekajże. To ty Literatem jesteś? Cóżes ty tym wyskrobał, co? Książki jakie? Zawołał: — Srocza, Srocza, chodź no tu... gdy zaś pan Radca Podroocki przybiegł, okiem na niego łypnął, a potem z nim po cichu gada, na mnie Okiem łypie. Owoż słyszę tylko, że mówią: — G...rz! Potem znowu: — G...rz! Dalej Radca do Ministra mówi: — G...rz! Minister do Rady: — G...rz pewnie musi być, ale Oko, nos dobry! Mówi Radca: — Oko, nos niczego, choć g...rz, tyż i czoło dobre! Mówi Minister: — G...rz, to, nie innego, bo wszyscy wy g...rze jesteście, ja tyż g...rz, g...rz, ale oni tyż g...rze i co tam kto się Pozna, kto tam co wie, nikt nic nie wie, kto się na czym rozumie, g... g...

— G... — powiada Radca. — No to dali go! — powiada Minister. — Ja tu zara trochi Pochodzę, a potem Lu! I patrze, a to on Chodzić zaczął i Chodzi, Chodzi po salonie, brew marszczy, Głowę schyla, sapie, szumi, puszy się, aż Huknął i Łypnął: — Zaszczyt to dla nas! Zaszczyt, bo my Wielkiego Pisarza Polskiego gościmy, może Największego! Wielki to Pisarz nasz, może



i Geniusz! Co sie gapisz, Sroka? Powitaj wielkiego g..., to jest te... Geniusza naszego!

Tu mnie Radca niski uklon sklada.

Tu mnie JW. Minister sie klania!

Tu ja, widzac, ze szydza, zarty odprawuja, chce w ciezkiej obrazie mojej bic czlowieka tego! Ale Minister mnie na fotel sadza! Podrocki Radca bucik wylizuje! Sam Minister Poseł o zdrowie moje wypytuje! Radca zaš sluzby swe ofiarowuje! Więc JW. Poseł o moje zyczenia i rozkazy pyta! Więc Radca o wpi-sanie do Ksiegi Pamiatkowej prosi! Więc Minister pod ramie bierze, po salonie oprowadza, a Radca dookoła mnie skacze, do-skakuje! I Minister: — Święto bo Gombrowicza gościmy! A Podrocki Radca: — Gombrowicz gościem jest naszym, sam Geniusz Gombrowicz! Minister: — Geniusz to Narodu naszego Sławnego! Podrocki: — Wielki Mąż Narodu naszego wielkiego!

Owóz to dziwny, najdziwniejszy Przypadek mój i Sprawa moja! Bo wiedziałem przecie, że to g...rze są którzy mnie za g...rza mają i to wszystko g..., g..., a jabym g...rzy tych po łbie pobit... A przecie nie kto inny to był, tylko sam Poseł, Minister, tyż i Radca... a stąd Nieśmiałość moja, lęk mój gdy mnie tak ważne Osoby czczą i honorują. I gdy w tem Salonie Minister z Radcą na mnie naskakuja, Honorują, gdy za mną biegają, ja, znając wysoki Urząd, godność, wagę tych g...rów, nie mogłem zbyć, pozbyć się Honorów owych! A też to ja jak śliwka w g... wpadłem! Aż odsapnął Poseł i owzał się, a już bardziej dobrotliwie: — No pamiętaj g...rzu, żeš tu przez Poselstwo jak należy uhonorowanym został, a tera o to dbaj żebyš nam wstydu przed ludźmi nie zrobił, bo my ciebie Ludziom Cudzoziemcom jako Wielkiego G. Geniusza Gombrowicza pokażemy. A co, pokażemy, Sroczo? — Pokażemy — powiedział Radca — pokażemy: G...rze to i na niczem się nie poznają!

Dopiero na ulicy folgę dałem wzburzonemu uczuciu mojemu! O, co to, jacto, skąd to, o, co to się stało?! O, a to podobnieš znów mnie złapano, złapano! O Jezus, o Boże, znowuż mnie w Życiu mojem przyłapano, a jak liszkę w potrzask! Nigdyž tedy ja się z Losu mego nie wyzwolę? Czy znowuż powtarzać muszę Wieczny Los mój i Więzienie moje?! A gdy Przeszłość moja mną jak sromką miota, gdy przepadłe wracają Odmęty, ja jak koń się wspinam, jak lew drzę, Ryczę, w furii łapami wybijam i o kratę nowego rzucam się więzienia! O, pocóżem ja do tego Poselstwa przekłętego chodził?! Otóż to g...rzom się Wielkości zachciało, Wielkości im trzeba, Geniuszów wielkich Bohaterów, żeby to przed Ludźmi się pokazać, a że to niby Geniusza Gombrowicza mamy, więc co to znaczymy, jaka chwała nasza, a jaka zasługa, jaki to Pałac nasz, jakie mebelki, szory, pychy, szychy: i, Bójcie się Boga, nie dajcie żeby nam posładków zbito, bo my Geniusza Gombrowicza mamy! Tymże to chamskim szwarclem chciał JW. Poseł g... g... oczy ludziom Cudzoziemcom mydlić, słusnie uważając, że w Amerykanów owych łatwo swoje wmówi, a jeśli mnie się nisko kłaniał będzie, to ja jemu jak ciasto przed

Ludźmi urosnę. Nie możeš to być! Nic z tego! I dopiroż w gniewie okropnym moim ja raz po razie tego Ministra g... g... g... wyrzucałem, odprawiałem, pałą, kijem przeganiałem, wyganiałem! Przekłetyż Minister g... co Narodu swego nie szanuje! Przekłetyż naród, co Synów swoich nie szanuje! Przekłetyż człowiek i Naród, którzy siebie wcale nie szanują! I, w zapamiętaniu, ja Ministra, urzędy wszelkie, godności, zaszczyty, czasy nasze, życie nasze, Naród, Państwo g... g... g... rozganiając, przeganiając kijem, pałą kropiąc, znowuż Ministra tego g...rza płatnego zwalniałem; a gdy już z 50 lub 60 razy go zwolniłem, przegoniłem, jeszcze i znowuż go zwalniałem, wyganiałem! Aż tu spostrzegłem, że śmiech przechodniów wzbudzam, którzy na mnie z pod oka spoglądali.

Naglący stan Finansów moich do działania mnie zniewalał; i trzeba mnie było zaraz na ulicę Florida iść, gdzie z Cieciszowskim byłem umówiony. Florida ulica, jak już wspomniałem, ze wszystkich miasta ulic najbardziej luksusowa; tam sklepy, tam gustowne Zakłady wszelkiego rodzaju, kawiarnie, cukiernie; a dla pojazdów wzbroniona, spacerowiczów rojem wypełniona, słońcem rozjaśniona, skrzy się, mieni, pawim ogonem się puszy. Wrodzona nieśmiałość, może i Nieporęczność jakaś, nie pozwalały mnie dokładniejszej zdać Cieciszowskiemu relacji o tem, co z Ministrem było, i tytkom nadmienić, że w gniewie myśmy się rozstali. — Oj, zawoiał, młynka palcami kręcąc, pocóż ty tam chodził, przecie ci mówiłem żebyš tam nie chodził, choć może dobrze zrobiłēš żeš Chodził! I dobre to, żeš mu nosa utarł, choć może Niedobre, bo, oj, on teraz tobie, Nieboże, utrże, utrże, utrże! Ukryj się, skryj w mysia jamę, bo jeśli się nie skryjesz, to cię znajda! Ale nie skrywaj się, nie skrywaj, mówię, bo jeśli się skryjesz to cię szukać będą, a jak cię poszukają to cię znajda. — Lecz my w rozmowie ulicą Florida idziemy! Tam za szymbami bogactwo lśni i oko wabi i szumny gwar, przechodniów rój, uklony, pozdrowienia. Raz wraz Cieciszowski mój znajomkom uśmiech, lub rękę gest, lub pokłon niski zasyła, a do mnie z cicha mówi: — Patrz, patrz, czy widzisz pan Rotfederowę? A to dyrektor Pindzel, to prezes Kotarzycki, hej, ola, ola, Prezesie! To Mazik jest, a to Bumcik, to Kulaski, a to Polaski! Ja, obok niego idąc, tyż grzecznie kłaniam się, uśmiechy moje w prawo w lewo rzucam i mieni się Floridy wąż, paradują Seniority! — Patrz, tam Klejnowa stoi! A to jest Lubek, urzędnik. Lecz coraz gęstsze ludzi mrowie i przed wystawami przystają, na nie spoglądają, a jak od jednej wystawy odchodzą, to zaraz do drugiej podchodzą, i dopiroż kaźden się patrzy, a to na Kapelusze czarny, filcowy za 36 \$, a to na Krawaty żółto-szare, modne za 5,75 \$, a znowuż Trzeci z Żoną na dywan bordo za Dróbką za 350, czwarto na Klamry Angielskie za 99, piąto na maszynki albo wentylator, tamta na dezabil jedwabny z pianką, owa Buciki spiczaste podwójne Nelsonskie, ów Tytuń Fajkowy Perski Astrachański, albo Serwis, albo tyż Cynamon. Więc na walizkę Żółtą gemzowaną za 320 patrzą i mówią: O, co za



walizka! — Ale też Kubeł za 85, także niczego, albo tyż ten Szlafrok, albo tamten Szpadel. — Jabym te mycynie kupił za 7,20. — A ja ten sweater. — Mnieby sie ten Termometr nadał, albo ten Barometr. — Zmiłuj się pan, a toż parasol ten z rączką zagiętą 42 \$ kosztuje, gdy ja lepszy, angielski za 38 wczoraj oglądałem! I tak od sklepu do sklepu, to na to, to na tamto, Spoglądali i Mówili, a potem znowuż do innego Sklepu i znowuż Mówi i Spogląda.

Wtem Cieciszowski za rękę mnie złapał: — W czepku się rodziłeś! Widzisz Barona? Baron stoi, Barona samego zdybałeś, on to przed tą wystawą, a sam, bez Wspólników, chodźmyz do niego albo i nie chodźmy, to o posadzie twojej pomówimy lub nie pomówimy! Witam, witam Barona drogiego, jak zdrowie, powodzenie, lub Niepowodzenie, a to pan Gombrowicz, który wskutek odcięcia od Kraju tu się został i z nami niepewność naszą i trwogę przeżywa, a też jakiego zatrudnienia szuka! Spojrzał na mnie Baron. I najserdeczniej porwał mnie w ramiona! Dopieroż uradowany, odskakuje, znowuż przyskakuje do pierśi tuli, a możeby co przekąsić, a możeby wypić, do domu swego mnie zaprasza i szuka Żony, która jemu gdzieś się zapodziała, bo Żonie swojej przedstawić mnie pragnął. — Zajdźże Pan do nas we wtorek! Będziemy radzi! Ale rzekł Cieciszowski: — Jemu by się jakie zajęcie zdało, bo w potrzebie, a ja jego jak w dym do Barona łaskawego: gdzie suto zastawiają, suto podawają. — Co tam! — krzyknął Baron. — W potrzebie? Już wszystko załatwione! Już się Pan nie kłopotz! Zaraz dzisiaj każę, żeby Pana drogiego na sekretarza mego do Wspólki przyjęto z pensją 1000 lub 1500 pezów! Co tam! Załatwione! Godziny pracy sam sobie wyznaczysz! Załatwione tedy, a teraz czym Zapić, przekąsić potrzeba! Idziemy więc z Baronem na jednego, a w blasku słońca już wszystkim zda się uładzone i ja chyba Opiekuna, Ojca i Króla znalazłem wspianiałego o, dzięki ci, Boże, już mnie łatwiej żyć będzie, już przepadły, zniknęły troski i zgrzyoty, ale co to, Boże, Boże mój, co tyż to się dzieje, dlaczegoż to Król, Baron mój, przygasł, ucichł i mnie markotnieje, mizernieje, czemu słonko moje za chmure zachodzi?... A to Pyckal, Pyckal doskakuje!

Pyckal, Barona wspólnik, niższy od niego był, bardziej krępa-  
wy, a o ile tamten świetnym, wspianiałym, rośłym, dumnym był  
Mężczyzną, o tyle ten, jak psu z gardła, albo z za stodoły. Na  
próżno Baron jemu Rozkazuje i oświadcza, że to mnie, przy-  
jaciela swego, na urzędnika przyjął: Pyckal za całą odpowiedź  
tylko wypiał się, najprzód na mnie, potem na Barona, a Splu-  
nawszy rzekł: — Cożeś pan z byka spadł, żeby bez porozumienia  
ze mną Urzędników nowych do Interesu brać, a cóż pan Kre-  
tynem jesteś, no to ja tobie tego urzędnika twojego przepędzę,  
won, won, won! Chamstwem tak okropnem oburzony, Baron w  
pierwszej chwili słowa przemówić nie mógł, potem zaś "Zabra-  
niam!" — krzyknął — "Zakazuję", na co Pyckal rozdziawił się  
jemu: — Sobie a nie mnie zabraniaj! Komu ty zabraniasz?!

Krzyknął Baron: — Proszę nie robić skandalów! Krzyknął Pyc-  
kal: — Delikacik, delikacik, już ja ci go Zbiję delikacika two-  
jego, ja ci go Pobjiję!... i do mnie z pięściami, a już chyba mnie  
Zbije, zabije, może mnie pobije, już ten zwierz, ten kat mnie  
zakatrupi, więc Zguba, Zagłada moja, ale co to, czemuż Katow-  
nik mój się zatrzymuje, czemu mnie nie bije?... A to Ciumkała  
skądśiś, z boku się nadarzył!

Ciumkała, kościsty, blondyn Wyłupiasty, ryży, kaszkiet zdjął  
i do mnie rękę Dużą Czerwoną wyciąga: — Ciumkała jestem!  
Czem Pyckala w nagłe osłupienie wprowadził. — Ratujcież mnie  
— wrzasnął Pyckal — toż ja go tu biję, a ten się z łapą pcha,  
a przecie ja większego Kretyna, Bałwana na oczy swoje nie wi-  
działem, co się pchasz, co się wtrącasz? — Zabraniam — krzy-  
knął Baron. — Zakazuję! Ciumkała, krzykiem przestraszony, za-  
wstydzził się, Rękę dużą do kieszeni wsadził i w kieszeni ręką  
grzebać zaczął, ale zaraz zawstydzził się Grzebania swego i ze  
wstydu swego udał, że czegoś po kieszeniach szuka; czem jesz-  
cze, bardziej Barona, Pyckala rozwścieczył. — Czego tam szu-  
kasz, gamoniu — krzyknęli — czego szukasz, gapie, czego szu-  
kasz?!... aż Ciumkała, od wstydu ledwie żywy, jak Burak czer-  
wony, z kieszeni nie tylko rękę, a i korek od Butelki, papirki ja-  
kieś zgniecione, łyżeczkę, sznurowadło i rybki suszone wyciąg-  
nął. Ale gdy Rybki zoczyli zaraz cisza nastąpiła... bo jakoś im  
się od tych Rybek markotno zrobiło.

Ja zapomniałem, co mnie Ciecisz mówił, że tam między niemi  
dawne Zadry, Kwasy, Jady były, podobnież o Młyn jakiś, Za-  
stawę; właśnie z tej przyczyny Pyckala, na widok Rybek owych,  
aż zaparło i "Karasio moje, karasio" wrzasnął "już ty mnie za  
to Zapłacisz, ja ciebie z torbami puszczyć"; ale Baron tylko  
grdyką ruszył, przełknął, kołnierza poprawił i powiada "Re-  
jestr". Na co odrzekł Ciumkała: — Stodoła się spaliła od ty  
Gryki", więc Pyckal koso spojrzął "Woda była" mruknął i tak  
stali, Stali, aż Ciumkała za uchem się podrapał; gdy zaś on za  
uchem się drapie, Baron w kostkę u nogi się poskrobał, Pyckal  
zasie w prawe podudzie. Powiada Baron: — Nie drap sie. Mówi  
Pyckal: — Ja sie nie Drapie. Ciumkała rzekł: — Ja sie Dra-  
pałem. Rzekł Pyckal: — Ja ciebie Podrapie. Mówi Baron: — A  
podrap, podrap, boś od tego. Mówi Pyckal: Ja ciebie Drapał  
nie bede, niech ciebie Sekretarz podrapie. Powiada Baron: —  
Sekretarz mój mnie Drapał będzie, jak ja mu każe. Rzekł Pyc-  
kal: — Ja twojego Sekretarza do Siebie zgodzę i tobie sobie go  
wezmę, a mnie będzie Drapał, gdy zechce, bo choć ty Pan z  
Panów, a ja Cham z Chamów, on tobie mnie Drapał będzie gdy  
zachce się mnie albo i nie zachce. Drapać będzie. Mówi Baron: —  
Kto Cham z Chamów, a kto Pan z Panów, a ty mi tego Sekreta-  
rza nie zgodzisz, ja jego sobie tobie zgodzę i mnie nie ciebie on  
Podrapie. Zawoła Ciumkała, płaczem rzewnym, wielkim wybu-  
chając: — O, Rety, Rety, o, co to wszystko dla siebie sobie chce-  
cie Drapać z moją Krzywdą, z moją Stratą, Bida, o, to ja jego  
wam sobie zgodzę, ja jego Zgodzę! Dopieroż ciągną mnie, szar-



pią, jeden drugiemu wrywa, Ciągną, Ciągną, i tak aż do domu jakiegoś zaciągnęli, tam Schodki, po tych schodkach ciągną, szarpia, jeden drugiemu wydziera, tam drzwi małe z boku, na których tabliczka "Baron, Ciumkała, Pyckal, Koński Psi Interes", a za drzwiami Przedpokój duży, ciemnawy, w nim Krzeselka. Na krzeselku Baron Ciumkała, Ciumkała Baronowi, Pyckalowi, Pyckal Ciumkała, Baronowi mnie posadzili, a najuprzejmiej poprosiwszy bym trochę poczekał, do innego pokoju odeszli, na którego drzwiach napis był "Dóbr i Interesów Zarząd, Wstęp wzbroniony".

Sam zostawszy (bo Ciecisz dawno już był zemknął) w cichości, która nastąpiła po rozgłosnem nadejściu naszem, naokoło z ciekawością się rozglądałem. Ludzi tych dziwność (a trudno-bym dziwniejszych odszukał w całym Życiu mojem) oraz burda, jaką między sobą wiedli, bardzo mnie od wszelkiej z nimi styczności zniechęcały; ale nadzieja stałego, a może większego, zarobku zmuszała mnie do pozostania. Przedpokój, jak powiadam, był ciemnawy, ciemnym papierem wyklejony, ale papier bardzo wystrzępiony... to znów tłusta Plama... albo Dziura i znów Naddarte, ale załatane, muchami popstrzone i lichtarz ze świecą, stearyną wszędzie nakapane. Deski podłogi wystrzępione, od chodzenia wyswichtane, a tam w Kącie stara gazeta, tu Szpicróżga tajemnie gaworzy, gdy Gazeta rusza się z szelestem, bo pewnie Myszki pod nią siedzą. Zaraz też i But rusza się zaczął i do Tabaki się przybliżył, a Robaczek mały, ze szpary w podłodze wylazłszy, do Cukru pracowicie zmierzał.

Wśród tych szelestów drzwi uchyliłem, które do następnej Sali prowadziły. Sala duża, długa a Ciemnawa, i stołów rząd, za którym Urzędnicy siedzą, pilnie nad księgami, Skryptami, Rejestrami, Foliałami pochyleni; a już Papierów tyle, tak nawalone, Zawalone, że prawie ruszać się nie można, bo i na ziemi wszędzie papierów mnóstwo i szpargałów; a Rejestry z szafy wystają i nawet pod sufit wylażą, na okna zachodzą, całe Biuro zawalają. Jeśli więc który z urzędników się ruszy, to szeleści jak Mysz w tych papierach. Wszelako wśród papierów wiele innych przedmiotów, jak Flaszki, albo blacha zgięta, dalej spodek stłuczony, łyżka, szalika kawałek, szczotka wyłysiała, dalej cegły kawał, obok tyrbuszon, ogryzek chleba, dużo Bucików, też syr, pierze, Imbryk i parasol. Najbliżej mnie stary, chudy Urzędnik siedział i stalówkę pod światło oglądał, palcem jej próbując, a jakby Fluksję miał, bo w uchu wata; za nim drugi Urzędnik, młodszy i rumiany, na szczotach rachował, a razem kiełbasę gryzie, dalej urzędniczka wyfiokowana, wyczupirowana w lusterku się przegląda i loczków poprawia, a dalej inni urzędnicy, których może ośmiu lub dziesięciu było. Tamten pisze; ten w Rejestrze szuka. Wtem Przedwieczerek wniesiono, więc Kubki z kawą i bułki na tacy, a wówczas urzędnicy wszystkie, przerwawszy czynność swoją, do jedzenia się zabrały, i zaraz też, jak zwyczajnie, rozmowa zabrzmiała. Śmich mnie zdjął na widok Picia Kawy

urzędniczków owych! Bo od pierwszego wejrzenia widać było że, od lat ze sobą razem w tem Biurze przesiadując, codziennie tę samą wieczystą Kawę pijąc i wieczną Bułkę swoją zagryzając, temi samymi żarcikami swojemi starami się racząc, w lot wszystko swoje rozumieli.

Więc urzędniczka loczków odgarnęła i "plum" powiedziała, (a pewnie już i z tysiąc razy to mówiła) na co gruby kasjer, który za nią siedział, tak zawoła: — A to kotka w kotka u Mammy Zawijas! Z czego Radość nadzwyczajna, śmieją się wszystkie Urzędniki, za brzuchy się łapią! Zaledwie śmiech gdzieś w Papiry wsiąkł, Rachmistrz stary palcem pogroził... i już wszyscy za brzuchy się łapią, bo wiedzą co powie... on zaś powiada "Zawijas, podbijas, bum cyk cyk Kopijas!" więc jeszcze bardziej się cieszą Urzędniczki, w papierach szeleszczą. Ale Urzędniczka małym Paluszkiem ręki lewej prawy policzek podparła! Ale Urzędniczka małym Paluszkiem policzek podparła!... a wtenczas Rachmistrz silnie po plecach młodszego, rumianego Urzędnika klepnął i szepcze jemu "Szkoda lez, lez szkoda, Józef, Józef, bo przecie Scyzoryk, talerzyk, mucha, Mucha była!..."

Zrozumieć nie mogłem, czemu Rachmistrz o Łzach jemu mówi, gdy wcale nie płakał... ale właśnie w tejże chwili rumiany Księgowy ten szlochom stłumionym się zaniósł na widok Paluszka owego! Znów tedy śmiech mnie złapał: bo widać od lat może całych, a od wieków, Paluszek ten, razem z Policzkim, księgowemu rany serca jego stare jątrzące rozdrapywał i od lat pewnie ten towarzysz jego go pocieszał; ale zamiast żeby najprzód Księgowy zapłakał, a potem dopiero Rachmistrz go pocieszył, im się kolejność działań pomyliła i co na Końcu było, na początek przeszło! Wyrzuciła w górę chusteczkę swoją Urzędniczka! Kasjer kichnął! A buchalter stary nosa utarł! Wtem mnie zobaczyli i, najokropniej się zawstydzwszy, w papierach się swoich jak Myszy zaszyli.

Ale zaraz do Pryncypałów wezwany zostałem. Ciemnawy poikoik, do którego mnie wprowadzono również papierami, szpargałami wypełniony, a do tego Łóżko stare, żelazne, pod ścianą stało, tyż i wiadro, tyż i Miednica, dubeltówka na oknie, buty, Lep na muchy. Pyckal Baronowi skrzynkę jakąś trzymał, Ciumkała zaś z Rejestru kwity odczytywał. I Wszyscy trzej do mnie: — Mnie podrap! Mnie podrap! Mnie podrap!

Witold GOMBROWICZ.



## Wronia i Sienna

### I.

Z Troi pozostał tylko jej niejasny opis dokonany przez Greków, którzy zburzyli miasto i wymordowali Priamidów. Burzyciele Warszawy byli mniej piśmienni. W literaturze ich na próżno szukalibyśmy opisu miasta. Nikt z ich pisarzy nie mówił o Warszawie tonem głębokim i żalonym, jakim Euripides mówi o Troi.

Pisarze polscy są również skąpi w opisy miasta. Archeolodzy rzymscy, chcąc zidentyfikować i odtworzyć rozkopywane ruiny, czytają dawnych poetów. Warszawę trudniej byłoby odtworzyć z wierszy i prozy jej pisarzy. Sam Prus i Żeromski zdają się mówić o niej tylko mimochodem, dla umiejscowienia akcji powieści. Nawet tak trzeźwy i prozaiczny pisarz jak Wilkoński każe chwilami wątpić o swej dokładności. W "Ramotokach" czytamy pod datą 20 maja 1841: "Dzisiaj o 9 rano... siadłem na bryczkę i ruszyłem z Mazowieckiej ulicy trójką spokojnych koników. Na Wierzbowej, na Trębackiej — jeszcze uklony, przed pocztą pytanie: "Dokąd jedziesz, Guciu?" i odpowiedź: "Na wieś, robaczku". Spuściwszy się wolno i ostrożnie przez Bednarską, przystanąłem przed mostem, aby się opowiedzieć skąd i dokąd jadę. Na moście stępem, przez Pragę truchcikiem, aliści na rogatkach znów: "Skąd? dokąd? ilu ludzi? ile koni? na długo? Jedź pan z Bogiem! "Jakoż wyjechałem istotnie na żwirowy gościniec". W tych prostych słowach słychać, zdawałoby się, dawne życie znanych ulic. Ale dlaczego z Mazowieckiej jeżdżono wówczas na Bednarską przez Wierzbową?

Ja sam, który znałem dawną Warszawę w różnych czasach, pamiętam raczej jej osobliwą, niepodobną do żadnego innego miasta aurę, gwar różnych dzielnic, postawę ludności, słowem rzeczy najbardziej zwiewne, z których dziś zostało zapewne jeszcze mniej niż z dawnych murów. Ilekroć w innych ruiastach trafiam na drewniany bruk, na "kocie łby" lub chodnik wyłożony kwadratowymi płytami betonu, wydaje mi się, że słyszę znów daleki gwar warszawskiej ulicy. Idąc raz w księżycową noc ku granicy, spostrzegłem w Cologny pod Genewą biały, długi, dwupiętrowy dom ładząco podobny do tych, które stały nieg-

dyś na Nowym Świecie w okolicy Świętokrzyskiej, i których — zanim upadły w gruzy — nikt na pozór nie cenił. W kilka dni później przyszedłem znów do Cologny, aby obejrzeć ten dom przy świetle dziennym. Domów takich jest na Świecie niewiele i wszystkie zdają się pochodzić z jednego czasu. W pamięci pozostało mi sporo takich ułamków, ale czuję się niepewny, kiedy staram się je zlepić w obraz całości miasta.

Niedomaganie zbiorowej i indywidualnej pamięci zdaje się mieć tę samą przyczynę. Od dwustu przynajmniej lat ludność Warszawy żyła w codziennej walce, zapatrzona w bliższą i dalszą przyszłość. Żadne pokolenie nie знаło okresu skupienia, pozwalającego odziedziczone zabytki stopić z terażniejszością w konkretny obraz miasta, warty utrwalenia w pamięci.

Ludności miasta brakowało także do tego poczucia tradycji i ciągłości. Każdy kryzys wykruszał elitę miasta i resztki jej rozpraszał po Świecie. Po powstaniu listopadowym liczba mieszkańców spadła do 30.000. Ludność Warszawy odnawiała się wciąż przez zubożałą szlachtę, jadącą fernalskimi konikami na Mazowiecką, i więcej jeszcze od dna, od warstw najbiedniejszych.

Ten brak ciągłości uderzył mnie przez porównanie, podczas lat spędzonych w Szwajcarii. Jeden z moich pierwszych znajomych w Bernie pochodzi z patrycjusza, którzy przez 8 wieków rządili republiką. Urodził się w starym domu wychodzącym na plac katedralny, pracował w innym domu na tym samym placu, przed katedrą zaś stał pomnik jego przodka, który dowodził wojskami republiki w 1339. Dziewięć wieków spędzonych przez jedną rodzinę na tym samym niewielkim placu nie należy w Szwajcarii do rzeczy rzadkich. Większość dawnych rodzin patrycjuszowskich Berna mieszka dotąd w domach należących do nich od wieków, pełnych portretów i pamiątek. Zbudowane przez nie niegdyś miasto stoi wciąż bez zmian, i nawet nowożytni architekci nie potrafili mu dać rady.

Polska, a zwłaszcza Warszawa nigdy takiej ciągłości nie знаły. Stare mury brały w posiadanie wciąż nowi ludzie. Okolice Elektoratnej, gdzie w czasach młodości Słowackiego przechadzali się eleganci w kolorowych frakach i jasnych spodniach, opustoszały po powstaniu i zajęła je ludność uboga. W pałacach otwarto składy drzewa i węgla, w dawnych salonach zamieszkałi rzemieślnicy i sklepikarze. Zamożniejsza ludność czasów pozytywizmu już tam nie wróciła i zamieszkała nową dzielnicę, ciągnącą się wzdłuż Kruczej. Zamożne warstwy okresu niepodległości przeniosły się do dzielnic ekscentrycznych. Nigdy nie wracano do dawnego.

Więcej stałości być może okazała ludność najuboższa, gniezdząca się wciąż w tych samych ruderach Powiśla, Woli i Na-lewek. Ale i tu ciągłość była tylko pozorna. Ludność ta napływała i odpływała w miarę koniunktury i możliwości zarobku. Nędzne domy czynszowe tych dzielnic były najczęściej też



tworami chwilowej koniunktury. Robotnicy z dziada pradziada byli nieliczni. Większość posiadała jeszcze na wsi małorolnych krewnych.

Dwa rysy tych dzielnic okazały największą trwałość, mianowicie ubóstwo i bezprawność. Żaden okres czasu i żadna koniunktura nie przyniosły tu widocznej poprawy losu. Mieszkańcy bronili swej mizernej egzystencji heroicznie, na własną rękę, nie licząc na nikogo, w nieustannej walce z próbami utrwalenia ich ubóstwa przez ustawy i przepisy.

Ustawodawstwo społeczne okresu niepodległości nie zmieniło tu wiele. Nie zwiększyło dobrobytu i nie zbliżyło ludności ubogiej do młodego państwa. Związek jej ze zmieniającymi się warstwami zamożnymi stolicy pozostawał luźny i niepewny; odradzał się w chwilach wspólnej walki o wolność i słabł, gdy elita miasta godziła się z ustalonym porządkiem. W swej codziennej i beznadziejnej walce o byt ubogi lud warszawski wykazywał pomysłowość i wytrwałość, które w bardziej sprzyjających warunkach mogłyby mu dostarczyć nie tylko chleba i wina, ale także wielu innych rzeczy.

Dwa razy wypadło mi mieszkać przez dłuższy czas w dzielnicach ludowych. O ile wiem, domy, w których mieszkałem, zostały zburzone podczas wojny, mieszkańcy zaś rozproszeni przez wypadki. Wiedziony uczuciem pietyzmu należnego ruinom, chciałbym opisać je tak, jak je znałem, zanim obraz ich zniknie ostatecznie z pamięci żyjących.

## II.

Wronia, przecznica Chłodnej, leżąca między Żelazną i Kolejową, znajdowała się w samym sercu Woli, dzielnicy robotniczej, zabudowanej w końcu XIX i początku XX w. Idący na Wolę ze śródmieścia mijali po drodze, na rogu Chłodnej i Żelaznej, kawiarnię Sommera, gdzie w 1904-5 spotykali się robotnicy i inteligenci. Jeszcze w 1926, kiedy zamieszkałem w tej dzielnicy, robotnicy w maciejówkach przychodzili tam czytać gazety. W tym miejscu kończyły się zabudowania o charakterze wielkomiejskim. Dalej wzdłuż Chłodnej stały budynki różnej wysokości: niskie domy stare naprzemian z czteropiętrowymi kamienicami czynszowymi, bielonymi parkanami i budynkami fabrycznymi.

Następna przecznica Chłodnej, Wronia, była ulicą węższą, zabudowaną w tym miejscu wysokimi kamienicami czynszowymi. Domy noszące numery 55 i 57, o ciemnej fasadzie i dość ponurym wyglądzie, były bliźniaczym budynkiem posiadającym wspólne podwórze, przedzielone po środku żelaznymi sztachetami. O sztachety opierały się z obu stron wielkie skrzynie śmietników, między którymi rosło wysokie lecz wątłe drzewo • czarnych gałęziach i nielicznych białych liściach.

Mieszkanie, w którym znalazłem schronienie w przeludnio-

nej wówczas Warszawie, wychodziło na to właśnie podwórze. Było to typowe dla tej dzielnicy 3-pokojowe mieszkanie robotnicze. Z wąskich i ciemnych schodów przez sklecone z dębowych tarcic drzwi wchodziło się do ciemnego korytarza, w końcu którego znajdowała się kuchnia. Z korytarza troje drzwi prowadziło do tyłu niewielkich, leżących w jednej linii i bielonych wapnem pokoi.

Dymy fabryczne, unoszące się nad Wisłą opadały w formie szaro-żółtego kurzu, przenikającego do mieszkań. Białe firanki zawieszane w moim oknie przybierały po kilku dniach brudno-szarą barwę młodego skorpiona, w kilka zaś dni później żółkły w odcieniu przypominającym skorpiona w średnim wieku.

Takie same przeludnione mieszkania wychodziły ze wszystkich stron na podwórze. Latem, przy otwartych oknach, słychać było do późna w nocy różne odgłosy stłoczonego w ciasnych murach życia. Piekielne sceny zazdrości, wyzwiska i przekleństwa towarzyszące powrotowi do domu pijaków mieszały się z brzękiem szkła i radosnymi okrzykami właściwymi obchodom chrzcin i imienin.

Dom nasz liczył od 50 do 60 dzieci. Liczba ta wahała się nieustannie wskutek wysokiej śmiertelności dziecięcej i nowych urodzin. W podwórzu słychać było nieraz krzyki położnic i głośne rozmowy świadczące o narodzinach nowego lokatora: "Chłopiec czy dziewczynka?" "Dziewczynka". "Nie, chłopiec!"

Właściciel domu obchodził co kwartał mieszkania zbierając komorne. Nie zawsze przychodziło mu to łatwo. W kamienicy mieszkali m. in. dwaj sławni na całą Wolę włamywacze, którzy od 12 lat nie płacili komornego.

— Czy próbował pan z nimi porozmawiać na rozum?

— Próbowałem, panie szanowny, próbowałem, ale nic z tego. Kiedy takiemu mówię, że przecież od czasu do czasu mógłby coś zapłacić, odpowiada, że nie życzy sobie wcale o tym rozmawiać.

— A eksmisji próbował pan też?

— Panie szanowny, odpowiadał stroskany kamienicznik, mam teraz 57 lat i chciałbym pożyczyć sobie jeszcze parę latek. Kiedy takiego bandytę wyeksmituję, nie wiem czy najbliższego wieczora doczekam. Do czasu muszę ich znosić.

Warszawa posiadała od dawna liczny i zorganizowany świat przestępczy, opisany częściowo przez Ferberowicza zwanego Urkę Nachalnikiem i podobny do tego, jaki na kresach opisał Sergiusz Piasecki. Świat ten w spokojniejszych czasach cechowała pewnego rodzaju dobroduszość. Rycerze jego stronili od mokrej roboty i specjalizowali się w różnych rodzajach kradzieży. Pod administracją rosyjską funkcjonowała w Warszawie przez długie lata szkoła złodziei kieszonkowych czyli do-



liniarzy pod fachowym kierownictwem Abrahama Celendra. Składał się na nią kurs dla początkujących, szkolonych — jak mówiono — na manekinach obwieszonych dzwonkami, i kurs wyższy, operujący pod nadzorem mistrza w tramwajach i bardziej ożywionych lokalach. Z lat dziecińczych pamiętam mały tumult, powstały podczas koncertu w Filharmonii, gdzie w pierwszym rzędzie krzesel poznano i aresztowano samego dyrektora szkoły doliniarzy. Następnego dnia gazety doniosły, że w kieszeni aresztowanego znaleziono 11 przeważnie bezwartościowych szpilek od krawatów. W otoczeniu uczniów Celen-der demonstrował widocznie technikę wyjmowania z krawatów szpilek w jasno oświetlonej sali. W drodze do komisariatu Celen-der zbiegł prowadzącym go policjantom. Wyszkoleni przezeń uczniowie znani byli nie tylko w Warszawie i w Rosji, ale także w Niemczech. W berlińskiej dyrekcji policji na Alexanderplatz, w wypadku jakiejś szczególnie pomysłowej lub zręcznej kradzieży mawiano: "To musi być chyba die warschauer Schule".

Na Woli świat przestępczy istniał niejako oficjalnie w pewnego rodzaju symbiozie z policją. Naprzeciw naszego domu znajdował się niewielki sklep z narzędziami ślusarskimi, w którego zakurzonej witrynie można było oglądać dwa związane szpagatem pęki narzędzi dla włamywaczy. Były tam wtrychy, świdry, nożyce, szabry i inne instrumenty, których przeznaczenie uchylało się od domyślności osób niefachowych. Na większym pęku wisiała kartka z napisem: "Komplet, 54 złote".

Od frontu, na pierwszym piętrze, w domu naszym mieszkał komisarz policji śledczej. Okno moje znajdowało się naprzeciw jadalnego pokoju pana komisarza, zazwyczaj jasno oświetlonego i pozbawionego firanek. Mimowoli więc, ilekroć patrzyłem w okno, wzrok mój padał na stojący tam wielki stół, w dzień i w nocy zastawiony butelkami i jadłem. Butelek stało w nim około 30, jak w salonie sir Williama Good'a, doradcy finansowego naszego ministerstwa Skarbu za czasów Władysława Grabskiego. Na obszernych półmiskach leżały indyki, gęsi, szynki i inne zakąski godne pędzla Snydersa.

W ciągu dnia goście mego sąsiada z naprzeciwka byli nieliczni. Przychodzili po dwóch lub trzech i po krótkiej libacji i posiłku wychodzili, ustępując miejsca innym. Dopiero wieczorem zbierała się dokoła stołu większa, wyłącznie męska kompania. Byli to zapewne agenci policji śledczej, mężczyźni przeważnie barczyści, dobrze odżywieni, ubrani po cywilnemu. Twarze mieli najczęściej okrągłe, nie pozbawione pewnej jowialności, której przeczyło bystre spojrzenie. Przy stole tym zjadano i wypijano za 3 do 4 tysięcy złotych miesięcznie. Jak się później przypadkiem dowiedziałem, pensja gospodarza mieszkania wynosiła około 600 złotych na miesiąc.

Właściciel domu bywał u nas rzadkim gościem. Na co dzień porządku i decorum pilnował stróż Franciszek, człowiek wielkiej rzetelności, pełen taktu, dobroci i rozsądku, cieszący się powszechnym zaufaniem. Franciszek miał lat niespełna 40 mimo że wyglądał na więcej. Był chudym, ciemnym brunetem; prawą rękę miał bezwładną. Przez cały dzień widać go było na środku podwórza z miotłą w ręku. Do zmiatania było na podwórzu niewiele, i Franciszek robił to raczej dla nadania sobie kontenansu, zajęty w istocie sprawami ważniejszymi, bardzo delikatnej natury.

W miarę naszej znajomości Franciszek zaczął mi się zwierzać ze swych kłopotów.

— Jestem dziś, panie, nieczasowy, mówił, kiedy raz prosiłem go o sprowadzenie ślusarza dla dokonania jakiejś drobnej naprawy w mieszkaniu. "Cały dzień muszę nosić pieniądze do pana komisarza".

Tu wyjął lewą ręką z kieszeni kilka zwitków dolarów. W każdym zwitku znajdowała się wąska kartka papieru z paru napisanymi ówkiem słowami.

— Najwięcej złodzieje płacą za ten pierwszy protokół, bo od niego obrót sprawy zależy: czy wyjdzie z niej trzy miesiące czy jedenaście lat.

I po chwili dodał sentencjonalnie:

— Nie ma to jak ze złodzieja żyć, bo złodziej ma letki za-robek i na wydatek nie patrzy.

Mimo pieniędzy przechodzących przez jego ręce, Franciszek był biedny jak mysz kościelna. Gnieździł się w malutkiej izbie pod schodami, podobniejszej do psiej budy niż do ludzkiego mieszkania.

Upadały państwa, na ich miejscu powstawały nowe, zmieniały się władze i reżimy polityczne, lecz stara symbioza policji ze światem przestępczym trwała nadal. Naprawa tych stosunków nie była rzeczą łatwą. Walczyć skutecznie ze światem przestępczym mógł tylko ten, kto potrafiłby jednocześnie dostarczyć ubogiej ludności stolicy innych zarobków, złagodzić jej nędzę i gorycz. Kto tego nie potrafił, musiał tolerować istniejący porządek natury, polegający na tym, że ludność stolicy płaciła złodziejom roczny haracz, którego część znikła w kieszeniach tzw. władz bezpieczeństwa. Te ostatnie utrzymywały pewnego rodzaju równowagę: dbały, aby nie kradziono ani zbyt wiele, ani zbyt mało.

Obecność pod jednym dachem urzędnika policji śledczej i dwóch włamywaczy zabezpieczała naszą kamienicę od kradzieży. Raz w drzwiach naszego mieszkania zepsuł się zamek i, zanim został naprawiony, przez cały tydzień wychodziliśmy z domu zamykając drzwi tylko na klamkę. Wychodząc w tym okresie czasu do miasta, zobaczyłem raz na podwórzu następującą scenę: Franciszek, jak zwykle, zmiatał podwórze dla nadania sobie kontenansu, w bramie zaś stało czterech mło-



dych hultajów, czytając pilnie wywieszoną w warszawskich domach listę lokatorów.

— Nie czytajcie, nie czytajcie, panowie, odezwał się Franciszek. Idźcie w Aleje Ujazdowskie, gdzie bogate ludzie mieszkają, albo na Nalewki, gdzie Żydzi na ciężkich pieniądzach siedzą. Tu nie ma nic do roboty.

Na ten widok zatrzymałem się, przypomniawszy sobie niezamknięte mieszkanie. Franciszek tymczasem ciągnął dalej:

— Ola Boga, gdzie się panowie pchacie? Tu sami swoi mieszkają.

Na te słowa młody drągał w cyklistówce, będący widocznie prowodyrem grupy, splunął przez zęby i mruknął:

— Powiadasz pan, że sami swoi? No to chodźmy.

Franciszek zaś, zwracając się do mnie:

— No i niech pan popatrzy, jakie teraz ludzie do rzemiosła się biorą.

Przez wszystkie lata mego pobytu w Warszawie złodzieje byli dla mnie łaskawi i nie obciążyli mnie żadnym godnym uwagi haraczem. Od niespodzianek z tej strony nie czułem się jednak nigdzie równie bezpieczny jak w mieszkaniu przy ulicy Wroniej.

### III.

Po rocznym pobycie na Woli przeniósłem się na Sienną 29, do domu leżącego między Wielką i Sosnową, na wysokości głównego dworca. Dom ten stał mniej więcej na granicy śródmieścia i ubogiej dzielnicy handlowej. W 1925 - 1927 ogromne przeludnienie miasta zatarło dawne granice między dzielnicami i pomieszało różne grupy społeczne żyjące dawniej w separacji. Ludność napływająca nie mogła wybierać mieszkań, lecz musiała się kontentować tym, co w danej chwili było wolne. Za mieszkania płacono odstępnę, wynoszące w śródmieściu do tysiąca dolarów za pokój.

Dom noszący numer 29 był solidną kamienicą o 7 oknach frontu, rozbudowaną w głąb w kierunku Złotej. W głębi jej znajdowały się dwa obszerne, równomiernie ze wszystkich stron zabudowane podwórza. Środek ich zajmowały niewielkie trawniki i drzewa o bladym listowiu. W kilkudziesięciu mieszkaniach gnieździła się ludność bardzo różnorodnej kondycji: drobni urzędnicy, handlowcy, rzemieślnicy, prostytutki i przedstawiciele różnych wolnych lub nieokreślonych zawodów.

W tym właśnie domu, wspólnie z moim przyjacielem, starszym ode mnie znacznie lekarzem, zajmowaliśmy czteropokojowe mieszkanie na parterze. Okna nasze wychodziły na ulicę zabrukowaną w tym miejscu kocimi łbami. Towarzysz mój był jak ja kawalerem, nie posiadał praktyki prywatnej i w domu zajmował się historią sztuki. Ściany jego dwóch pokoiów były zawieszane obrazami.

W charakterystyczny dla owych czasów sposób mieszkanie

nasze liczyło pierwotnie czterech lokatorów, z których każdy pretendował do jus primi occupantis i posiadał w tym sensie umowę z właścicielem domu. Moja początkowa umowa o najmie opiewała tylko na jeden duży pokój zwany przez innych lokatorów grobem faraona. Dwa pokoje zajmował lekarz, czwarty zaś samotny introligator, którego po roku spłaciłem. Introligator był człowiekiem młodym, cichym i taktownym. Najwidoczniej nie ograniczał się do oprawiania książek, bo — ilekroć ulicą przejeżdżały z hałasem wozy — z pokoju jego dawało się słyszeć dyskretne stukanie małej maszyny drukarskiej, służącej być może do drukowania banknotów lub ulotek. To spostrzeżenie skłoniło mnie do odkupienia odeń udziału w mieszkaniu. Introligator był zresztą uderzająco dyskretny w obejściu i rzetelny w interesach. W okresie naszego bliskiego sąsiedztwa oparł część moich książek.

Właściciel kamienicy posiadał w Warszawie liczne nieruchomości, i w ciągu trzech lat widziałem go tylko parę razy przelotnie. Wszystkie sprawy związane z najmem załatwiał administrator domu, Borensztajn, człowiek starszy, jowialny, z brodą blond i niebieskimi oczami.

Nędza i bezprawie nosiły w tej części miasta charakter mniej dobroduszny niż na Woli, nie ujęty w ramy tradycji i obyczajów. Świat przestępczy, mający i tu licznych przedstawicieli, był bardziej agresywny i desperacki.

Dozorca domu mieszkał w podwórzu. Właściwą dwuizbową stróżówkę zajmowała starsza prostytutka, o nazwisku stanowiącym zapewne zły omen w jej zawodzie, pani Kopiejka. Towarzystwem jej był sławny bandyta warszawski, skazany na 20 lat więzienia i odsiadujący karę na Świętym Krzyżu. W początkach mego pobytu na Siennej bandyta zbiegł z więzienia. W przypuszczeniu, że zgłosił się do dawnej towarzyszki, policja czekała go co pewien czas przed domem. Przed bramą ukazywało się wówczas dwóch atletycznej budowy osobników w nasuniętych na oczy kapeluszach i powłóczystych płaszczach, pod którymi trzymali w ręku odbezpieczone rewolwery. Gdy poruszali się, słychać było dyskretny brzęk kajdanków, zawieszonych na wewnętrznej stronie ich płaszczów. Widok ich spokojnym mieszkańcom nie wróżył także nic dobrego. Dostrzegając ich z daleka przed bramą, wyjmowałem ręce z kieszeni, aby jakimś nieostrożnym gestem nie ściągnąć na siebie salwy z dwóch rewolwerów.

Sławniejsi bandyci posiadali u ludności warszawskiej wielki autorytet. Nikt nie chciał im wchodzić w drogę. Przed moim przybyciem na Sienną pani Kopiejka, w związku ze sprawą jej towarzysza, przesiedziała również półtora roku w więzieniu. Było to w czasie największego nasilenia kryzysu mieszkaniowego, kiedy i za stróżówkę dawano tysiąc dolarów odstępnego. Mimo starań Borensztajna, przez półtora roku mieszkanie Kopiejki stało puste i nikt nie ośmielił się go wynająć. Na mo-



je pytanie za co Kopiejka siedziała w więzieniu, Borensztajn odpowiedział wymijająco: "Ha, pewne za zbrodnie jakies!"

Okna mego mieszkania wychodziły na ulicę i życie wewnętrzne domu uchodziło mojej uwagi. Z parterowego okna widziałem natomiast mimowoli ruch uliczny. Między moim domem i odległym o kilkaset kroków rogiem Zielnej ruch ten miał osobliwy charakter. Od rana już w bramach okolicznych domów pojawiały się grupy mężczyzn patrzących w milczeniu w kierunku Zielnej. Inni przechadzali się tędy i nazad po chodnikach. Sądząc z ich zachowania się, wielu posiadało zapewne broń. Zmuszony do przechodzenia kilka razy na dzień przez tę część Siennej, przed frontem kilkudziesięciu patrzących na mnie uważnie mężczyzn, nie mogłem powstrzymać się od zadawania sobie pytania, w jakich okolicznościach ukryte w ich kieszeniach rewolwery mogą zacząć strzelać.

Pierwsze strzały, jakie posłyszałem na Siennej, nie padły jednak z ich broni, lecz były dziełem tzw. organów bezpieczeństwa.

W pół drogi między moim domem i rogiem Wielkiej stał stary, niski dom, którego podwórze oddzialał tylko niezbyt wysoki mur od podwórza innego domu, wychodzącego na Złotą. Śmietnik stojący pod murem pozwalał ludziom młodym i zwinnym przeskoczyć mur i w kilka sekund znaleźć się na innej ulicy, w ruchliwej okolicy głównego dworca. Ścigani przez policję złodzieje niejednokrotnie próbowali podobno tej drogi i, poprawiając krawaty i kapelusze, znikali w tłumie śpieszących na pociąg. Gdy uciekający zbliżał się do bramy tego domu, policjanci zaczynali doń strzelać. Wkrótce po moim przybyciu do tej dzielnicy ofiarą takich strzałów padł 6-letni chłopiec prowadzony za rękę przez matkę. W parę miesięcy później strzały rozległy się w chwili, kiedy na rogu Sosnowej ukazała się dorożka wioząca młodego handlowca z całą stertą kartonowych pudełek z pończochami. "Aj waj!" zawołał młodzieniec gubiąc kapelusz i chwytając się za zranioną nogę. W krótki czas potem policji zabroniono tak lekkomyślnego używania broni.

Dopiero po upływie kilku miesięcy udało mi się przejrzeć motywy, które skupiały tylu ludzi na niewielkim odcinku Siennej między moim domem i Zielną. Było to tym trudniej, że motywy te były równie różnorodne jak nieprzejrzyste. Z gruba można było podzielić gromadzących się na dwie grupy. Pierwszą stanowili bezrobotni, których przyciągały znajdujące się w okolicach Zielnej urzędy komorników. Druga składała się z osób grawitujących różnym tytułem dokoła zakładu dentystycznego doktora Granasa.

Wbrew utartym mniemaniom kryzys gospodarczy w Polsce nie był jedynie skutkiem kryzysu amerykańskiego z 1929. Zło-

żyły się nań także różne przyczyny wewnętrzno-polskie. Pierwsze znamiona nadchodzącego kryzysu stały się widoczne już latem 1928. W Warszawie zanotowano wówczas wzrost bezrobocia i niewypłacalności. Ta ostatnia zdawała się szerzyć szczególnie wśród ludności niezamożnej. W mojej dzielnicy zaczęły się mnożyć zajęcia i licytacje w mieszkaniach prywatnych. Zajęte meble nie przedstawiały najczęściej większej wartości, i sprzedają ich z licytacji, uciążliwa dla dłużnika, nie zadawała wierzycieli.

Wśród mnożących się jednocześnie bezrobotnych powstał wówczas pomysł udaremniania licytacji za skromną opłatą, wynoszącą zazwyczaj 50 złotych od mieszkania. Przedsiębiorcze jednostki organizowały grupy z 30 do 50 osób, które między 9 i 10 rano gromadziły się w pobliżu urzędu komornika. Gdy ten ostatni, w towarzystwie pisarza z teczką w rękę, wychodził na ulicę, bezrobotni szli za nim i na schodach mieszkania, w którym miała się odbyć licytacja, tworzyli zator, nie dopuszczając nikogo do wnętrza. Wchodził tam tylko przywódca szajki, proponując za skromną opłatą obronić zajęte meble od sprzedaży. Tak zwane hieny licytacyjne na próżno starały się dostać do mieszkania. Stłoczeni na schodach mężczyźni tworzyli zwarty mur, kopiąc nogami natrętnych. Czasami wzywano policjanta, lecz i to niewiele pomagało.

— Proszę dać przejść temu panu, mówił policjant.

— Panie władzo, my sami chcielibyśmy przejść. Kiedy temu panu tak pilno, to mu się trochę miejsca ustąpi.

Tu rozstępowali się trochę i pozwalali intruzowi zrobić kilka kroków naprzód. Ściśnięty ze wszystkich stron musiał potem długo prosić, aby pozwolono mu wyjść znów na ulicę.

Komornicy szybko oswoili się z nowym porządkiem i w braku nabywców odkładali po pół godzinie licytację do następnego terminu. Po krótkim czasie każdy komornik ciągnął za sobą szajkę specjalistów od udaremniania licytacji. W moim sąsiedztwie miało swe biura trzech komorników, i funkcje ich ściągali każdego ranka 100 do 150 ludzi pozbawionych lepszego zajęcia. Przejawiająca się w tej formie solidarność między bezrobotnymi i niewypłacalnymi dłużnikami była zjawiskiem specyficznym warszawskim, jednym z charakterystycznych odruchów ludu stolicy.

W końcu 1928 widziałem na rogu Zielnej także inne sceny z życia bezrobotnych. Jesiennym rankiem uwagę moją zwróciły trzej stojący tam młodzi robotnicy, oglądający ze śmiechem przechodniów.

— Nie, to jeszcze nie ten, mówił.

Wreszcie od strony Marszałkowskiej na chodniku ukazał się przechodzień, którego powierzchowność odpowiadała popularnemu pojęciu "burżuja" lub "spekulanta". Duży, otyły, ubrany w płaszcz z bobrowym kołnierzem, nowłutki kapelusz i takież buty, trzymał w rękę zamszowe rękawiczki. W nalanej twarzy świeciły chytre oczy. Gdy zrównał się z grupą trzech



robotników, jeden z nich uderzył go lekko w twarz. Zdumienie uderzonego nie miało granic. Przez chwilę stał osłupiały, potem wydał nieartykułowany dźwięk podobny do kwiku wieprza i truchtem pobiegł na Marszałkowską. Po chwili wrócił w towarzystwie stójkowego. Młodzi robotnicy nie ruszyli się z miejsca.

— Kto uderzył tego pana? — zapytał stójkowy.

— To ja, to ja, to ja! — odpowiedzieli wszyscy trzej.

Scenie tej przyglądał się starszy robotnik w maciejówce. Na moje pytanie odpowiedział:

— Bezrobotni, panie, Widocznie nie mają już gdzie mieszkać i na zimowe miesiące chcą się dostać do kryminału. Kiepski tam wikt i mieszkanie, ale jak kto i tego nie ma...

Manewry odbywające się przed zakładem dentystycznym doktora Granasa wystawiały mniej pochlebne świadectwo inteligencji i zaradności ludu warszawskiego. Zakład ten mieścił się na parterze, i jego matowe okna wychodziły na Sienną. Latem były otwarte, i w każdym z nich można było widzieć młodego człowieka stojącego przed pultem i czyszczącego szczotką jakąś sztuczną szczękę. Była to jednak tylko część fasadowa tego zakładu. W istocie mieściły się tam sekretariat i archiwum nielegalnej wówczas partii komunistycznej.

Adres ten musiał być szeroko znany w całym kraju, bo każdego dnia do zakładu doktora Granasa zgłaszały się ze stolicy i z prowincji naiwni, szukający kontaktu z partią. Na nich właśnie czekali agenci, stojący całymi grupami w bramach okolicznych domów. Za każdym wychodzącym od Granasa podążał cień, od którego nie łatwo się było oderwać. Innych gości zakładu dentystycznego agenci obserwowali już przedtem i towarzyszyli im na Sienną, gdzie czekali na ich wyjście.

Milczący tłum, krążący dokoła zakładu Granasa, nie składał się jednak z samych agentów. Byli tam także ciekawi, przyglądający się polowaniu na głupich. Sądząc z różnych drobnych scen, jakie widziałem po drodze, przyglądanie się temu widowisku nie było rzeczą zupełnie bezpieczną, i niejednym niepożądanym widz musiał potem drogo płacić za bilet. Ryzyko zdaje się jednak nigdy nie odstraszać ciekawych.

Na Siennej można było również spotkać widzów innej kategorii. Naprzeciw mnie mieszkał pewien starszy wiekiem emigrant rosyjski, jeden z ostatnich towarzysza Sawinkowa. Widząc dziwne manewry odbywające się przed jego domem, młodzi emigranci przychodzili czasami zobaczyć, czy ich starszemu towarzyszowi nie grozi jakieś niebezpieczeństwo.

Wreszcie i przypadkowi przechodnie zatrzymywali się nieraz, starając się zrozumieć o co chodzi i, poznając agentów, oddalali się z pośpiechem.

Liczba czekających i przechadzających się wzrastała do 11-ej rano. O tej porze odchodzili partiami specjaliści od licytacji, przybywali natomiast coraz liczniejsi klienci doktora

Granasa. Popołudniu szeregi ich przerzedzały się i wieczorem ulica pustoszała. Naiwni klienci Granasa — quand on est bête, c'est pour longtemps, mówi francuskie przysłowie — przychodzili zazwyczaj w godzinach największego nagromadzenia agentów, sądząc że w tłoku przejdą niepostrzeżeni. Kilku z nich widziałem wchodzących do pułapki. Wyglądali na młodych ludzi, którym teoretyczne lektury i spekulacja umysłowa odebrały normalną spostrzegawczość.

Zabawa przed domem Granasa miała dwóch partnerów. Jednym z nich była policja polityczna, drugim nielegalna partia komunistyczna. Motywy, dla których policja podtrzymywała tę grę, były zapewne krótkowzroczne i w znacznej mierze złudne, ale przy pewnym wysiłku wyobraźni można je mniej więcej zrozumieć. Mniej przejrzyste wydają się motywy, jakimi kierowała się partia. Być może jej ówczesni kierownicy liczyli na to, że koszty gry płacili wyłącznie naiwni, którzy — po odsiedzeniu kilku miesięcy w więzieniu — stawali się dobrym materiałem na komunistów. Być może liczyli na efekt propagandy gorszącego widowiska, jakie w biały dzień można było oglądać przed domem Granasa.

Rachunek taki — jeżeli mój domysł jest słuszny — musiał prowadzić do wielkich rozczarowań i zasłużonych czystek. Spektakl przed domem Granasa był niewątpliwie gorszący, ale lud warszawski widywał już różne rzeczy i nie gorszył się łatwo. Oddawanie naiwnych marzycieli w ręce władz mogło być także fałszywym rachunkiem, bo zostawiało inicjatywę w rękach policji, która miała najlepsze szanse zrobienia z głupich prowokatorów. Od jednego z najkompetentniejszych urzędników ministerstwa Spraw Wewnętrznych słyszałem kiedyś takie zdanie:

— Przynajmniej połowa czynnych w Warszawie komunistów są to moi agenci.

Jako wieloletniemu sąsiadowi doktora Granasa, twierdzenie to wydało mi się być może nieco przesadne, ale bardzo prawdopodobne.

Nie wiem, kto pierwszy sprzykrzył sobie zabawę na Siennej: partia czy policja. Być może po prostu zabrakło do niej głupich. Przy końcu mego pobytu w tej dzielnicy przeczytałem pewnego razu w gazetach, że policja dokonała u doktora Granasa rewizji i znalazła tam archiwum partii komunistycznej, aresztując przy tym kilka osób.

**Paweł HOSTOWIEC.**



## Krytyka literacka na emigracji

Kiedy Zarząd Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie powierzył mi zorganizowanie wieczoru na temat emigracyjnej twórczości, krytyki i czytelnictwa, przyjąłem to zadanie z dużym zainteresowaniem. Temat jest ważny i pasjonujący. W tym kręgu bowiem: pisarz, książka, krytyk i czytelnik mieści się niemal przyszłość naszej świadomości narodowej na obczyźnie.

Słowo to potęgą o wielkim zasięgu. Kształtuje ono człowieka w podobnej mierze, jak wychowanie szkolne i jak samo doświadczenie życiowe. Nie ma doprawdy zasadniczej różnicy pomiędzy śladami w duszy po rzeczywistym przeżyciu, a przeżytym szczerze utworze literackim. To czym jesteśmy i czym będziemy, jako jednostka i jako ogół, zawdzięczamy zarówno życiu prawdziwemu, jak życiu urojonomu, pokazanemu w literaturze, w teatrze, a dzisiaj także na filmie. Jeżeli tak jest, to — powtarzam — los słowa polskiego na emigracji będzie decydował o samej polskości emigracyjnej rzeszy. Toteż nie widzę dla nas poza granicami kraju większego niebezpieczeństwa, jak katastrofalny zastój wydawniczy ostatnich kilku lat. Słowo pisarza działa i dociera do szerokiego ogółu przez książkę i na odwrót nie ma dla pisarza silniejszego bodźca twórczego, jak świadomość, że jest powszechnie czytany. Jakiegokolwiek byłyby trudności i opory, książka polska powinna się rozdzić na emigracji i powinna być drukowana. Bez tego stróża i budziela, bez tego żywego znaku istnienia będziemy zasympiać, sobkowieć, odchodzić od własnego narodowego życia. I z natury rzeczy zacznie nas kształtować i przywłaszczać słowo obce — bo próżnię coś musi wypełnić.

Temat mój ograniczę do omówienia roli krytyki literackiej w tym boju o życie polskiego słowa na emigracji. Niestety wypada od razu stwierdzić, że dotychczas była ona znikoma. Powołuję się chociażby na zdanie p. Marii Danielewiczowej, najbardziej kompetentnego świadka, która nie zauważyła prawie wpływu krytyki na wybór i poczytność książek w bibliotece przez siebie kierowanej. Dlaczego tak? Przecież opinia Saint-Beuve'a we Francji XIX-go stulecia, czy Bielińskiego w Rosji decydowała niegdyś o przyjęciu lub odrzuceniu nowej książki przez czytającą publiczność. Jeszcze osąd naszego Boya

lub Irzykowskiego potrafił przełamywać obojętność zalegającą około wartościowego utworu, albo skompromitować popularną miernotę.

Zapewne, że dzisiejszy czytelnik szuka wartości raczej powierzchniowych, łatwo uchwytnych, w których sam bez pomocy krytyki wystarczająco się orientuje. Jeśli utwór wymaga zastanowienia, wysiłku — odrzuca go, nie szukając wyjaśnień. Zbyt się spieszy. Poza tym rzetelną krytykę zastąpiły i pobiły na głowę generalne pośredniczki dzisiejszego czasu: reklama i propaganda.

Ale jeżeli czytelnik polski na obczyźnie nie szuka krytyki, winien jest na pewno także krytyk — który nie umiał sobie czytelnika wychować, stać się mu potrzebny, dać treści, która by naprawdę zajęła. Dla przykładu: czyż istnieje czujna i poważna krytyka utworów powstających na emigracji? W pamięci mam, prawdę mówiąc, jedynie felietony, pochwalne to zjadliwe — nie potrafię natomiast przypomnieć sobie jakiegokolwiek naprawdę gruntownej i obiektywnej krytyki utworu emigracyjnego. Sam muszę się zresztą w piersi uderzyć. Stroniłem dotąd od oceniania literatury emigracyjnej, choćby dlatego, że brak perspektywy i zbyt osobisty stosunek do wielu piszących sprawia, iż nie jest to zadanie ani łatwe, ani wdzięczne. Nie mniej społeczeństwo wychodźcze domaga się — i słusznie — uczciwego i gruntownego osądu tych przede wszystkim utworów, które wśród niego powstają.

Jestem przekonany, że krytyk potrafi zdobyć zainteresowanie i zaufanie czytelnika, o ile dostarczy mu solidnej strawy. Trudno jednak osiągnąć to tylko felietonami o charakterze osobistych impresji — nie zawsze interesujących, a często mętnych. Nie wiem nawet czy można mówić o krytyce literackiej na emigracji, w znaczeniu szerszych krytycznych opracowań. Dostajemy na ogół tylko recenzje. A czytelnik chce się od krytyki czegoś nauczyć i żąda, by nauka była podana w jasny i dostępny sposób. Krytyk nie może więc pozostawać dyletantem — chociażby uroczy. Musi on wypracować własny system miar, stać na mocnych nogach intelektualnych, wiedzieć czego chce; na domiar powinien swój rzeczowy, rzekłbym fachowy wykład podać na tyle zajmująco, a przede wszystkim przejrzysto, by trafiał od razu, by czytelnik nie musiał prócz zagadek pisarza rozwiązywać jeszcze zagadek krytyka. Inna rzecz, że warunków do takiej solidnej pracy krytycznej brak na emigracji, tak samo, jak brak ich do poważnej twórczości artystycznej. Ale nie dziwny się, że to co nazywamy krytyką emigracyjną nie wywiera prawie wpływu na losy książki. A byłoby tyle do zrobienia! Ze względu na zwięzłość nie mogę tu oczywiście zajmować się szerzej tymi wartościami, jakie wszędzie i zawsze rzetelna krytyka niesie zarówno pisarzowi jak i czytelnikom. Pisarzowi: odbicie jego wizji w cudzych, rozumiejących oczach; przedyskutowanie myśli utworu i celności artystycznego wyrazu; wyznaczenie ośrodków ciężkości dzieła,



z których rozkładu i wagi sam twórca nie zawsze zdaje sobie trafnie sprawę; podniecie słusznej pochwały i hamulce słusznego potępienia; wykończenie sensu utworu i jego wartości artystycznych czytelnikom — czego twórcy samemu czynić nie wypada a nawet, rzekłbym, nie wolno. Krytyk jest więc jakby przyjacielem i doradcą pisarza, jedynym równym partnerem — bez którego nawet wśród tłumu wielbicieli pisarz idzie samotny i trochę na oślep.

W stosunku do czytelników znowuż, krytyk odgrywa rolę co najmniej pożytecznego drogowskazu, dla większości zaś jest wychowawcą, niezbędnym by przygotować i wprowadzić w istotne wartości utworu literackiego.

Te zadania i możliwości stoją, jak powiedziałem, przed krytykiem literackim wszędzie i zawsze. Teren emigracyjny nie tylko, że nie pomniejszył roli i zadań krytyka, lecz wyraźnie rozszerzył ich zakres i wagę. Rola ta mogłaby stać się niemal centralna w zagadnieniu polskiego czytelnictwa na obczyźnie. W kraju był krytyk raczej specjalistą. Ograniczał się do literatury własnego narodu, a jeśli sięgał do obcej, to dorywczo, lub z kolei w tej obcej się specjalizował. Na emigracji czytelnik stoi przed takim nadmiarem i chaosem literackim, że właśnie tu nie może się obyć bez doświadczonego przewodnictwa. Nowopowstająca literatura emigracyjna, literatura kraju nadpływająca bujnym strumieniem, a nadto literatura obca tego przynajmniej narodu wśród którego żyjemy — to wielość, na którym niepodobna nie zgubić się bez pomocy. Przed krytykiem, jako powołanym przewodnikiem na tym wielość nie stało jeszcze dotąd zadanie tak rozległe i trudne.

O trudnościach rzetelnego podejścia do literatury emigracyjnej już mówiłem — zbyt bliskiej i niejako rodzinnej, gdzie właśnie z tego powodu nie łatwo jest o perspektywę i obiektywizm. Inne trudności czekają krytyka przy zdawaniu sprawy z literatury obcej, w naszym wypadku angielskiej, której czołowe przynajmniej nowości powinien dla polskiego czytelnika omawiać. Tu znowu wielka odległość, dzieląca psychikę polską od angielskiej wymaga od krytyka międzynarodowego odczytania, przy niezależności sądu — ażeby jego punkt widzenia był własny, polski i równocześnie nie zaściankowy.

Ale najtrudniejsze bodaj zagadnienie, a na pewno nie najmniej ważne — to stosunek do literatury krajowej. Utarło się zdanie, że tylko krytyk emigracyjny powołany jest do pełnego i sprawiedliwego osądzenia tego co się w Kraju dziś pisze — bo on jeden posiada niezależność i swobodę sądu. Ale, mając swobodę, nie ma niestety w ręku wielu nici i musi sądzić trochę na oślep. W sądzie swym napotyka szereg elementów nieznanych i zaciemnianych celowo, o których może go objaśnić tylko intuicja i serce, a nie wiedza. Dlatego krytyk emigracyjny oceniając współczesną literaturę Kraju musi być w równej mierze oględny i nieustepliwy, równie serdeczny jak surowy. Powinien ocenić, ile w postawie pisarzy krajowych jest

istotnej słabości moralnej czy oportunistycznym a ile koniecznej maski albo też powierzchownego kompromisu — aby ocalić istotę. I przede wszystkim tę istotę, to ukryte pod maskami i kompromisami polskie sedno, musi krytyk wyczuć i oceniać.

Niestety i temu zadaniu krytyka emigracyjnego nie zawsze umie podołać. Znacznie pochopniej wytyka się u nas załamania ideowe Kraju i każe gromko z ambony emigracyjnej, aniżeli śledzi czujnie i stara się ocenić to co jest prawdziwie wartościowe. Czyż nie znamienna to rzecz, że na emigracji nie pojawiło się dotychczas szerokie i gruntowne omówienie najwybitniejszego niewątpliwie utworu literatury krajowej, jakim jest "Bolesław Chrobry" Gołubiewa?

Ale to jeszcze nie wszystko. Krytyk na emigracji nie tylko ma szerszy zakres działania, nie tylko musi przepracować większy teren i zorientować w nim czytelników, ale sam charakter jego działalności stał się o wiele bardziej złożony i odpowiedzialny.

W własnym kraju, gdzie odbiorcą dzieła sztuki jest wielka gromada ludzka, tworzy się o dziele, poza fachową opinią krytyka, ocena gromady, opinia publiczna — nie zawsze będąca w zgodzie ze zdaniem krytyka i pod wieloma względami nie-trafna, ale zawierająca pewne elementy powszechnej wagi, przede wszystkim moralne, których nie można lekceważyć i które są na pewno potrzebne. Krytyk ocenia na ogół dzieło sztuki z punktu widzenia estetycznego i liczy się z potrzebami elity. Ogół jednak przyjmuje inaczej niż elita i ma niewątpliwie prawo do własnego sądu.

Jednym z najpoważniejszych niedomagań życia wychodźczego — nie tylko w dziedzinie literatury — jest to, że nie posiada ono prawie własnej opinii publicznej; za mała i zbyt rozproszona jest gromada, by mogła ją wytworzyć. Krytyk musi wziąć na siebie, chcąc nie chcąc, tę dodatkową rolę głosu opinii, głosu większości. Tak więc rola jego na emigracji staje się podwójna: 1) estety i fachowca, który osądza dzieło sztuki z punktu widzenia absolutnego, dla siebie i elity i 2) rzecznika społeczeństwa, opinii publicznej, której we właściwym tego słowa znaczeniu na emigracji brak, a która przykłada, niezbędną w ocenie każdego dzieła, miarę przeciętną i pion moralny. Taka podwójna rola niełatwa jest do uzgodnienia. Wymaga wielkiej dojrzałości umysłowej i moralnej. Dawniej wystarczało, gdy krytyk był inteligentny i wrażliwy.

W tym, pobieżnym przeglądzie zadań krytyka, muszą ograniczać się do linii ogólnych, bez wdawania się w szczegóły. Pragnę jednak wskazać jedno przynajmniej zadanie konkretne, które dowodzi, jak bardzo może krytyk przysłużyć się sprawie książki, w jak węzłowym stoi punkcie pomiędzy czytelnikiem a pisarzem tworzącym na emigracji. W normalnych warunkach krytyk informuje czytelnika tylko o utworach drukowanych i liczy się z tym, że czytelnik może utworzyć zalecony zawsze przeczytać. Natomiast na emigracji najpoważniejszym



zagadnieniem literackim jest właśnie zagadnienie książki nie-drukowanej, utworów jakże często wartościowych, których nie ma kto wydać i które nie docierają do czytelnika. W tej sytuacji, póki nie znajdą się sposoby normalnego wydawania książek, jedynym bodaj, który może dopomóc, jest krytyk.

Już przed dwoma laty zaproponowałem wprowadzenie zwyczajów recenzowania utworów niewydanych — z okazji "Słowa i bitwie", doskonałej powieści Jasieńczyka, która dotąd spoczywa w tece autorskiej. Właśnie krytyk powinien pośredniczyć pomiędzy autorem pozbawionym głosu a czytelnikiem ciekawym nowej strawy: w ten sposób zastępuje on niejako brakujące ogniwo książki, przekazuje w skróceniu jej treść, powierza życiu jej zagadnienia; pisarzowi toruje drogę do wydawcy, wskazując co jest godne druku; zaś w społeczeństwie wychodźczym budzi podniecającą świadomość ruchu naprzód, rodzenia się nowego życia. Tak więc krytyk jest powołany do wykonania ważnej i niezastąpionej wprost roboty.

Mógłbym na tym zakończyć. Mówiłem jednak tyle o ważności systemu, ustalonych zasad w krytyce literackiej, że pragnę jeszcze przed końcem podać przynajmniej kilka punktów wytycznych, jakimi w moim mniemaniu powinien kierować się krytyk w swej pracy — tym bardziej, że w naszej obecnej sytuacji nabrały one szczególnej aktualności i wagi.

Przede wszystkim mamy zagadnienie miary, jaką należało by stosować do emigracyjnych pisarzy. Tworzą oni niewątpliwie w warunkach niesprzyjających, bez podniet, bez możliwości drukowania, bez odgłosu społeczeństwa, zamęczani na domiar i zmuszani do zdawkowej twórczości, przez troskę materialną a często trud fizyczny. Czy wolno zatem do tych ofiar talentu stosować mierniki wysokie, absolutne, czy nie należało by poziomu osądów ad hoc obniżyć i złagodzić — tym bardziej, że i ogółowi czytelników niezawsze odpowiadają najwyższe miary.

Sądzę, że na obniżeniu poziomu nikt nie zyska: ani krytyk, ani pisarz ani czytelnik. Nie jałowe pochwały mogą podnieść pisarza z emigracyjnej prostracji i zapłodnić nową energią — ale rzetelna krytyka, która go naprawdę poruszy, z którą będzie się musiał wewnętrznie rozprawiać i o której wie, że traktuje jego utwory poważnie. Nigdy zresztą nie wiadomo, jak daleko odejdzie się od prawdy, jeśli się już raz wkroczy na ścieżkę kompromisów. Inna rzecz — życzliwa i pomocna forma każdej prawdy.

Dalsze zagadnienie postawione najprościej, brzmi: Co powinno krytyka emigracyjnego bardziej obchodzić — treść czy forma utworów sztuki? Oczywiście podział taki jest uproszczeniem; te dwa oblicza dzieła artystycznego są nierozdzielne i przenikają się wzajemnie. Ale dzisiaj w okresie powszechnego zamętu pojęć a równocześnie śmiertelnej wagi tylu nierozwikłanych zagadnień życia — czytelnik zwraca się do krytyka raczej o rozjaśnienie problemów dzieła sztuki, aniżeli o ukaza-

nie jego niuansów estetycznych. Nie jest to zresztą punkt widzenia pozbawiony słuszności — byle się w nim nie zacieńnić. Myśl utworu i jego napięcie uczuciowe są ośrodkiem dokoła którego każdy tegi utwór kształtuje się w duszy artysty, są tą wartością, którą twórca chce przede wszystkim czytelnikowi przekazać — a zatem stanowią coś podstawowego w każdym dziele sztuki. Czujny krytyk powinien poświęcić im pełną uwagę.

Obok starego jak sztuka zagadnienia, forma czy treść, stoi przed krytykiem każdego czasu i miejsca inne zasadnicze pytanie: dzieło czy autor; czym należy i wolno się zajmować — czy tylko dziełem samym w sobie, czy także jego twórcą? Nikt mnie nie przekona, że dla krytyka, jak i czytelnika, może istnieć jakaś sztuczna bariera zainteresowań. Im bogatszy plon zbiera się z utworu, tym lepiej. Dla jakiej estetycznej etykiety plon ten zubożać? A byłoby to zubożenie zasadnicze. Dzieło i autor stanowią nierozłączną całość i oświetlają się wzajemnie. Co więcej, im głębsza treść i ładunek emocjonalny dzieła sztuki, tym głębsze związki z twórcą, tym ciekawsze i bardziej owocne ich śledzenie. Tylko błahe utwory mogą pozostawać zamkniętą w sobie całością.

Występowałem na początku tego szkicu przeciw impresjonistycznemu, niefachowemu charakterowi krytyki literackiej na naszej emigracji. Ale zagadnienie: co powinno rządzić krytykiem, wrażenie chwili, impresja, czy ustalone kanony estetyczne — nie jest wcale proste i wymaga bardziej precyzyjnego określenia. Krytyk musi dążyć do stałych mierników, do fachowości; powinien jednak wyjść zawsze z samouctwa estetycznego — rozszerzanego dopiero później przez doświadczenia i syntezę cudze. Tylko krytyka oparta na własnych impresjach bywa żywa, oryginalna i wartościowa. Stwierdzenie tego jest szczególnie ważne właśnie dla naszych warunków uchodźczych: — ponieważ zawodowych krytyków przeniknęło tu z Kraju bardzo niewiele. Skoro jednak krytyk zaczyna swą karierę prawie zawsze jako dyletant i impresjonista — niejednen z dzisiejszych dyletantów ma szansę stać się prawdziwym krytykiem, byle nad sobą pracował; byle z własnych impresji z czasem zbudował sobie logiczny system.

Na koniec zagadnienie w pracy krytyka literackiego zasadnicze, które decyduje zarówno o metodzie tej pracy jak i jej owocach: Kogo powinien krytyk, pisząc, mieć przede wszystkim na oku, z kim dyskutować — z publicznością czy z krytykowanym autorem? Wydaje mi się, że istotą krytyki literackiej, jej załącznikiem i punktem wyjścia jest rozprawianie się z autorem. Krytyk to przede wszystkim także czytelnik, który musi wejść w bezpośredni i nie zakłócony niczym kontakt z pisarzem — a nie od razu wykładowca. I dobrze jest, jeżeli krytyk trzyma się tej przyrodzonej drogi do końca. Nie można tego oczywiście nazwać jednym celem krytyki, ale jest to najpewniejsza, najczystsza metoda pracy.



Nastawienie na publiczność — —jakkolwiek nie można o nim całkiem zapomnieć — odwraca uwagę krytyka od tematu, słyca jego podejście, a często pobudza do taniego imponowania osobistą wiedzą i wdziękiem. To wszystko nie popłaca i odpada w rozmowie z samym pisarzem. Świadomość, że ma się do czynienia z równym partnerem, z którym trzeba mówić do rzeczy i którego bystre oczy wypatrzą każdy błąd — podciąga samego krytyka i zmusza go do wyłożenia najrzetelniejszych wartości. A czytelnik właśnie takiej rozmowy — jakby podsłuchanej, a więc szczerzej, a więc pełnowartościowej — —będzie najciekawiej słuchał. Winien jest krytyk czytelnikowi tylko jedno: właśnie świadomość, że czytelnik jest słuchaczem a jego myślowy współudział ostatecznym celem krytyki — i dlatego krytyka będzie zawsze obowiązywała jasność i możliwa przystępność wykładu.

Zakończę definicją, w której starałem się ująć istotę sprawy, tak jak ją rozumiem: **Krytyka literacka jest przede wszystkim rozmową krytyka z pisarzem — której czytelnik się przysłuchuje.**

Wit TARNAWSKI.

## O wielkich błędach ostatniej wojny

Opinia o prowadzeniu i wynikach drugiej wojny światowej znajduje się, po obu brzegach Atlantyku, wciąż na rozdrożu. Z jednej strony, brzmią jeszcze echa propagandy wojennej, głoszenie "zwycięstwa" i chwalba "wielkich". Z drugiej, gdy po sześcioletniej wojnie przez sześć lat dalszych nie ma pokoju, powstaje pytanie: na co było zwycięstwo? i na czym polega wielkość?

Kronika codzienna dopiero co rozpoczętych lat pięćdziesiątych ukazuje nieuprzedzonemu coraz to nowe paradoksy. Niewzruszony sojusznik rosyjski, którego słowu kazano święcie wierzyć, okazał się w oczach Zachodu nieubłaganym wrogiem. Na obronę Europy i cywilizacji przed grozą "bolszewizmu" zwoluje się resztki sił "faszystowskich", dopiero co tępionych przez "demokracje". Italii, dopiero co pohańbionej kontrybucją na rzecz Sowietów, płaci się za nią dziesięciokrotnie; przywraca się jej wojska dopiero co rozbrojone i wzajem za pancerniki, którym kazano popłynąć do Rosji, ofiarowuje się nowe jak z igły amerykańskie okręty — przeciwko tejże Rosji w obronie. O zjednoczenie Niemiec, tak niedawno uroczyście "rozcłonkowanych", rozpoczęła się już zażarta, acz dotychczas bezkrwa- wa walka między Wschodem i Zachodem: pozbawione swej armii rzekomo "na zawsze", zbroją się już one na rozkaz Sowietów, a namyślają się jeszcze, czy także się zbroić za namową Ameryki. Na Dalekim Wschodzie Chiny, wprowadzone przez Zachód do grona wielkich mocarstw, stają się, pod maską komunistyczną, tegoż Zachodu zapamiętałym wrogiem, podczas gdy jednocześnie dozbrojenie Japonii, wczorajszego wroga, zdruzgotanego i podeptanego przez Amerykę, wysuwa się na plan pierwszy obrony Stanów Zjednoczonych na Pacyfiku. Wszelkie wartości zostały odwrócone na opak: dopiero co przyjaciel, uznany jest dzisiaj za niebezpiecznego przeciwnika, kandydatów na sprzymierzeńców znajduje się między wczorajszymi wrogami. Nie ma jaskrawszego przykładu tego pomieszania pojęć, jak los Polski i Jugosławii: Polska, odtracona przez Zachód, wydana na pastwę Sowietów, należy do Zachodu, a służy po niewoli Rosji; Jugosławia, podobnież zdana na łaskę sowiecką a odtracona przez Rosję, należy do komunizmu a pomimo woli służy Zachodowi.<sup>1)</sup> Niepodobna zgłębić przewi-

## „POLSKA WIERNA”

Jest najstarszym i najpoczytniejszym  
tygodnikiem społeczno-religijnym  
Polaków na Obczyźnie

Cena pojedynczego egzemplarza ..... 15 Frs.

Prenumerata kwartalna ..... 180 Frs.

Zamawiać: 263-bis, rue St-Honoré — PARIS 1<sup>er</sup>

C.C.P. 4955-03



dzieć, jakie stanowisko zajmie niejedyn z najbardziej pewnych krajów w razie, jeśli urzeczywistni się groza nadciągającej nowej wojny.

Coś więc musiało nie być w porządku z prowadzeniem wojny, jeżeli rezultaty stały się wręcz odwrotne do powziętych zamierzeń. Wydaje się to tym mniej naturalne, ile że zwycięstwo wojskowe było zupełne jak nigdy i z pozoru zostawiało drogę otwartą do zrealizowania celów wojennych. Czy więc kierownicy, mężowie stanu, zawiedli? czy błąd był w samym założeniu politycznym wojny? czy nastąpiło w pewnej chwili spazczenie samych celów wojny, zastępując ideały brutalnością przemocy?

Na tle tych pytań ujawnia się dwoistość w opinii Anglii i Stanów Zjednoczonych. Szereg wybitnych wojskowych — Fuller i Liddel-Hart, Deane i Zacharias, polityków, publicystów i uczonych — Bullitt i Burnham, Lord Vansittart i Voigt, Alsop i Mowrer — zajęli wyraźnie krytyczne stanowisko i zaczęli odsłaniać niedociągnięcia i złudzenia, fałszywe i postrachy głównych aktorów historycznej sceny. Jednocześnie, w imieniu tychże działaczy, wystąpiła obrona oficjalnej polityki wojennej w sprawozdaniach współodpowiedzialnych kierowników — Hull'a i Stimson'a, Stettinius'a i Leahy'ego, w papierach pośmiertnych Hopkinsa wydanych przez Sherwood'a, w licznych apologetycznych pismach angielskich, w panegirycznych biografiiach Roosevelt'a w rodzaju książki Guenthera. Podtrzymane być musiały wojenne bożyszcza, uchowaną legendą o "wielkim sojuszu", o "wielkich trzech", o wielkich spotkaniach i epokowych konferencjach. Przeciętny czytelnik do dziś nie wie, co ma o tej przeszłości niedawnej myśleć, wciąż jeszcze woli się karmić wczorajszymi iluzjami. Recenzenci, szczególnie amerykańscy, schlebiają gustom tłumów, starannie kłajstrują szpary, przez które można by dojrzeć prawdę. W tych warunkach najprostsze problemy nie są jeszcze w opinii ogółu wyjaśnione, a kontrowersje najbardziej dla oceny zjawisk współczesnych istotne, pozostają nadal nierozstrzygnięte.

Tym radośniej należy powitać krótką i zwięzłą, a pełną treści i sensu książkę znakomitego publicysty amerykańskiego, wojennego korespondenta nowojorskiego "Times" a, Hansona W. Baldwin'a<sup>2)</sup> Jak się należało z góry spodziewać, książka ta jest lekceważona lub przemilczana przez miarodajną krytykę, nie należy do "best seller"-ów, a jednak walory jej są nieprzemijające. Za największy uznać trzeba, że rozprawa o "wielkich błędach wojny" wyodrębnia i klasyfikuje poszczególne problemy, tak iż służyć może jako przewodnik dla następnych opra-

1) Jeden ze szlachetnych przyjaciół włoskich mówił proroczo do autora niniejszego szkicu, wiosną 1941: — Do końca nie będziecie wiedzieli, kto jest właściwym waszym przyjacielem i kto się w końcu okaże przeciwko wam...

2) *Great Mistakes of the War*, by Hanson W. Baldwin, Harper & Brothers, Publishers, New York. (1950). Str. 4 nlnb, 114.

cowań i dalszych dyskusji. Przy omawianiu jej można tedy odstąpić od stereotypowego zwyczaju omówienia i oceny całości, a natomiast przystąpić do analizy, wraz z autorem, poszczególnych zagadnień, w ułożonym przez niego szeregu. Tak pojmwane omówienie przestaje być tylko recenzją, a staje się współpracą krytyka z autorem. Współpraca ta nie jest rzeczą dowolną ani przypadkową. Każdy z nas, widzów lub uczestników zło-wrogiej epoki, przetrwał obserwowane zagadnienia; każdy, z własnych doświadczeń i rozmyślań, może dorzucić swoje — porównać i uzupełnić. Takie jest zadanie niniejszego szkicu.

W lutym 1945 w Jałcie, oraz 6 czerwca 1944, w dniu inwazji Normandii przez Sprzymierzonych, można powiedzieć, że prze-graliśmy pokój.

Tymi słowami, przypominającymi słynny artykuł Bullitt'a<sup>3)</sup>, otwiera się książka. Zaraz tedy, na wstępie autor łączy omyłki strategiczne z błędami politycznymi; podstawowe zaś przyczyny fałszywych ocen i działań widzi w niedojrzałości i ignorancji.

### 1. Wojna i Polityka.

"Walczyliśmy dla najprędzszego zwycięstwa, a nie dla istotnego pokoju". Autor przeciwstawia w tym względzie "niedojrzałość polityczną" Amerykanów "wielkiemu planowaniu" Brytyjczyków: — niezupełnie słusznie. Prezydent Wilson przystępował w 1917 do wojny z określonym planem i w imię tego planu doprowadził do zwycięstwa. Zwycięstwo w 1918 odniesione zostało dla celów, wyłożonych światu w "Czternastu Punktach": pod ich ciężarem, nie mniej niż pod atakami wojsk, upadły Centralne Cesarstwa, pod ich hasłami zaczęto ówczesną przebudowę Europy. Nic podobnego w 1944 i 1945: zapomniana była już wtedy "Karta Atlantycka", nawiasem mówiąc nigdy nie dorównująca, ani polotem idei, ani konkretnością wniosków Deklaracji Wilsona; na to puste miejsce zarówno Amerykanie jak Anglicy postawili w Druhej Wojnie jedyne hasło — "Victory": zwyciężyć i... kropka, jak streszcza Baldwin. Zwycięzimy — a jutro będzie co Bóg da: można by streścić całą ideologię Zachodu. Odpowiedzialność za ten podstawowy brak obciąża zarówno Prezydenta Roosevelta, który wszelkie niewygodne kwestie jawnie odkładał na później, a potajemnie czynił przedmiotem przetargów, jak Churchill'a, który wojnę uprościł do zagadnienia "zabijania nieprzyjaciół", wszystkie sprawy i interesy nie-brytyjskie poświęcał dla natychmiastowego wojennego efektu, a jako symbol ogłupiania tłumów wynalazł trywialną sztuczkę dwoma palcami — znak "V"<sup>4)</sup>

3) *How We Won the War and Lost the Peace*, "Life", August 30, 1948.

4) "to kill the Germans" — zasada wprowadzona przez Churchill'a od 1942 roku, zastępująca z czasem wszystkie inne postulaty i hasła. Por. rozumowanie w jego "Grand Alliance". To rozumowanie od 1943 wzięło górę nad innymi względami i podyktowało m. in. fatalną polity-



"Wojna jest dalszym ciągiem polityki, prowadzonej innymi środkami" — ta prosta maksyma Clausewitz'a przemówiła dopiero do umysłów mężów stanu anglosaskich, gdy się dowiedzieli że teorię tę studiował Lenin, a i wtedy uważali ją za... reakcyjną. Tymczasem wydaje się rzeczą oczywistą, że na to aby walczyć, należy wiedzieć, za co i o co: przecież nie na to tylko jak w football'u, aby miejsce pp. Hitlera i Mussoliniego zajęli pp. Roosevelt i Stalin. Należy nie tylko zwyciężyć: — należy wiedzieć, co się ze zwycięstwem zrobi.

"Jedną z naszych największych słabości, mówi dalej Baldwin, była niezdolność do wyrównania, oszacowania i złączenia w jedną całość wojskowości i polityki". Wytworzyło się istotnie na tym tle u zachodnich sprzymierzonych zdumiewające nieporozumienie. Zasadą walczących "demokracji" był prymat władz cywilnych w kierowaniu państwem, nawet w czasie wojny; regułą — że wojskowi nie robią polityki. Tymczasem politycy stwierdzili, że robią tylko... wojnę: Churchill i Roosevelt zajęli się głównie planami strategicznymi i prowadzeniem operacji, starając się mieć na czele spraw wojskowych oficerów drugorzędnych lub mało samodzielnych, aby im nie przeszkadzali. Z kolei wówczas, wojskowi zajęli się... polityką, wpływając niejednokrotnie decydująco na tak nawskroś państwowo-polityczne rozstrzygnięcia, jak stosunki z Rosją sowiecką, lub wciągnięcie Sowietów, w ostatniej chwili, do wojny z Japonią.<sup>5)</sup> Kompetencje stron obu, wojskowej i cywilnej, były w praktyce stosowane odwrotnie; co gorsza, każda ze stron wmawiała w siebie i w innych, że pozostaje przy swojej. Wynikiem tego nieporozumienia był brak polityki w ogóle, lub sprowadzenie jej na poziom najniższy — dowolnych improwizacji lub personalnych rozgrywek. W tej ostatniej dziedzinie — sprawiedliwość każe przyznać — kierunek nadawał Roosevelt. "Urząd Prezydenta, powierzona mu szeroka władza, pozwalają... na zastosowanie osobistej polityki zagranicznej". Roosevelt, nie znając zupełnie tej dziedziny, kierował się w jej prowadzeniu metodami i uprzedzeniami swojej polityki wewnętrznej.

kę w stosunku do Jugosławii: cyniczne rachowanie, kto więcej zabija Niemców, nie uwzględniające wcale skutków dla egzystencji przymierzonego narodu, doprowadziło w konsekwencji do poświęcenia gen. Michałowicza i do utworzenia drogi zamachowi komunistów.

<sup>5)</sup> Kierownictwo strategiczne wojny W. Brytanii znajdowało się od 1942 niepodzielnie w rękach Churchilla, co stwierdzają tegoż pamiętniki; Roosevelt włączyła, jak podaje Stimson, instytucja "Joint Chiefs of Staff"; mianował on przeto swego własnego szefa sztabu w osobie biernego adm. Leahy, aby zyskać swobodę improwizacji. Z drugiej strony, wpływ ściśle polityczny czynników wojskowych wyraził się w składanych w decydujących momentach memorandumach pro-rosyjskich, ogłoszonych w papierach Hopkinsa, oraz w memorandum z 1945, na którego podstawie Roosevelt uznał za niezbędną interwencję Sowietów w wojnie z Japonią; drugie, równoległe memor. z opinią odmienną, nie doszło nigdy do kierownictwa politycznego, por. Zacharias p. 56 sq., Leahy 1. c.

## 2. Polityka i ignorancja.

Błędy Stanów Zjednoczonych wynikały według Baldwina z ich politycznej niedojrzałości; rozrosły się one jego zdaniem "dzięki niedostatecznej wiedzy, albo też brakom właściwej interpretacji" posiadanych wiadomości. Tej, po prostu mówiąc, ignorancji autor przypisuje podstawowo błędny stosunek do Rosji sowieckiej. Stosunek ten opierał się na czterech "wielkich i fałszywych przypuszczeniach": pierwszym, że Politbiuro porzuciło plan światowej rewolucji, będąc gotowe do przyjaznej z Zachodem współpracy; drugim, że Stalin był to "porządny chłop" i że można z nim było "dojść do ładu"; trzecim, że Rosja zdolna jest zawrzeć pokój separatywny z Niemcami; czwartym, że przystąpienie Rosji do wojny z Japonią jest istotne dla zwycięstwa i potrzebne dla zaoszczędzenia ofiar. Każdą po kolei z tych iluzji Baldwin bezlitośnie analizuje i rozbija.

Czy jednak do nich tylko ograniczała się niewiedza? Czy li tylko niewiedza była ich źródłem? — Rzecz domaga się głębszych dociekań. Sam autor doszukuje się głównej przyczyny w "niedojrzałości politycznej"; inni krytycy dzisiejsi skłonni byliby upatrywać w niej organiczny "infantylnizm" amerykański, utrudniający badanie informacji i zestawianie wniosków na podstawie przyczyn. Tymczasem owa niedojrzałość czy infantylnizm nie były bynajmniej regułą w dotychczasowej działalności państwowej amerykańskiej, w zestawieniu materiałów, w użytkowaniu źródeł, w metodach informacji. Na Konferencję pokojową paryską w 1919 delegacja Stanów Zjednoczonych przybyła z największym zasobem wiadomości o Europie i jej politycznym ustroju. Poprzedziły ją gruntowne studia nad poszczególnymi krajami i oddzielnymi kwestiami. Można by życzyć każdemu uczonemu polskiemu tej wiedzy i obiektywizmu, z jakim przybył wówczas do Paryża ekspert polski Delegacji, znakomity i zasłużony profesor Lord. Wilson kładł na szalę rozstrzygnięć zbiorowych swój głos tylko za wiedzą i radą specjalistów-ekspertów z własnego kraju. Istnieją dane, że w latach trzydziestych i w pierwszych latach drugiego światowego konfliktu powtórzo- no podobne przygotowania, redagowano przy pomocy uniwersytetów amerykańskich nowe opracowania monograficzne. Wszystko to poszło dosłownie do kosza: nikt z kierowników polityki państwowej nie zużytkował zgromadzonych materiałów. Byrnes opowiada o swym spóźnionym odkryciu tek zestawionych przez Departament Stanu, zawierających opracowanie wszystkich ważniejszych kwestyj: pozostawiono je na okręcie, który przywiózł Prezydenta i jego świtę na Maltę, po drodze do krymskiej Jałty. Mężowie stanu amerykańscy przystępowali do rozstrzygnięcia o przyszłej strukturze Europy i o losach jej narodów bez żadnych podstaw rzeczowych.<sup>6)</sup> Regułą postanowień była do-

<sup>6)</sup> O nieczytanych przez nikogo, tekach, opowiada Byrnes 1.c.; w Jałcie delegacja amer. miała zaledwie paru wyższych urzędników Dep. St. jako rzeczoznawców. Co się tyczy ekspertów brytyjskich, jak wia-



godność w danej chwili — "expediency"; ich podstawą była ignorancja.

Dla ludzi wychowanych na metodach dyplomacji nowoczesnej, polegającej na analizie faktów i ekspertyzie stosunków, pozostało niepojęte, iż statystyci Zachodu, przystępując do narad w Moskwie, Teheranie i Jałcie, nie wiedzieli czym jest Rosja sowiecka, ani kim jest Stalin. W ciągu dwudziestu lat dla Anglii, w przeciągu niemal dziesięciu lat po uznaniu Sowietów dla Ameryki, istniały setki raportów, doniesienia świadków i informatorów, badania rzeczoznawców gospodarczych, administracyjnych, techników, edukatorów, polityków. Ale jak świadcza z rozbrajającą otwartością książki Sekretarza Stanu Hull'a, Stettinius'a i Byrnes'a, Szefa Sztabu Prezydenta St. Zjed. Leahy'ego, dopiero na tych konferencjach "odkrywano" Rosję i Stalina, jak gdyby nie było dokumentów, sprawdzalnych danych, żyjących świadków. Churchill z nabożeństwem słuchał, co mu Stalin do wierzniaka podawał w sprawie spisku Tuchaczewskiego, chociaż archiwa brytyjskiej "Intelligence" musiały zawierać o wiele wiarogodniejsze o tym dane, a prawdomówność sowieckiego "Wodza" miała już wówczas, wśród ludzi poinformowanych ustaloną i zasłużoną reputację. Hull zastanawiał się nad "sfinksem" sowieckim, inni kierownicy Stanów widzieli w nim "enigmę", zagadkę, sam zaś Roosevelt upraszał swego ministra pracy, zadaną w sprawami zagranicznymi nigdy nie zajmującą się panią Frances Perkins, aby mu koniecznie i najprędzej znalazła kogoś, kto mógłby mu objaśnić Rosję. Działo się to wtedy, gdy jeden z najlepszych znawców współczesnej Rosji, Dawid J. Dallin, wykladał na znanym amerykańskim uniwersytecie, gdy dziesiątki innych historyków, polityków i publicystów, emigracyjnych i własnych, poświęcało się jej zagadnieniom, gdy wśród dyplomatów i w samym Departamencie Stanu istniały pełne informacje i pracowali eksperci. Mogli oni z całą dokładnością poinformować Prezydenta o złowrogim zwrocie, jaki nastąpił w bolszewizmie i w akcji Stalina, najpierw w 1933/4, w związku z głodem i kolektywizacją rolną, a potem w 1936/7, w następstwie procesów i likwidacji leninowskiego komunizmu. Rosja pozostała niewytłumaczoną enigmą czy tajemniczym sfinksem dla tych tylko, którzy ponad wiedzę o rzeczy samej przekładali własną intuicję, chwilowy kaprys i parodniowe zetknięcia osobiste, kontynuując w ten sposób najgorszą tradycję lat powersalskich, gdy spotkania kierowników państw i rządów zastąpiły normalne sposoby i drogi międzynarodowych porozumień<sup>7)</sup>

Ignorancja, przejawiona w kluczowym zagadnieniu Rosji, nie

domo, padli oni w drodze na Krym ofiarą wypadku samolotowego, który jak to z wypadkami bywa, nastąpił właśnie w krytycznym dla zachodnich delegacji momencie.

<sup>7)</sup> Stalin przy pierwszym spotkaniu z Churchill'em, sam poruszył temat krwawej kolektywizacji, tłumacząc poniekąd swe postępowanie; tak pewien był, iż rzecz jest znana na Zachodzie i że ocena jej musi być surowa. Dopiero daleko później, gdy już lepiej poznał swych partnerów przestał się krepować i opowiadał im bajki.

była bynajmniej do niej tylko ograniczona. Prezydent Roosevelt miał skłonność zastosowywania do różnych spraw mu nieznanych przykładów lub wzorów z dziedziny dlań dostępnej — historii i praktyki konstytucji amerykańskiej. Gdy mowa była o stosunku rządu rosyjskiego do rządów krajów ościennych i o potrzebie, aby to były rządy "przyjazne", zapomniał on zupełnie o zasadach "niepodległości" i "suwerenności", gwarantowanych w "Karcie Atlantycznej", a podał za pożądany wzór wewnętrzne stosunki amerykańskie i konstytucyjne uprawnienia Stanów wobec Unii. Innym razem, uzasadniając improwizowany wniosek narzucenia "bezwartunkowej kapitulacji" wszystkim państwom nieprzyjacielskim, powołał się, zresztą nieściśle, na precedens generała Granta z amerykańskiej Wojny Secesyjnej; jak gdyby istniał najsłabszy choć związek między proklamacją do własnych współobywateli, mającą na widoku przyszłą amnestię, zapowiadającą dalsze współzycie w jednym państwie, a stosunkiem zwycięzców do pokonanych obcych państw, w wyniku nikogo nie oszczędzającej wojny, prowadzonej w celu wzajemnego wyniszczenia.

Ignorancja szerzyła się jak kąkol po polach, nawet tam, gdzie łatwo było rzecz najpierw sprawdzić. Notatki Stettinius'a i wspomnienia admirała Leahy świadczą, że Roosevelt nie zdawał sobie sprawy, ani ze znaczenia Cieśnin tureckich, ani z postanowień o swobodzie żeglugi, zawartych w Konwencji z Montreux. Zdumiewająca opowieść o spustoszeniu kwitnącej niegdyś Persji przez najazd turecki, powtórzona łatwowiernie przez Stettinius'a, świadczy na jakim poziomie prowadzone były rozmowy intymne przez mężów stanu Zachodu i jakie niebezpieczeństwa musiały wynikać z odbywania ich przy sowieckim świadku, dobrze przygotowanym w przedmiotach stawianych na porządku dziennym wspólnych spotkań. Zastraszający był nie tylko poziom — lecz intencje. Baldwin przytacza nieznanne dotychczas, fantastyczne plany Roosevelta wydana komunikacji perskich pod zarząd sowiecki, które samą swą przesadą wzbudziły nieufność u Stalina. Prawdziwa jednak orgia niewiedzy powstawała, gdy zaczynało mówić o Polsce; wiadomo jest bowiem, że o tym kraju przyjęte jest kłamać zarówno bezkarnie jak bezczelnie. Gdy Stalin w Jałcie mówił o "Polsce jako sąsiedzie", jako "poprzez całe dzieje korytarzu najazdów na Rosję", nikt tych rozmyślnych fałszów nie sprostował, a dygnitarze zachodnich demokracji wyrażali swe współczucie i pełne zrozumienie dla potrzeby ubezpieczenia Rosji. Gdy po Teheranie Churchill chciał usprawiedliwić wobec Izby Gmin akces brytyjski do podziału Polski, powtórzył on za Stalinem sfałszowaną historię "linii Curzona", ale zamilczał zarówno o fakcie uznania przez Wielką Brytanię wschodniej granicy w 1923, jak o wzajemnym uznaniu integralności terytoriów obu państw w traktacie z 25 sierpnia 1939. Gdy Churchill i Roosevelt, najpierw w zasadzie w Teheranie, potem definitywnie w Jałcie, zgodzili się na okrojenie Polski dokonane przez Sowiety w spółce z Hit-



lerem, nie spróbowali oni nawet uzasadnienia tej decyzji, nie sprawdzali wcale ani argumentów zaborczych Stalina, ani żadnych danych faktycznych o Polsce; ale przyłączyli się do żądań sowieckich jako "sprawiedliwych" i wtórzili, zarówno wówczas jak później, interesownej legendzie o zachodniej "Białorusi" i "Ukrainie"; nie zastanawiając się nad tym, na rzecz jakiej Ukrainy czy Białorusi poświęcali mieszaną ludność tych ziem.

W dziedzinie każdego z tych przykładów, aby przygwoździć kłamstwo i stwierdzić, na czym ono polega, należy dojść do szczegółów, zestawić i zanalizować argumenty. Potrzeba zaś wtórnego i równie systematycznego wysiłku, aby oddzielić to co spowodowane było zwyczajną ignorancją od tego, w czym tkwiła rozmyślna acz ukryta intencja. Gdy za sugestią Roosevelta redagowany był przez Morgenthau'a plan realizowania nowych Niemiec jako rolniczo-pasterskiego państwa, wydaje się nieprawdopodobne, aby kierownicy resortów gospodarczych mocarstw światowych mogli chociaż przez chwilę zapomnieć o znaczeniu Zagłębia Ruhry w ekonomii Europy; należy więc przypuścić, że istotną pobudką było co najmniej czasowe unieszkodliwienie konkurenta. Gdy Roosevelt zażądał od ambasadora polskiego zaświadczenia tolerancji religijnej w bolszewickiej Rosji, niepodobna przypuszczać naiwności w tym stopniu, aby sam na jedną choć chwilę w tę tolerancję uwierzył; stwierdzenie to było mu potrzebne w rozgrywkach polityki wewnętrznej. Kiedy Zachód popełnił jedną ze swoich kardynalnych pomyłek w Poczdamie, włączając polskie pretencje finansowe do ogólnej kwoty niemieckich odszkodowań dla Rosji sowieckiej, nie wydaje się prawdopodobne, aby świadomie chciał się przyczynić do integracji Polski do obszaru jej okupanta i do poderwania na przyszłość ważnej więzi gospodarczo-politycznej między Polską a Zachodem; należy po prostu sądzić, iż rzeczoznawcy anglo-amerykańscy wiedzieli z góry, bez żadnych iluzji, że sumy wpłacone Warszawie powędrują do Moskwy i nie chcieli wpłacać Rosji za jedno i to samo, po dwa razy.

W ten sposób ignorancja spletała się w jedno z cynizmem, i spowodowała na końcu, że obydwa zwycięskie anglosaskie mocarstwa, będące u szczytu swojej potęgi, niezdolne się okazały do przeprowadzenia swojej woli, ani nawet do skutecznej obrony swych interesów.

Powyższe dwie cechy postępowania mocarstw anglo-saskich — brak polityki i ignorancję — uznaje Baldwin za podstawowe błędy, z których zrodziły się wszystkie inne. Wszystkie one bowiem polegały na nieumiejętności zastosowania celów politycznych i wiedzy politycznej do istniejącej rzeczywistości, wojny.

### 3. Bezwarunkowa kapitulacja.

Formuła, domagająca się od nieprzyjaciół bezwarunkowego poddania ("Unconditional Surrender"), powstała na zjeździe w

Casablanca. Obwieścił ją światu na konferencji prasowej Prezydent Roosevelt; on też uważany był od niedawna za głównego, jeśli nie jedynego jej autora. Jak się okazuje obecnie, była ona zawczasu uzgodniona z Churchill'em, a nawet przedstawiona do aprobaty gabinetu brytyjskiego.<sup>8)</sup>

"Bezwarunkowa kapitulacja, pisał Baldwin, była polityką bankructwa politycznego... Opóźniła zwycięstwo, potwierdziła brak rozsądnego programu pokoju... Była otwartą zachętą do bezwarunkowego oporu... Wydłużyła najpewniej wojnę, kosztowała dalsze ofiary, zaprowadziła wprost do obecnego poronionego pokoju". Niemniej surowa była, dwa lata wcześniej, opinia angielskiego generała Fullera: ten "idiotyczny slogan", to "polityczne szaleństwo" wiodło jego zdaniem do odnowienia w łonie współczesnej Europy całej okropności wojen religijnych, gdzie wybór leży między zbawieniem przeznaczonym dla wiernych a wieczystym potępieniem czekającym na odstępców. Sekretarz Stanu Hull, który podobnie jak najwyższe autorytety wojskowe nie był konsultowany zawczasu, w swoich wspomnieniach opublikowanych w 1948 przedstawia szczegółowo historię doktryny "kapitulacji bezwarunkowej" i prób bezowocnych podjętych przez Departament Stanu w celu jej zrewidowania; z jego wstrzemięźliwego opowiadania wynika, że był od początku jej przeciwnikiem. Ze strony wojskowej posiadamy świadectwo kapitana Butchera, oficera sztabowego w Naczelnym Dowództwie na Zachodzie: uzupełnia on to co podał Hull, jak czynniki wojskowe domagały się sprecyzowania tej ogólnikowej i rozciągłej formuły: "dla każdego wojskowego jest jasne, że wszelka kapitulacja zawiera w sobie warunki".<sup>9)</sup>

Pomimo tak miarodajnych krytycznych wypowiedzi, mimo gwałtownych powojennych polemik w tej sprawie, teza o "kapitulacji bezwarunkowej" jako niezbędnej dla pomyślnego zakończenia wojny znajduje do dziś dnia zwolenników. Z obroną

<sup>8)</sup> "Unconditional surrender" nie jest wspomniany w komunikacie z 24. 1. 1943; wymienił go Roosevelt zaraz potem na konferencji prasowej a przyłączył się wnet publicznie Churchill; cf. "Times" 27. 1. 1943: "We might call this the "Unconditional Surrender Meeting". Próba Churchilla wykręcenia się od odpowiedzialności — zaraz potem, cf. Hull l.c. p. 1570, następnie w Izbie Gmin 21.VII.49; drastyczne przedstawienie sprawy u Elliota Roosevelta l.c., p. 117 doprowadziło b. Premiera do odświeżenia pamięci i przyznania własnego czynnego udziału: cf. oświadczenie w Izbie Gmin 17.XI.49, oraz opis w IV tomie "The Second World War". Twierdzenie, jakoby Stalin przeciwstawił się od razu, nie wydaje się słuszne: "Unc. Sur." wymieniony jest dosłownie w "preamble" deklaracji o "bezpieczeństwie zbiorowym", ogłoszonej na konferencji trzech ministrów w Moskwie 1.XI.43. Stalin wystąpił z krytyką dopiero w Teheranie, tzn. gdy było za późno dla Zachodu na naprawienie wyrządzonego zła. O jego dwuznacznym poparciu tej tezy odn. Japonii, cf. rozmowa z Hopkins'em 28.V.45 u Sherwood'a l.c., p. 903.

<sup>9)</sup> Fuller p. 258 sq., 331, 355. Hull l.c., p. 1570/83, poświęca temu przedmiotowi cały rozdział z ostrożną, umiarkowaną, niemniej wyraźną krytyką postępowania Prezydenta. Butcher l.c., p. 518, z wymownym tytułem: "Can Unconditional Surrender be Unconditional?".



jej wystąpił jeszcze niedawno Lord Vansittart, bronią jej niektórzy publicyści i politycy polscy. Sądzą oni, że bez tego aktu narzucającego wolę zwycięzców Niemcy nie uznałyby się nigdy za zwyciężone i że odnowiłaby się w tej lub innej formie legenda z 1919 o przypadkowym i niezawinionym charakterze wojny i przegranej. Utrzymuje się również mniemanie, że w 1945 nie było partnera do rokowań w Niemczech i że z żadną władzą pochodzącą chociażby pośrednio od nazizmu nie mogli Sprzymierzeni rokować.

Ernest Bevin, brytyjski Sekretarz Spraw Zagranicznych, powiedział w lipcu 1949 w Izbie Gmin: "bezw warunkowa kapitulacja pozostawiła nam w spuściznie Niemcy bez prawa, bez konstytucji, bez ani jednej instytucji mogącej załatwiać bieżące zagadnienia". Opinia ta wydaje się zawierać w sobie elementy wyroku historii. W istocie: Niemcy bez prawa i bez instytucji publicznych, inaugurowane przez zastosowanie bezw warunkowej kapitulacji, podobnie jak Niemcy "pasterskie", wymaganowane przez Roosevelta i Morgenthau'a, czyniły z tej części środkowej Europy vacuum, dokąd wejść mogły tylko Sowiety i śłały drogę pod zwyciężający bolszewizm. Było to nie naprawienie, lecz kontynuowanie dzieła zniszczenia moralnego rozpoczętego przez Hitlera. Było to nadwyrężenie równowagi w Europie, gdyż każde vacuum, polityczne zarówno jak fizyczne, powoduje ciężenie i budzi prężność sąsiednich sił. Podobnie było z Polską w XVIII wieku; a ponieważ i tym razem Polskę także wydano na łup Rosji, więc jedynie Rosja sowiecka mogła skorzystać z wytworzonej próżni i łamać odtąd strukturę kontynentu.

Baldwin przytacza argumenty, jakie mogły wpłynąć na inspirację Roosevelt'a. Jednym była potrzeba hasła porywającego masy — a więc propaganda zamiast polityki. Drugim — była chęć reasekurowania Stalina, że Zachód nie zawrze kompromisu z Hitlerem. Była to więc istotna kapitulacja bez warunków — ale Zachodu na rzecz Rosji. Zaiste, trudno o wyrazistsze testimonium paupertatis ze strony potężnych i zwycięskich wielkich mocarstw.

Jeżeli "Unconditional Surrender" był błędem w zastosowaniu do Niemiec, to błąd ten stał się szaleństwem i nieszczęściem, gdy go popełniono w odniesieniu do Italii oraz mniejszych partnerów osi. Odpowiedzialność za to obciąża w znacznej mierze Gabinet brytyjski, który w instrukcji przesłanej na konferencję w Casablanca obstawał specjalnie, aby Italia, na równi z Niemcami, podlegała rygorom kapitulacji. Fakt ten, wynik bezmyślnej demagogii antyfaszystowskiej, był katastrofalny w skutkach: przedłużył i skomplikował rokowania o rozejm z rządem Badoglio, dał Niemcom czas na przegrupowanie i zajęcie Rzymu, opóźnił całą kampanię włoską i uniemożliwił przyszyły plan operacji nad północnym Adriatykiem. Historia posiada zawsze swe wstydlive zakamarki i sprawa tragicznej kampanii włoskiej jest wciąż jeszcze pomijana lub tuszowana, dla zlagodzenia fatalnych omyłek i zasłonięcia winy.

Gorsze jeszcze w skutkach okazało się zastosowanie sztywnej doktryny kapitulacyjnej do Węgier, Rumunii i Bułgarii. Odtąd każda próba przeciągnięcia tych państw na stronę koalicji antyniemieckiej, wszelki choćby kontakt pośredni z ich rządami, uważany był za herezję. Na próżno najpierw Węgry, następnie Rumunia, próbowały tajnymi drogami zaofiarować wyjście z wojny, przejście na stronę koalicji: naturalnie, warunkiem tych usiłowań było utrzymanie ich w tajemnicy, oraz możność poddania się mocarstwu anglo-saskim, nie Rosji. W odpowiedzi czynniki anglo-saskie albo dopuściły do niedyskrecji w prasie, albo zawiadomiły bezpośrednio Sowiety; a to pomimo, że ze strony sowieckiej ani w sprawie Finlandii, ani w sprawie Bułgarii, nie przestrzegano doktryny kapitulacji bez warunków, ani nie odpiacano wzajem lojalną otwartością<sup>10)</sup>. Historia tych bezradnych wezwań, a w odpowiedzi — wykrętów i zwlekań, czekają na swego dziejopisa. Ukażą one, jak w skupionej soczewce, lekkomyślność z jaką poświęcono cały kompleks samoistych narodów i ustępliwość bez wzajemności, jaką stosowano wobec Rosji. W końcu doszło do tego, że Bułgarię, gotową podpisać każdy żądany tekst kapitulacji, zwodzono tak długo, aż ją można było wydać, jeszcze ciepłą od krwi i zgliszcz, na pastwę Sowietów<sup>11)</sup>.

#### 4. Strach przed pokojem odrębnym na Wschodzie

Od dni w Casablance, poprzez spotkania w Moskwie, Teheranie, Waszyngtonie, Quebecu, aż do zjazdu w Jałcie — a więc skroś całe dwa decydujące lata wojny, 1943 i 1944 — na dzień usposobień i działań polityków Zachodu tkwiła obawa, że Rosja sowiecka zdradzi swych aliantów i powróci do układu z Niemcami. Podyktowała ona w znacznym stopniu takie brzemienne w skutki posunięcia, jak nieograniczoną pomoc wojenną i materiałową dla Sowietów, jak demagogiczną formułę bezw warunkowej kapitulacji, jak wytyczne strategii zachodniej w 1944, jak wreszcie ustępstwa i upokorzenia polityczne. I jeszcze po Jałcie, wśród fanfar zwycięstwa, Stalin swobodnie grał na tych postrachach wobec opadającego z sił Roosevelt'a. Znać pamiętano aż nadto dobrze zmianę frontu Stalina z sierpnia 1939 i chociaż jawnie chwalono go i komplementowano, w głębi duszy uważano go za potencjalnego zdrajcę.

10) Przez cały pierwszy okres 1943 roku szły za pośrednictwem niektórych polskich reprezentacji dyplomatycznych apele węgierskie, pochodzące ze źródeł bliskich Premiera Kallay. Całym wynikiem tego lojalnego pośrednictwa była z jednej strony zaostrzona podejrzliwość dyplomacji brytyjskiej w stosunku do tej zbyt samodzielnej roli Polaków, z drugiej zaś — publiczne zadenuncjowanie w Londynie przez Benesa zaangażowanych w tych próbach wysłanników węgierskich.

11) Max. Mourin, *Les tentatives de Paix, 1949*, poświęca zaledwie jedną stronę (p. 205) próbom pokojowym państw bałkańskich. Por. także Antal Ullein-Reviczky, *Guerre Allemande, Paix Russe, 1947*.



“Staranna analiza strategicznych faktów, pisze Baldwin — oraz informacja wojskowa, będąca pod ręką, powinny być wykazać jasno niemożliwość, z rosyjskiego punktu widzenia, pokoju separatywnego z Niemcami. Pokój taki, w początkowych latach wojny, mógł być kupiony tylko za większe koncesje terytorialne, groźne dla reżimu Stalina i pozostawiające konflikt rosyjsko-niemiecki nadal otwartym. W końcowych zaś latach wojny Rosja miała wszystko do pozyskania i nic do stracenia prowadząc dalej wojnę aż do zupełnego zwycięstwa, pokój więc odrębny byłby politycznie rzeczczą śmieszna”.

Blizszą analizę tego zagadnienia przeprowadził nieco wcześniej Edgar E. Mowrer w sugestywnej książce o “przywidzeniach amerykańskiej polityki zagranicznej”<sup>12)</sup>. Zwraca on przede wszystkim uwagę na fakt, że inicjatywa wojny niemiecko-sowieckiej znajdowała się w ręku Hitlera i tenże nie miał żadnego interesu ani powodu jej porzucać. W ciągu pierwszych siedemnastu miesięcy wojny Hitler miał na ogół zwycięstwo po swojej stronie i pokoju by nie zawarł za mniejszą cenę, niż oderwanie Ukrainy. A wówczas, mając wybór między Aliantami, choćby żądali powrotu Rosji we własne granice z 1939, a Niemcami, żądającymi przeprobowania europejskiej Rosji — coż by Stalin wybrał? — Bitwa pod Stalingradem oznaczała kryzys tej wojny (lipiec - grudzień 1942) i Sowiety stały się odtąd jeszcze bardziej aroganckie; jednakże Hitler, który poświęcił dopiero co swe armie w bezsensownym upieraniu się na straconej pozycji nad Wołgą, czyż mógł się teraz ugodzić z mniej jeszcze skłonny do ustępstw Stalinem? — Autor dochodzi do wniosku, że istniał pewnie krótki okres niebezpieczeństwa pokoju separatywnego, między lutym a wrześniem 1944. Okres ten należało by może przedłużyć wstecz: wiadomo jest już dzisiaj, na podstawie niepełnych jeszcze dokumentalnych danych, że między Sowietami a Niemcami prowadzone były ostrożne i pośrednie kontakty i że nawiązane w lecie 1943, zerwane zostały, czy chwilowo porzucone, jesienią tegoż roku. Prawdopodobnie więc, te możliwości i próby trwały od lata 1943 do lata 1944. Tymi więc próbami, ani pogłoskami jakie o nich dojsć mogły, niepodobna tłumaczyć objawów politycznego defetyzmu — wcześniejszych w Moskwie i Teheranie, czy późniejszych w Jalcie.

Podstawowym jednak błędem w kalkulacji polityków Zachodu było mniemanie, że klucz pokoju i wojny znajdował się w ręku Stalina: wprost przeciwnie — aż do 1944 klucz ten trzymał Hitler. Błąd ten pochodził jeszcze od lata 1939, kiedy politycy brytyjscy sądzili, że Hitler, podobnie jak oni sami, ubiegał się o łaski Stalina, podczas gdy, jak wiemy dzisiaj, Stalin się starał o porozumienie i Stalin na odpowiedź Hitlera czekał; i od lata 1941, kiedy ciż sami Brytyjczycy wyobrażali so-

bie, że Stalin ma wolny wybór — namawiali przeto Turków i innych, by go się starali ugłaskać i kupić — gdy tymczasem nie kto inny jak Hitler miał w ręku decyzję o pokoju i wojnie, z całą swobodą i spokojnym rozmysłem przygotowywał swą napaść i żadne umizgi czy łapówki podawane przez Stalina na to ani wpłynąć, ani pomóc nie mogły. Podobnie było i po wybuchu wojny, i aż do jej kryzysu w 1943. Komplementy i ustępstwa zachodnich aliantów nic na to nie wpłynęły, a ich postawa bardziej stanowcza i godna niczego by nie popsuła.

Na ten właśnie okres, kiedy istniało, zdaniem Baldwina, Mowrera i L. Fishera, niebezpieczeństwo odrębnych niemiecko-sowieckich rokowań, przypada Powstanie Warszawy, a wraz z nim współdziałanie hitlerowców i bolszewików w jego stłumieniu i zniszczeniu polskiej stolicy. Można tedy powiedzieć, że niebezpieczeństwo tych nieprawych związków było w pewnej chwili realne, ale ograniczyło się tylko do zagadnienia wschodniego, a w szczególności polskiego. Tymczasem kompleks tych spraw Europy wschodnio-środkowej okazał się dla polityków anglo-saskich niezrozumiały i niedostępny.

### 5. Przegrana planu strategicznego Churchill'a

Zanim jeszcze Stany Zjednoczone zaatakowane zostały przez Japonię i przystąpiły do wojny, plan strategów amerykańskich przewidywał najpierw rozprawę decydującą w Europie, później dopiero na Pacyfiku. Gdy nastąpiły działania wojenne, plan ten rozwinął się w tak zwaną “cross-channel operation” — inwazję Europy poprzez kanał La Manche, uzupełnioną w następstwie przez plan lądowania na francuskim wybrzeżu Śródziemnego Morza i ataku z południa, doliną Rodanu, celem odcięcia garnizonów Wału Atlantyckiego od Niemiec.

Ta “logistyka” wojenna amerykańska natrafiła od początku na sprzeciw Churchill'a. Przyjmując z zadowoleniem wysunięcie bitwy o Europę na plan pierwszy, usiłował on opóźnić, jeśli nie utracić, zamiar ataku poprzez Kanał. Jako alternatywę, postawił najpierw operację śródziemnomorsko-włoską, następnie zaś — operację na Bałkany. Jako cel przyświecać mu mogły wypadki 1918 roku — obalenie państw centralnych od południo-wschodu, penetrowanie Europy Środkowej przez kraje bałkańskie. Była to strategia wojenno-polityczna, o zasięgu europejskim. Plan amerykański natomiast wychodził wyłącznie z założeń taktyczno-wojskowych: bliskości bazy, krótkich linii i pełnych dostaw.

Kontrowersja o strategię wojny trwała od 1942 roku i byłaby zapewne załatwiona rozsądnym kompromisem, gdyby nie wdała się w nią Rosja sowiecka. Można by zapytać: cóż Rosja miała do mówienia w sprawach strategii zachodniej wtedy, gdy sama nie dała nigdy swym sojusznikom wglądu w strategię na Wschodzie i nie dopuściła do żadnej dyrektywy

12) Edgar Ansel Mowrer, *The Nightmare of American Foreign Policy*, New York 1948, książka tym cenniejsza, że opatrzona szczegółową bibliografią i licznymi cytacjami źródeł.



wspólnej? — Stało się to przez ową zwyczajową towarzyskość i "nieformalność" narad międzyaliantkich wprowadzoną przez Roosevelta, gdzie każdy mówił swobodnie o wszystkim. Już w lipcu 1941, w niespełna miesiąc po najeździe niemieckim, Stalin zażądał od Anglii otwarcia "frontu" na Zachodzie i odtąd nie przestał ani na chwilę domagać się wszelkimi sposobami drugiego frontu od Aliantów. W czerwcu 1942 Roosevelt z niepojętą lekkomyślnością obiecał Mołotowowi "drugi front" w tymże jeszcze 1942 roku; odtąd przedstawiciele Zachodu powtarzali tę obietnicę w rozmaitej formie, wyznaczając coraz to późniejszy termin; odnosi się wrażenie, że za ten, nie urzeczywistniający się przez całe dwa lata mit drugiego frontu alianci zachodni zmuszeni byli płacić coraz to nowymi politycznymi koncesjami. Oczywiście, Stalin miał łatwą grę: już w lecie 1942, jak podaje Baldwin na podstawie bliskich Białemu Domowi źródeł, usłyszał on o czerwcowej dyspucie anglo-amerykańskiej i podniósł najmocniejsze zastrzeżenia przeciw proponowanej przez Churchill'a operacji w kierunku na Belgrad i Warszawę. W następnym 1943 roku, w Moskwie i w Teheranie, przeprowadził przyjęcie koncepcji amerykańskiej: żadnej innej operacji, poza zachodnią, nie chciał uznać za "drugi front"; operację z Adriatyku na Bałkany uważał za wojskowo niecelową. Nawet dopilnował dyskusji o dodatkowy front na południu Francji i przechylił szalę na rzecz przeprowadzenia tego płytkiego okrążenia, zamiast głębokiego ujęcia "podbrzusza Europy" od południa, proponowanego przez Churchill'a.

Jasne jest, że w całej tej kontrowersji Stalinowi chodziło zarówno o cele polityczne, jak wojskowe; Amerykanom — nade wszystko o ich prostolinijny plan uderzenia "prosto z mostu" na nieprzyjaciela, plan techniczny więcej niż wojskowy<sup>13)</sup>; Rooseveltowi zaś i jego otoczeniu — zapewne także o dogodzenie Stalinowi. O co jednak chodziło i jakie były właściwe zamierzenia Churchilla? — Baldwin sądzi, że kierowały nim zarówno względy polityczne jak strategia, że miał on na celu równowagę sił w Europie i niedopuszczenie do opanowania jej południowo-wschodu przez Sowiety. Wydaje się, że taka intencja, przynajmniej na początku, nie odgrywała większej roli. Churchill aż do Teheranu, a może jeszcze przez dłuższy czas potem, nie przeciwstawiał się Stalinowi i jego jawnym zakusom w Europie wschodniej; przeciwnie, w 1942 jak podaje Baldwin uznał on tam "pierwszeństwo interesów" Rosji; w 1943 przyjął bez wahania linię Ribbentrop'a w Polsce, podsunął mu pod nawą "linii Curzona" — i oddał skwapliwie

13) Krytycy wojskowi podkreślają obecnie, wraz z Baldwinem, że operacja "Cross-Channel", przeprowadzona w terminie forsowanym przez sztab amer., skończyłaby się niepowodzeniem i wielkimi ofiarami bez rezultatu. Jeszcze w rok później, przy zastosowaniu wszystkich udoskonaleń technicznych, wynik był przez czas pewien wątpliwy.

Stalinowi połowę terytorium własnego alianta; jeszcze w roku 1944 wahał się, czy nie najlepiej tereny zaborów wraz ze Stalinem podzielić. Istotnym dążeniem Churchill'a wydaje się w całym tym czasie nade wszystko rozszerzenie wojny; jego strategią była, wedle formuły Baldwina, "strategia ekscentryczna", polegająca na wciąganiu nieprzyjaciela na coraz to nowe i odleglejsze tereny. Takim, postawionym sobie przewodnim zadaniem, oraz hasłem zabijania jak najwięcej Niemców — "to kill the Germans" — tłumaczy się ówczesna taktyka w Jugosławii oraz zamiar wciągnięcia Turcji do wojny<sup>14)</sup> — już po Teheranie, to znaczy wtedy, gdy wiedział, że Turcja na swoim "ekscentrycznym" froncie pozostawiona będzie samej sobie.

Jakiegokolwiek były jednak poszczególne epizody czy składowe elementy tej kontrowersji, przyczyniła się ona do otwarcia przed Sowietami drogi do serca Europy i do wszystkich krajów południo-wschodu. "Dominującym czynnikiem w urzędzeniu powojennej Europy, pisze Baldwin, stała się obecność żołnierzy czerwonej armii we wszystkich krajach na wschód od linii Szczecin - Triest. Wtargnięcie Rosjan w dorzecze Dunaju dało im kontrolę jednej z największych dróg wodnych Europy, otworzyło im dostęp do środkowo-europejskich śpichrzów i stolic, stworzyło im pozycję strategiczną o bezmiernej potędze w środku Europy. Przez atak od południa można było zapewne uniknąć tak żalosnego następstwa wojny o "wyzwolenie narodów". Poza tym tylko ignoranci dziejów Europy mogli nie pojmować naturalnego związku i wzajemnej współzależności poszczególnych jej części, mogli nie wiedzieć, że przez poświęcenie Bałkanów zacieśnia się pętlę na istnieniu Polski, zaś przez poświęcenie Polski — oddaje się całą środkową Europę i czyni nierozstrzygalnym zagadnienie Niemiec.

## 6. Zlekceważenie wzięcia stolic

Niepodjęcie w 1944 ataku od południa było, jak stwierdza Baldwin, wynikiem układów w Teheranie. Wstrzymanie natomiast marszu wprost z zachodu, zatrzymanie się na linii Elby, Pilzna i Enns, przypisuje on dalszym umowom wykonawczym i decyzjom powziętym w Jałcie.

Jeszcze w Teheranie powołano do życia "Doradcą Komisję

14) Do Turcji zwrócono się trzykrotnie z wezwaniem do udziału w wojnie: po raz pierwszy na spotkaniu Eden'a z Numan bey-em w Kairze 5/6.XI.43; po raz drugi — na Konferencji Trzech — Churchill'a, Roosevelt'a i Prezydenta İnönü w Kairze 4/6.XII., i po raz trzeci na konferencji wojskowej brytyjsko-tureckiej w Ankarze, w styczniu 1944. W pierwszym wypadku Eden był mandatarium Konferencji trzech ministrów w Moskwie, a przede wszystkim rządu sowieckiego, drugi i trzeci nacisk na Turcję nastąpił już po Teheranie, czyli po odrzuceniu strategii Churchill'a i planu akcji na Bałkany. W tych warunkach współdziałanie sił alianckich z Turcją nie było wykonalne.



Europejską" w Londynie, pod kierownictwem ministra Edena i obu ambasadorów, Majskiego i Winant'a. Zadaniem jej było wypracowanie statutu okupacyjnego dla Niemiec, wraz z wyznaczeniem stref i ich granic. Reprezentanci Zachodu akceptowali linię demarkacyjną na Elbie; opierali się, jak podaje Mowrer, na opinii wojskowych, że Rosjanie i tak dojdą tam pierwsi. Tymczasem, gdy kończył się marzec 1945, obie grupy armii skrzydłowych — Montgomery i Patton — parły nieopowstrzymanie naprzód i zachodni sprzymierzeni znaleźli się na Elbie, 175 km od Berlina, podczas gdy czerwona armia była się jeszcze o 60 km od niego na wschód. W tym stanie rzeczy głównodowodzący generał Eisenhower zwrócił się wprost do Stalina z otwartym przedstawieniem swych planów i wyznaniem, że zamierza skutecznie połączyć alianckich armii z czerwonymi "gdzieś wzdłuż biegu Elby". Odpowiedź Stalina nie jest nam znana, ale musiał on przyjąć z pełnym uznaniem tę rozbrajającą szczerotę, której wcale nie odwzajemniał i tę wstrzemięźliwość, której się nie spodziewał. "Niech wolno mi będzie stwierdzić — donosił Eisenhower pod datą 30 marca generałowi Marshall'owi, prowadzącemu operacje wojenne z Waszyngtonu — że Berlin sam w sobie nie jest już nadal obiektem szczególnie ważnym". Napoleon nazajutrz po bitwie pod Jeną myślał inaczej. Ale amerykańscy Szefowie Sztabu poparli Eisenhower'a i doradzili Prezydentowi pozostawienie zajęcia Berlina — Rosjanom. Argumentem decydującym okazała się przesadna kalkulacja prawdopodobnych strat. A któż wówczas obliczał polityczne straty i konsekwencje? 15).

W niespełna trzy lata później, gdy wyniknął konflikt z Sowietami o dostępy do alianckiej części Berlina, zdumiony świat się dowiedział, że wprawdzie przyznana była każdemu z państw zachodnich dokładnie określona strefa, ale nie zostały zabezpieczone żadnym aktem umownym ich komunikacje z Zachodem. Nie przeprowadziła tego ani Doradcza Komisja, która opracowała statut okupacji, ani Konferencja w Jałcie, która go zatwierdziła, ani zarząd wojskowy, gdy go wprowadzał w życie. Jedyne wytłumaczenie, jakie Baldwin wywołuje dla tego nonsensu, to ślepa wiara w lojalność wzajemną aliantów. "Rosjanie są to nasi sprzymierzeńcy, mawiał niejeden z amerykańskich polityków: musimy więc im zaufać". Aż po koniec maja 45 państwa zachodnie miały w ręku zastaw: w pochodzie wojennym okupowały one Turynię, którą niezbadana mądrość poprzednich międzyalianckich układów wyznaczała Sowietom; było więc czym targować. Czyż można było o tym

15) „Message osobisty dla Stalina”, 28. III., przekazany przez Eisenhower'a za pośrednictwem Misji w Moskwie, wywołał ostry protest Churchill'a, ale był aprobowany w Waszyngtonie; por. *Crusade*, p. 398-401; zarówno Eisenhower jak jego szef sztabu gen. Bedell Smith podtrzymywali jeszcze i po wojnie powyższy, sprzeczny z samą racją wojny, punkt widzenia; por. *Report* p. 131; Walter Bedell Smith, *Eisenhower's Six Great Decisions*.

myśleć nawet? — pytali zaślepieni statyści i generałowie. — Należało, przeciwnie, okazać pełną ufność, pokazać, że się jest wiernym i prawdziwym aliantem; wtedy, zdaniem tych nowych Anty-Macchiavelów, pozostawało tylko oczekiwać wzajemności 16).

Jeszcze bardziej znamienny był los Pragi. Czechosłowacja była krajem alianckim, zdawało się więc, że nie mogły jej dotrzeć strefy okupacji czy strefy wpływu. Precedens Polski również nie mógł być miarodajny: Czechosłowacja była w tym szczęśliwszym położeniu, że nie graniczyła z Rosją. Wolno było sądzić, że kto pierwszy będzie w stanie wyzwoleć sojusznika, ten nie zwlekając pośpieszy mu z pomocą. Otóż, w ostatnich dniach kwietnia 1945, trzecia armia amerykańska przekroczyła granicę czeską i 6 maja zajęła Pilzno, odległe o 100 km od Pragi. Nastąpiła wtedy, jak dziś z powojennych rewelacji amerykańskich wiadomo, wymiana depesz między Eisenhowerem a Moskwą. I znowu głównodowodzący Zachodu zwrócił się z pełną otwartością do sowieckiego dowództwa, objaśniając je, bez żadnej wzajemności, o swych ruchach operacyjnych i zamiarach. W dniu 5 maja, bezprzykładnie brutalną notą, skierowaną do Misji amerykańskiej w Moskwie, generał Antonow "zażądał" od Eisenhower'a, by wojska alianckie "powstrzymały się od posuwania naprzód poza uprzednio oznaczoną linię... Karlowy - Budziejowice - Pilzno"; w przeciwnym wypadku niedwuznacznie grożąc wycofaniem się z porozumień dotyczących dolnego biegu Elby. Postawiony przed alternatywą ujrzenia oddziałów sowieckich w Kilonii i Hamburgu, generał Eisenhower grzecznie ustąpił, armia Patton'a zatrzymała swój pochód wyzwolenczy, Praga skapała się we krwi niepotrzebnie wylanej, aż 9 maja "oswobodziła" ją armia czerwona. I nikt w obozie Aliantów nie zrozumiał, że tym samym podpisany został wyrok, pozbawiający wolności jeszcze jeden narod śródziemnej Europy; i nikt nie umiał przewidzieć tak bliskiej, po czterech latach, przyszłości 17).

Los Pragi, a poniekąd także los Wiednia, potwierdzają, że istnieć musiały umowy Aliantów z Rosją sowiecką, rozgrani-

16) Za pierwotne decyzje "European Advisory Committee" odpowiedzialność obciąża Edena i amb. Winant'a; temu ostatniemu przypisuje się cyt. w. zdanie o zaufaniu. Winą za dalszy przebieg sprawy Baldwin obciąża "War Department", oraz gen. L. D. Clay'a, współautora układu międzyalianck. w sprawie Berlina z czerwca 1945. Główna jednak odpowiedzialność za całość sprawy, za absurdalne wykrojenie Berlina, podobnie jak za wydanie Turynii, jednego z najbardziej kulturalnych krajów Europy, na pastwę barbarzyńskiej bolszewii, spada na autorów fatalnych postanowień jałtańskich.

17) Wymiana telegramów między gen. Eisenhower'em a Misją wojsk. w Moskwie ogłoszona została przez Depart. St. w rocznicę uwolnienia Pragi; por. *N. Y. Times*, 10.V.1949. Nie została ona zużytkowana przez Baldwin'a. Generał Patton w swoich notatkach wojennych wypowiada swój żal z powodu zatrzymania armii na linii Pilzno, dodaje jednak, że Głównodowodzący przekonał go później, o racji tego zarządzenia; por. *War as I knew it*, Boston 1947, p. 327.



czające strefy dowództw wojskowych i przesądzające tym samym o strefach czy zonach politycznego wpływu. Rzecz w tym, że podział taki nie ograniczał się do terenów operacyjnych zdobywanych na nieprzyjaciela, lecz obejmował mimochodem terytoria "wyzwalanych" krajów — sprzymierzonych lub niewalczących — a więc Polski, Czechosłowacji, Albanii czy Jugosławii. Wytworzyła się paradoksalna sytuacja, w której Aliantom Zachodu nie wolno było wyzwalać tych krajów<sup>18)</sup>. Dotyczyło to również i Austrii, chociaż jeszcze na Konferencji ministrów w Moskwie trzy mocarstwa poręczyły jej niezawisłość i opiekę. W rzeczywistości, w formie stref wojskowych przygotowano jej rozbiór i zniszczenie, stolicę wydając na pastwę bolszewickiego barbarzyństwa. I tutaj także, jak podaje Baldwin, istniała możliwość szybkiego marszu armij zachodnich poza Linz i wczesnego zajęcia Wiednia. Zamiast tego, wojska Zachodu zatrzymały się na linii Budziejowice — Linz i skutkiem tego trzecia stolica Środkowej Europy doczekała się "wyzwolenia" na rosyjski sposób — grabieżą i sponiewieraniem<sup>19)</sup>.

### 7. Zaprzędanie Polski

Mimo tego jasnego patrzenia prawdzie w oczy, jakim odznacza się książka Baldwina, są w niej problemy niedopowiedziane. Dotyczy to w ogóle spraw Europy Środkowo-Wschodniej; dotyczy w szczególności Polski. Tam gdzie autor wykracza poza linię Berlin — Wiedeń, znać, że nie znajduje się na pewnym gruncie. Nie dość ocenia strategiczne znaczenie czeskiego czworoboku, świadomie opanowanego przez Sowietów jako bastionu zaczepno-obronnego, wymierzonego przeciw Zachodowi. Podobnie uchodzi jego uwadze wojskowo-polityczne znaczenie takich terytoriów, jak Jugosławia lub Albania — kluczy do Śródziemnego Morza; a już zupełnie pomija kwestię Cieśnin tureckich i o mało co nie zrzeczenia się ich przez aliantów Turcji na rzecz Sowietów oraz poroniony pomysł wciągnięcia Turcji do wojny — również w interesie nie czym innym, jak Sowietów. Przede wszystkim jednak nie zatrzymuje się wcale nad polityczno-wojennym znaczeniem zaprzędania

18) Dokumenty dotyczące pertraktacji wojskowych, m. in. więc wyznaczenia stref działania poszczególnych dowództw, nie zostały jeszcze opublikowane; na ten temat istnieją więc jak dotąd tylko pośrednie dane; por. Ciechanowski *Defeat in Victory*, p. 233/6, 316.

19) Inna opinia u Fuller'a, l. c., p. 355 sq.: "Gdy pod koniec stycznia (1945) Rosjanie dotarli do Budapesztu i stanęli na Odrze, Europa Wschodnia była już stracona dla demokracji. A że nic już nie mogło zapobiec zajęciu przez Rosjan Wiednia, więc pozostawała jedyna możliwość ratowania resztek Środkowej Europy przez zajęcie Berlina... uprzedzając wschodniego alianta. Pomimo to, właśnie w tym krytycznym momencie, Generał Eisenhower, zamiast działać śmiało, okazał ultra ostrożność. W jego umyśle cały problem redukowaliśmy do strategii — zajęcia Niemiec — podczas gdy winien był uwzględnić politykę — zajęcie Berlina".

Polski. Swoje uwagi o Polsce ogranicza do wzmianki o "miloczącym (?) uznaniu rosyjskich pretensyj do wschodnich (jej) terytoriów", które przypisuje tylko Churchill'owi, oraz do silnej ale nie sprecyzowanej uwagi o Jałcie, gdzie "przedstawiciele Stanów Zjednoczonych doszli w sposób zdumiewający do rozdawania terytoriów, które do nich nie należały i do czynienia koncesyj, które naruszały suwerenność państwa przyjacielskiego i alianta". Ten surowy sąd stosować się może zarówno do zdradzenia Chin, jak Polski.

Ta wstrzeźliwość w odniesieniu do jednego z głównych zagadnień wojny i pokoju może być, u pisarzy i krytyków tej miary co Baldwin lub Mowrer, jedynie w części rezultatem niezrozumienia samej rzeczy czy brakiem perspektywy w jej oglądaniu<sup>20)</sup>. Istnieje w umysłach anglo-saskich, przy poruszaniu spraw polskich, coś w rodzaju niezablźnionej rany. Po drugiej stronie Atlantyku, w Anglii, złe sumienie objawia się w kazuistyce prawnej, w szukaniu winy u zaocznie skazanego. U Amerykanów spotyka się raczej obniżanie wagi całej kwestii, sprowadzanie jej do poziomu wewnętrznych, drugorzędnych zatargów o miedzę. Gra tutaj jednak inny jeszcze element: chodzi o imię Prezydenta Roosevelt'a w historii. "Wygrał on wojnę, ale przegrał pokój" — taki sąd zdaje się być dzisiaj powszechnie przyjęty. Widzi się Roosevelt'a raz jako dobrodusznego pana, traktującego bliźnich niby podobnych sobie dżentelmenów; to znowu jako altruistę, planującego tylko pomyślność dla wszystkich narodów. Bliższe wejrzenie w postępowanie Prezydenta w sprawie polskiej prowadzi do odmiennych spostrzeżeń. W Teheranie zaburzenia żołądkowe przeszkodziły mu we wzięciu udziału w "polskiej" rozmowie Churchill'a ze Stalinem; pozwala mu to aż do października 1944 twierdzić, że za nic w tej sprawie nie jest odpowiedzialny, a w czerwcu wobec Mikołajczyka zwalił wszystką winę za opuszczenie Polski na brytyjskiego Premiera; tymczasem z ogłoszonych odtąd świadectw wynika, że on sam dał po cichu Stalinowi swoje przyzwolenie na rozbiór Polski. Rewelacja o tym nastąpiła 13 października 1944 w Moskwie w obecności Premiera polskiego, ale jeszcze 28 października, na stacji w Chicago, Roosevelt zapewniał Prezesa Polsko-Amerykańskiego Kongresu, iż "podejmie czynne środki celem zabezpieczenia niepodległości Polski". Wreszcie w Jałcie, "wyczerpany i chcący uniknąć dalszych sporów", oddał on Polskę, podobnie jak inne sprawy i kraje, za żłudny miraż sowieckiej interwencji wojennej na Dalekim Wscho-

20) Jednakże Mowrer w swojej nierównej ale wnikliwej książce ujmuje na dwóch stronach, jak może nikt inny z Amerykanów, moralno-polityczną treść polskiego zagadnienia w obozie aliantów: "wolna Polska została uduszona, podczas gdy Roosevelt i Churchill trzymali za jeden koniec postronka" (p. 161); "system, w którym wielkie mocarstwa mogły być uprawnione do narzucania "przyjacielskich rządów" siabszym sąsiadom, godzien jest Adolfa Hitlera... Taki świat był zwycięstwem przemocą obcego mocarstwa..." (p. 173 sq.).



dzie; ale równocześnie zapewniał własnego Szefa Sztabu, że "czyni wszystko co może dla Polski", a w swej ostatniej mowie, 1 marca 1945, "zwiódł Kongres", zataiwszy przed nim znaczenie i sposób dokonanych w sprawie polskiej koncesji<sup>21)</sup>. Te i pomniejsze inne epizody oświetlają jaskrawo cechy charakteru Roosevelta, które, ukryte starannie, rozpoznali tylko nieliczni, mniej zaślepieni spomiędzy jego współpracowników: skłonność do oszukiwania i nadużycie pustego frazesu. Dwa jego posunięcia o światowej skali wystarczają za konkluzję: reklama wokół "Karty Atlantycznej", którą sam później sprowadził do zera, twierdząc, że właściwie nikt jej nie podpisał, a więc nie była ona traktatem i nie wymagała ratyfikacji, a następnie, poufny a cyniczny projekt oparcia nowego porządku świata na wielkich mocarstwach — "czterech policjantach", jak to obrazowo ujął on na Konferencji w Teheranie, inaugurując półświadczenie epoki policyjnego reżimu na świecie<sup>22)</sup>.

Roosevelt więc i Churchill ponoszą winę za czynne dopomożenie Stalinowi w zagarnięciu Polski: Churchill jako formalny jej sojusznik, Roosevelt — jako arbiter w Teheranie i w Jałcie, przeważający głosy. Pozostaje kwestia: w jakim momencie nastąpiło opuszczenie alianta, załamanie zasad i wykanie narodów na publiczną sprzedaż?

Przez cały rok 1942 Stany Zjednoczone sprzeciwiały się regulowaniu spraw terytorialnych przed zakończeniem wojny. Przez ten czas polityka brytyjska podlegała wahaniom i najwidoczniej wpływ amerykański położony został na szalę, raz zimą 1941/2, powtórnie późną wiosną 1942, aby Anglię utrzymać przy zasadach Karty Atlantycznej i nie pozwolić w przygotowywanym brytyjsko-sowieckim sojuszu na uznanie za borów, dokonanych przez Stalina w spółce z Hitlerem. Nic nie wskazuje na to, aby do pierwszych miesięcy 1943 nastąpiły w tym stanie rzeczy jakiegokolwiek zmiany. Dopiero więc między wiosną a jesienią tegoż roku zaszedł zasadniczy przełom.

Wśród elementów tego przełomu należy postawić na pierwszym miejscu zwyrodnienie samej wojny: z wyzwoleniczej stała się niszczycielska. Wejście na jej scenę Rosji sowieckiej wprowadziło nowe kwestie: zabory ziem, zmiany granic<sup>23)</sup>, sfery

wpływów. Założone zostają pierwsze zręby pod dyrektoriat wielkich mocarstw, które mają rozstrzygać o losach świata. "Wielkie mocarstwa będą decydowały — tak mówi Roosevelt do Edena już 15 marca 1943 — co Polska ma mieć... Nie ma on, Prezydent, najmniejszego zamiaru iść na Konferencję pokojową, aby targować się z Polską, czy innymi małymi państwami". Rosja zaraziła więc już wtedy Aliantów zachodnich duchem przemocy, nietolerancji i cynizmu.

Tymczasem kierownictwo wojskowe, w szczególności w Stanach Zjednoczonych, przywiązywało największą wagę do dalszego pełnego udziału Rosji w wojnie: do jej obrony w 1942, do jej niezbędnego zwycięstwa w 1943. W sierpniu, na Konferencji w Quebec, przedłożony został memoriał tych kół o "Stanowisku Rosji", konstatujący, że Rosja jest decydującym czynnikiem w wojnie, że będzie panującą potęgą w Europie powojennej, że zatem "otrzymać musi wszelką pomoc" i "każdy wysiłek musi być podjęty, aby uzyskać jej przyjaźń". Było to pierwsze z szeregu wystąpień wojskowych, mających przesądzić o polityce Zachodu.

Na tym tle rozegrał się szantaż separatywnego pokoju Sowietów z Niemcami. W istocie rzeczy Stalin nie był władny, ani przez jedną chwilę, zawrzeć pokoju z Hitlerem; ale pozorami tej możliwości usiłował i politycznie obezwładnił swych aliantów. Latem i jesienią 1943, aż do nieszczęsnej tragi-farsy w Teheranie, wyrzeczenie się Polski stało się dla mocarstw zachodnich jedynym sposobem zaskarżenia niezbędnej "przyjaźni" Sowietów.

Na tle ogólnym tego obrazu szczegóły ustali kiedy historia, nie tylko przedstawiająca obiektywne okoliczności i warunki, ale wnikająca w subiektywne pobudki i motywy. Pomiędzy nimi, zwrócona być musi uwaga na działania i wpływy dwóch ludzi: Harry Hopkins'a, który w sprawach polskich i innych pośredniczył w tym czasie między Rooseveltem a Churchill'em i przygotowuje kapitulację moralną Zachodu; i Edwarda Benesza, który od chwili zerwania Sowietów z Polską porzuca plany federacyjne Środkowej Europy, oferuje czym prędzej swe służby Stalinowi i staje się głównym agentem jego planów zaborszych i zachlannych w stosunku do narodów Międzymorza.

Skutki i wyniki zaprzędania Polski objawiły się w całej rozciągłości w dziedzinie moralno-politycznej: stworzono precedens postępowania bez skrupułu; odtąd można było sobie pozwolić na każdą trawestację prawa i wystarczało okazać siłę dla ugruntowania niesprawiedliwości. Ale w tym świecie, gdzie decydowała przemoc, w czasie tego pokoju, który

zizmu, po drugie, ustalenie "zasad, na jakich mają być oparte zmiany granic terytorialnych, jakie by okazały się konieczne". Cf. Sherwood 1. c. p. 363. Skąd nagle ta wzmianka o zmianach granicznych? gdzie i kiedy okazały się one naraz, po dwóch latach wojny, konieczne? — Oczywiście, jedynym nowym motywem były żądania Sowietów, przedstawione w okresie lipcowych rokowań z Polską.

21) Ciechanowski, 1. c., p. 248, 293 — próby przerwania winy na Churchill'a. O zaskarżeniu R. w Teheranie, Mowrer, 1. c., p. 160, na podstawie ustnych świadectw. Rewelacje Mołotowa na konferencji Stalina z Churchill'em, 13.X.44; por. Ciechanowski p. 330 sq. i tamże, p. 347, o spotkaniu z Rozmakiem. O celowym wprowadzeniu w błąd Kongresu i wykreśleniu się od odpowiedzialności przed nim, por. Stettinius 1. c., p. 269 sq.; Mowrer p. 143, 173.

22) *The Four Policemen*, Sherwood, 1. c., p. 785 sq., który zanotował także zastrzeżenie Stalina: "...propozycja o Czterech Policjantach nie będzie dobrze przyjęta przez mniejsze państwa Europy".

23) Charakterystyczne jest, że już nazajutrz po Konferencji Atlantycznej Churchill, przemawiając w Izbie Gmin, podnosi jako jej cele, po pierwsze, odbudowanie państw i narodów obecnie w jarzmie Na-



był jedynie przedłużeniem wojny, następstwa strategiczno-polityczne zajmują pierwsze miejsce.

Środkowo-europejski niż polski i półwysep bałkański — są to płaszczyzny współzależne, czy współczynne. Wielkie dziejowe procesy na tych geopolitycznie zbieżnych terenach odbijały się jedne na drugich. Rozbiory Polski wywołały ciężenie Rosji nad i za Dunaj; wkroczenie monarchii habsburskiej w głąb ziem Rzpłtej wzmogło i rozwinęło jej ambitne plany bałkańskie. Ruchy wyzwolenicze polskie wiązały się z wojnami narodowymi Turcji; a kryzys Bliskiego Wschodu w 1908/9 i 1912/3 przyczynił się do obudzenia z powrotem europejskiej kwestii polskiej. Toteż nie co innego jak to łatwe i bezkarne pochłonięcie Polski w 1943/4 dało Rosji sowieckiej ckażę i pochop do zwojowania narodów bałkańskich. Pod tym względem instykt Churchill'a był trafny: pochód z Adriatyku w kierunku przez Belgrad na Warszawę szedł po osi środkowo-wschodniej Europy; nie tylko obejmował jej "podbrzusze", chwycił Hitlera od tyłu, ale jednocześnie uniemożliwił hegemonię Sowietów na Bałkanach i rikoszetem przywracał ów zbieżny z Bałkanami czynnik Polski. Zdaje się, że bardzo wcześnie Stalin ocenił niebezpieczeństwo grożące jego zaborczym planom; ale niezdarkość i nieuctwo w obozie Zachodu pomogło mu je wczas odparować. Wzięcie w niewolę narodów na Bałkanach umocniło panowanie nad Polską. Karpaty przestały być geopolityczną linią podziału i frontem niebezpiecznym dla Rosji.

Ale zarazem poświęcenie Polski, oddanie jej całej na pastwę Rosji, otworzyło szeroko bramy do zachodniej Europy. Nie tylko zagrożone zostały Czechy, wbrew małym rachubom swych dojutrznych przywódców; ale na skraju przepaści bolszewickiej znalazły się Niemcy. Dla polskiego wrażliwego ucha jakże znamiennie zabrzmiał wyraz "rozbiór Niemiec", użyty przez Stalina w Jałcie i omal nie uwieczniony w jej końcowych protokółach! Po raz pierwszy w dziejach nowych ujawniła się równoległość losów między Polską a Niemcami, która może, mimo wszystkie sprawy wtórne, odbić się jeszcze na przyszłości obu skazanych na sąsiedztwo narodów. Fakty geopolityczne zaważyć muszą, wcześniej czy później. Rosja sowiecka zamierzała może w początku li tylko pochłonać Polskę wschodnią; aby ją móc utrzymać, musiała rozszerzyć swe panowanie na Polskę całą. Ale z kolei, aby to panowanie ubezpieczyć, zmuszoną była sięgnąć dalej. Niemcy wschodnie, wydane z bezprzykładną lekkomyślnością na pastwę okupacji sowieckiej w tymże samym 1943 roku, kiedy zaprzędana została Polska, stanowią niezbędne "glacis" obronne nowego panowania. Równocześnie zamykały Polsce wszelki dostęp na Zachód.

Mężowie stanu, politycy i publicyści ocenili już jak należy fatalne błędy w rozgraniczeniu okupacyjnym Niemiec. Państwa Zachodu przekonały się na własnej skórze o nonsen-

sach postanowień dotyczących Berlina, Pragi i Wiednia. Baldwin podkreśla wielokrotnie "utrata" Europy południowo-wschodniej, Europy środkowej, punktów wpływu i oparcia na całym kontynencie<sup>24</sup>). Najtrudniej przychodzi jemu, podobnie jak innym, sięgnąć do najgłębszego ze źródeł, do najważniejszej z przyczyn: skonstatować, że podstawą nowego porządku w całej Środkowo-Wschodniej Europie, było, w Teheranie i w Jałcie, wydanie Polski Sowietom; i że to zaprzędanie Polski w swym znaczeniu bezpośrednim, zarówno jak w najdalszych konsekwencjach było "gorzej niż zbrodnią", gdyż było — bledem<sup>25</sup>).

Szereg tych siedmiu "Wielkich błędów" nie obejmuje omyłek strategiczno-politycznych popełnionych na Pacyfiku i na Dalekim Wschodzie, badanych oddzielnie przez Baldwina. Szkic niniejszy zamyka się jednak w obrębie spraw Europy. Można co najwyżej wskazać na pokrewność pewnych podstawowych zagadnień. Wprowadzenie Sowietów na Pacyfik było wynikiem podstawowego niezrozumienia ich celów polityki dalekodystansowej; podobnie jak przekonanie, że Rosja tylko odbiera na Dalekim Wschodzie to, co jej przedtem zabrano, było jednym z przejawów nieznamomości historii<sup>26</sup>). Oszukanie Chin w postanowieniach jałtańskich było jedynie powtórzeniem, na innym terenie, eksperymentu dokonanego z Polską. Użycie bomby atomowej, które Baldwin, podobnie jak Mowrer, jak admirał Zacharias, uważa za ciężki bład, stanowiło ciąg dalszy zwyrodnienia wojny — wygnicia zasad i praktyki wojny, jakie się już ujawniły, między innymi, w bezmyślnym i bezcelowym bombardowaniu ośrodków miejskich Italii i Niemiec.

Kto widział a zapamiętał wstrząsającą akwafortę Ropsa — Szatana rzucającego posiew zagłady — ten musi zadrzeć o przyszłość świata, przesuwając jedną po drugiej karty zagadnień tragicznych, a niezakończonych — wielkich błędów wojny i ich rozwijających się następstw.

Michał SOKOLNICKI.

24) Jednym z pierwszych, który się poznał na nonsensem podziału okupacyjnego Niemiec, był minister Bevin. Najwidoczniej jednak nawet mu przez myśl nie przeszło wówczas, że Sowiety, przeprowadzając takie rozwiązanie, czynią to w celu strategicznym i że wschodnio-niemieckie glacis osłania zabór Polski. Gdyby był to rozumiał, pojął by także, iż zagadnienie jest nierozwiązalne, tzn. nie do rozstrzygnięcia bez powrotu do sprawy polskiej i bez jej zasadniczej rewizji.

25) "C'est pire qu'un crime — c'est une faute" (Talleyrand o straceniu ks. d'Enghien).

26) Port Artura i Dairen, tak jak cały półwysep Liao-Tung były zabrane przez Rosję Chinom, zanim zostały zajęte przez Japonię. Pomimo to Prezydent Roosevelt uważał je za odebrane Rosji.



## Stosunki amerykańsko-rosyjskie

(SZKIC HISTORYCZNY)

W pierwszych latach wojny, zapewne między r. 1940 i r. 1942, dojrzała myśl polityczna Roosevelta na tematy sowieckie. Decyzja, jaka z tej myśli wyrosła, była już skryształowana w Teheranie i wydaje się, że zaciążyła na obecnej sytuacji świata bardziej niż działalność jakiegokolwiek innego polityka naszych czasów.

Mimo liczego udziału głównych współpracowników Roosevelta w literaturze pamiętnikarskiej ostatniego pięciolecia\*), mimo ogłoszenia części dokumentów dyplomatycznych niemieckich i sowieckich i niektórych amerykańskich, ciągle jeszcze niedostatecznie wyjaśniona jest tajemnica, którą Roosevelt zabrał ze sobą do grobu, mianowicie jak to się stało, że mąż stanu tak niewątpliwie inteligentny, tak doświadczony i wyposażony w środki informacji i działania, mógł popełnić w ocenie Rosji Sowieckiej błąd tak kolosalny.

Na sąd naszego pokolenia nie jest naturalnie za wcześnie. Wiemy, że polityka okupienia ugody z Rosją wolnością milionów ludzi w Europie i Azji i niepodległością kilkunastu państw zbankrutowała zanim zaczęła przynosić dywidendy. Groźba trzeciego światowego konfliktu powstała z tej właśnie polityki jeszcze w czasie drugiej wojny światowej i rosła odtąd bezustannie. W rezultacie wraz z pokojem świata zagrożone są najżywniejsze interesy Stanów Zjednoczonych, które Roosevelt pragnął ochronić.

Dzisiaj stoimy w przede dniu nowych decyzji amerykańskich w stosunku do Rosji, które zaważą znowu na losach ludzkości. W szczególności nie wydaje się ulegać wątpliwości, że przyszłe losy Polski zależeć będą od charakteru, sposobu rozstrzygnięcia

\*) Pamiętniki lub książki o swej działalności ogłosili trzej Sekretarze Stanu — Hull, Byrnes, Stettinius, zastępca Sekretarza Stanu Sumner Welles, szef sztabu Prezydenta Adm. Leahy, Gen. Eisenhower i jego Szef Sztabu, późniejszy Ambasador w Moskwie gen. Bedell Smith, syn Prezydenta Elliot Roosevelt i inni. Ukazały się również tzw. "Papiery z Białego Domu" Harry Hopkins'a.

i wyniku konfliktu amerykańsko-sowieckiego i że zatem rozwój stosunków pomiędzy tymi dwoma państwami powinien być przedmiotem najpoważniejszego zainteresowania z naszej strony.

W polskim piśmiennictwie politycznym jest tu jednak niepokojąca luka. Szukając przyczyn naszej klęski politycznej w ramach zwycięskiej koalicji wojennej pomija się najczęściej historyczne i tradycyjne tło stosunków amerykańsko-rosyjskich, poprzestając na analizie w przekroju terażniejszości. Tymczasem przeszłość stosunków pomiędzy Rosją i Stanami Zjednoczonymi jest bogata w interesujące wydarzenia, a co ważniejsze, wytworzyć mogła do ostatnich czasów w umysłowości amerykańskiej obraz wręcz z obecną sytuacją niezgodny i bynajmniej nie ułatwiający właściwego zrozumienia Rosji komunistycznej.

Krótki i z konieczności niepełny przegląd stosunków amerykańsko-rosyjskich w przeszłości, który jest przedmiotem tego szkicu, opiera się wyłącznie na pracach amerykańskich. Źródła rosyjskie uwzględnione są jedynie wówczas gdy korzystają z nich pisarze amerykańscy, a zatem odbite w amerykańskim zwierciadle.

Pomimo prymitywnego stanu ówczesnych środków komunikacji, Stany Zjednoczone weszły w kontakt z polityką wielkich mocarstw europejskich od chwili swego narodzenia. Wojna rewolucyjna trzynastu kolonii amerykańskich o zrzucenie zwierzchnictwa angielskiego była doniosłym wydarzeniem dla Francji, szukającej sposobności do odwetu po klęskach wojny siedmioletniej, jak i dla Rosji, której politykę ekspansji ułatwiała osłabienie innego wielkiego mocarstwa. Od tego czasu styczność amerykańska z mocarstwami europejskimi zwiększała się bezustannie. W ciągu 175 lat swego istnienia Stany Zjednoczone znalazły się w wojnie dwukrotnie z Wielką Brytanią i z Niemcami, raz z Włochami i raz z Japonią. Stosunki amerykańsko-rosyjskie natomiast nigdy dotąd nie doprowadziły do konfliktu zbrojnego. Przeciwnie, oba państwa walczyły po tej samej stronie w dwóch kolejnych wojnach światowych. W czasie ostatniej wojny, w okresie idylli pomiędzy Washingtonem a Moskwą, który był zarazem okresem niezwykłego nasilenia propagandy sowieckiej w Stanach Zjednoczonych, wielu publicystów i pisarzy amerykańskich formułowało tezy o historycznej zbieżności interesów obu państw. Tezy te naciągano, nieraz bez złej woli, aby stwierdzać, że Stany Zjednoczone wojowały z wszystkimi wielkimi mocarstwami świata z wyjątkiem właśnie Rosji; w tym celu nadawano incydentom francusko-amerykańskim z ostatnich lat XVIII w. charakter "niewypowiedzianej wojny morskiej".\*)

Faktem jest natomiast, że do końca XIX wieku interesy ame-

\*) Foster Rhea Dulles: *The Road to Teheran*.



rykańsko-rosyjskie nie znalazły się nigdy w sprzeczności grożącej wojną i że w kilku ważnych dla Stanów Zjednoczonych chwilach dziejowych polityka rosyjska była dla nich korzystna, lub miała przekonywujące pozory przychylności. Na kształtowanie się opinii amerykańskiej o Rosji szczególny wpływ miała polityka rosyjska w czasach wojny o niepodległość, wojny amerykańsko-angielskiej w latach 1812-1814 i wojny cywilnej (secesyjnej). Były to okresy kiedy republika amerykańska walczyła o swoje istnienie i kiedy reakcje emocjonalne w stosunku do wrogów i przyjaciół, prawdziwych lub domniemyanych, głęboko zapadały w pamięć zbiorową narodu. Wydarzenia z czasu wojny krymskiej oraz sprzedaż Alaski w 1867 r. pozostawiły również ogólne wrażenie przyjaźni rosyjskiej dla Stanów Zjednoczonych. Toteż gdy przyszedł czas współzawodnictwa na Dalekim Wschodzie w latach 1898-1914, a później kilkunastoletni okres braku stosunków oficjalnych w latach 1917-1933, podkład tych wspomnień dziewiętnastowiecznych i wcześniejszych przyczyniał się do łagodzenia zadrażnień.

Raz tylko przed naszymi czasami znaleźć można w historiografii amerykańskiej aluzję do ewentualności wojny z Rosją. Miało to nastąpić w początku konfliktu rosyjsko-japońskiego, na skutek rzekomego ultimatum Prezydenta Teodora Roosevelta. W liście prywatnym do jednego ze swych angielskich przyjaciół \*) Teodor Roosevelt twierdził, że zagroził udziałem Stanów Zjednoczonych w wojnie po stronie Japonii gdyby którekolwiek z mocarstw europejskich miało przyjść Rosji z pomocą zbrojną. Poważni historycy dyplomacji amerykańskiej nie dają jednak wiary temu twierdzeniu Prezydenta, pomawiając go w gruncie rzeczy o przechwałkę post factum; w dokumentach dyplomatycznych zainteresowanych państw nie stwierdzono dotąd, jak się wydaje, żadnego śladu takiego ultimatum.

W czasie amerykańskiej wojny o niepodległość, stosunki rosyjsko-angielskie nie były najlepsze. Mimo to, przez cały niemal okres jej trwania (1775-1783) W. Brytania zabiegała o pomoc i przyjaźń rosyjską. W roku 1775 chodziło rządowi londyńskiemu o "wynajem" pewnej ilości wojsk rosyjskich do użycia w Kanadzie. W r. 1778 rząd brytyjski proponował Rosji sojusz zaczepno-odporny. Dalsze zabiegi angielskie w Petersburgu nastąpiły w rok później, po wejściu Hiszpanii do wojny przeciwko Wielkiej Brytanii. W r. 1780 Katarzyna II zdecydowała się wystąpić w roli mediatorki, początkowo sama, a następnie wspólnie z Austrią. Przy okazji rokowań mediacyjnych Wielka Brytania usiłowała znowu pozyskać przychylność rosyjską, proponując tajny układ sojuszniczy, którego cenę zapłacić miały między innymi kolonie amerykańskie. Wzajem-

za te usługi proponowano Rosji ze strony brytyjskiej aneksję wyspy Minorki na Morzu Śródziemnym.

Rosja odrzuciła wszystkie te propozycje angielskie, a mediacja stała się bezprzedmiotowa po zwycięstwach armii amerykańskich i francuskich nad Anglikami w latach 1781-1782.

Współcześnie z tymi wydarzeniami, ściśle w r. 1780, Katarzyna zainicjowała Ligę Zbrojnej Neutralności dla ochrony praw mniejszych państw morskich przed angielskim zakazem handlu z wojującymi. Powstanie Ligi było sprzeczne z interesami Wielkiej Brytanii, natomiast skwapliwie wyzyskali ją jej przeciwnicy, przede wszystkim Francja i Hiszpania. Stany Zjednoczone poczęły zabiegać o dopuszczenie ich do Ligi. W tym celu wyjechał do Rosji pierwszy delegat amerykański, Francis Dana, który jednak przez dwa lata pobytu w Petersburgu nie uzyskał audiencji u Carycy. Natomiast Rosja otworzyła swe porty dla okrętów handlowych amerykańskich, których rejsy bałtyckie były wysoce zyskowne i zapoczątkowały korzystną obopólnie wymianę towarową.

Pomimo odmowy przyjęcia emisariusza Kongresu amerykańskiego, a tym samym nawiązania stosunków dyplomatycznych, wydaje się, że ten wstępny okres stosunków amerykańsko-rosyjskich pozostawił już współcześnie wrażenie przychylnego odnośnienia się Katarzyny II do walczących o wolność Stanów Zjednoczonych. Zapisano jej na dobro, że szybko zorientowała się w sile amerykańskiego ruchu rewolucyjnego i wcześniej przewidywała jego powodzenie. Zapisano jej na dobro również odrzucenie szeregu ofert brytyjskich, odmowę Minorki, założenie Ligi Zbrojnej Neutralności, brak dyskryminacji w stosunku do handlowych okrętów amerykańskich. Odmowa nawiązania stosunków dyplomatycznych, spowodowana zapewne ambicjami mediacyjnymi i niechęcią Katarzyny do rewolucjonistów walczących z władzą monarszą, nie jest na ogół przez pisarzy amerykańskich uważana za gest nieprzyjazny.

Stosunki dyplomatyczne nawiązano dopiero 28 lat później, w r. 1809, kiedy pierwszym posłem w Petersburgu został John Quincy Adams, późniejszy Sekretarz Stanu, następnie Prezydent Stanów Zjednoczonych. Jednakże już od 1803 r. przyjęto w Petersburgu konsula amerykańskiego L. Harris'a, \*) który przyczynił się do zadzierzgnięcia przyjaznej korespondencji pomiędzy Aleksandrem I a Prezydentem Jeffersonem. Dwulicowy, nieobliczalny, ale na pewno nie pozbawiony wdzięku Aleksander I, tak jak zaskarbił sobie przyjaźń Ks. Adama Czartoryskiego \*\*), umiał także pozyskać sympatię posła J. Q. Adamsa, którego wpływ na początki amerykańskiej myśli politycznej i pracy dyplomatycznej był poważny.

Toteż gdy w r. 1812, w czasie kampanii napoleońskiej, Alek-

\*) F. R. Dulles op. cit.

\*\*) por. świetny Ks. Adam, Gen. M. Kukiela.

\*) do C. Spring-Rice z 13. V. 1905; S. Tyler Dennet — Roosevelt and the Russo-Japanese war.



sander zaniepokojony osłabieniem swego angielskiego sojusznika nowym wysiłkiem wojennym wystąpił z propozycją mediacyjną pomiędzy W. Brytanią a Stanami Zjednoczonymi, Prezydent Madison przyjął tę ofertę z zaufaniem. Nie czekając na wiadomość o odpowiedzi angielskiej Madison wysłał pełnomocników do Petersburga. I tym razem mediacja nie doszła do skutku wobec odmowy angielskiej; wydaje się jednak, że przyczyniła się do szybkiego rozpoczęcia rokowań pomiędzy stronami wojującymi i pośrednio do zakończenia wojny.

Pisarz amerykański F. A. Golder, który miał dostęp do części archiwów carskich i ujawnił wiele interesujących i nieznanych przedtem informacji o stosunku Rosji do Stanów Zjednoczonych przytacza m. in. fakt, że w celu przekonania Londynu, że Stany Zjednoczone nie działają w zмовie z Francją, otwarto potajemnie walizę dyplomatyczną amerykańską w drodze z Paryża do Petersburga. Jeden ze szpiegów rosyjskich posiadał klucz do szafy amerykańskiego i w ten sposób Rosja dać mogła W. Brytanii odpowiednie zapewnienia \*).

Charakterystycznym przyczynkiem dla rozwoju przyjaźni dyplomatycznej rosyjsko-amerykańskiej jest okres wojny krymskiej. Większość opinii amerykańskiej zareagowała wówczas ostrą postawą anty-angielską, wypowiadając się tym samym po stronie Rosji. Przedstawiciele rosyjscy w Stanach Zjednoczonych, a głównie świeżo mianowany baron Edward Stoeckl, który pozostał jako poseł rosyjski w Washingtonie do 1868 r., snuli plany wciągnięcia Stanów do wojny przeciwko W. Brytanii. Była to zresztą już wtedy koncepcja politycznie mało uzasadniona i opierająca się głównie na pozorach odruchów anty-angielskich amerykańskiej opinii publicznej.

Wobec zupełnej słabości Rosji na morzu dyplomaci rosyjscy w Ameryce starali się jeszcze przed wybuchem konfliktu przygotować grunt do zaciągu korsarzy amerykańskich do służby rosyjskiej. Nade wszystko chodziło im o wywołanie incydentów morskich w wyniku prawdopodobnej blokady angielskiej przeciwko Rosji. Jeden z takich projektów przesłanych do Petersburga, przewidywał zorganizowanie prowokacji na tle zastarzanych sporów amerykańsko-angielskich o prawa handlu neutralnego w czasie wojny. Dyplomacja brytyjska ubiegła jednak te plany, wyrażając bardzo wcześnie zgodę na tezę amerykańską w sprawie praw flagi neutralnej na morzu.

Zamiary zaciągu korsarzy w Stanach Zjednoczonych, silnie podtrzymywane przez poważne sfery kalifornijskie, przyjmowano w Petersburgu sceptycznie z wyraźną obawą, że zaszkodzić mogą rozwojowi stosunków amerykańsko-rosyjskich na dalszą metę. Kanclerz rosyjski Nesselrode przywiązywał do trwałej przyjaźni ze Stanami Zjednoczonymi większą wagę niż do doraźnych korzyści nawet w czasie toczącej się wojny.

\*) F. A. Golder, *Political Science Quarterly*, 1916.

Nie mniej jednak przychylna postawa władz i opinii amerykańskiej oddała Rosji w tym czasie znaczne usługi, między innymi ułatwiając układ o wzajemnej neutralizacji posiadłości brytyjskich w zatoce Hudsona i rosyjskich w Alasce, uniemożliwiając zaciąg obywateli amerykańskich do armii angielskiej, łagodząc warunki blokady angielskiej, wreszcie odstrasżając aliantów od przyjęcia Hiszpanii do koalicji antyrosyjskiej itp. Aczkolwiek władze amerykańskie zewnętrznie trzymały się ściśle zasad neutralności, Sekretarz Stanu Marcy poufnie uprzedził posła rosyjskiego wiosną 1864 r. o zamiarze blokady portów Alaski przez flotę angielską. Nastrój antyangielski opinii amerykańskiej był tak silny, że doszło do usunięcia z terenu Stanów Zjednoczonych posła brytyjskiego Cramptona wraz z trzema konsulami, pod zarzutem nielegalnego zaciągu obywateli amerykańskich. Dyplomacja rosyjska uważała również, że kilkakrotne próby amerykańskie dokonania mediacji między stronami wojującymi miały na celu przyśpicie Rosji z pomocą. Przyjaźń Stanów Zjednoczonych dla Rosji w tym czasie była tak widoczna, że Nesselrode sam uznał, iż propozycja mediacyjna nie może być przez W. Brytanię przyjęta, gdyż pochodzi od państwa zajmującego stanowisko zbyt wyraźnie nieobiektywne.

Nie obyło się oczywiście bez korzyści dla Stanów Zjednoczonych. Miały one m. inn. charakter materialny, gdyż dyplomacja rosyjska przez celowe snízenie taryf celnych poważnie wzmogła amerykańskie obroty handlowe z Rosją. Niezależnie od tego, w kwietniu 1854 r., Stany Zjednoczone doprowadziły do z dawna upragnionego układu z Rosją o prawach państw neutralnych na morzu w czasie wojny. Nieco później Marcy wykorzystał sytuację rosyjską, aby uzyskać od Nesselrode zgodę na ewentualną aneksję Wysp Hawajskich\*) oraz na projekty rozwinięcia handlu amerykańskiego w Persji. W r. 1856, po zakończeniu wojny, Rosja dała Stanom Zjednoczonym dalsze dowody przychylności, odmawiając przyłączenia się do nacisku mocarstw, którego celem było zmuszenie Stanów Zjednoczonych do przyjęcia deklaracji paryskiej.\*\*)

Blisko nas obchodzą stosunki amerykańsko-rosyjskie w okresie amerykańskiej wojny cywilnej i powstania styczniowego. Sprawy te niewątpliwie wymagają opracowania przez historyków polskich i kto wie czy nie znajdziemy w nich nowych przesłanek dla oceny ówczesnych wydarzeń na ziemiach polskich. Ciekawy materiał na ten temat zawierają prace historyków amerykańskich H. E. Blinna i wspomnianego już F. A. Goldera, w *American Historical Review* \*\*\*).

Punktem wyjścia do tego skomplikowanego splotu wydarzeń były zamierzenia interwencji mocarstw europejskich do ame-

\*) Wówczas zwane Wyspy Sandwich.

\*\*\*) O zasadach prawnych wojny na morzu.

\*\*\*) F. A. Golder, *Am. Hist. Rev.* 1915; H. E. Blinn ib. 1940, także B. P. Thomas, *Rus. Amer. Relations 1815-1867*.



rykańskiej wojny cywilnej. Interwencja przewidywana była w formie mediacji, której samo dojście do skutku mogło przesądzić o uznaniu Konfederacji stanów południowych za stronę wojującą, a następnie ułatwić oderwanie się Południa od Północy. Byłoby to równoznaczne z klęską idei jedności Stanów Zjednoczonych, reprezentowaną przez stany północne. Napoleon III wydawał się zdecydowany na narzucenie takiej mediacji w razie uzyskania poparcia W. Brytanii i Rosji. Nie wchodząc w szczegóły tego zagadnienia można stwierdzić, że w stanach północnych pozostało wrażenie, iż niebezpieczna dla nich mediacja nie doszła do skutku przede wszystkim wobec odmowy rosyjskiej. Sekretarz Stanu W. H. Seward, wyrażając wdzięczność dla Rosji w liście do posła amerykańskiego w Petersburgu, pisał w grudniu 1862 r., równo na miesiąc przed wybuchem powstania styczniowego, że Rosja może liczyć na przyjaźń amerykańską w każdej sprawie przed jakimkolwiek innym mocarstwem europejskim, po prostu dlatego, że dobrze życzy Stanom Zjednoczonym i pozwala im kierować swymi sprawami, jak to uważają za najlepsze. Według H. E. Blinn'a, wybuch powstania styczniowego odwrócił uwagę mocarstw europejskich od wypadków amerykańskich. W końcu stycznia 1863 Napoleon III porzucił plany mediacji i zajął się możliwością interwencji na rzecz Polski. W kwietniu Francja próbowała dwukrotnie skłonić Stany Zjednoczone do przyłączenia się do przygotowywanej deklaracji mocarstw na rzecz Polski. Odpowiedź Sewarda w liście do posła amerykańskiego w Paryżu\*) z 11-5-1863 zawierała co prawda uznanie dla motywów Napoleona III, ale jednocześnie wyrażała wiarę w humanitaryzm i oświecenie cara, jego mądrość i umiarkowanie w rządzeniu państwem. Motywując swą odmowę Seward powoływał się równocześnie na wskazania Washingtona i tradycję amerykańską nie mieszania się w obce sprawy, oraz na toczącą się nadal wojnę cywilną. Dalszym niewątpliwym motywem podejrzliwości amerykańskiej w stosunku do Napoleona III była współczesna interwencja francuska w Meksyku.

Posel amerykański w Petersburgu zakomunikował list Sewarda kanclerzowi Gorczakowowi, który uzyskał jego zgodę na niezwłoczne ogłoszenie tego listu. Był to poważny moralny sukces Rosji wobec powstania i wobec zamiarów interwencyjnych na rzecz Polski.

Inny fakt z tego samego okresu łączy się również bezpośrednio z powstaniem styczniowym. Przez lat z górą 50 przyjęta była powszechnie w Stanach Zjednoczonych opinia, że odwiedziny floty wojennej rosyjskiej w New Yorku i w San Francisco jesienią 1863 r. były gestem przyjaźni wobec stanów północnych i miały na celu usunięcie groźby mediacji europejskiej na rzecz Południa. Jest zasługą wspomnianego wyżej historyka amery-

kańskiego F. A. Goldera, że ujawnił w r. 1915 rzeczywiste tło tej sprawy, która rzuca interesujące światło na ówczesne poglądy rosyjskie na możliwość interwencji mocarstw w obronie interesów polskich.

Na podstawie archiwów rosyjskiego ministerstwa marynarki Golder stwierdził, że inicjatorem przygotowań do tej wizyty, z zupełnie innych motywów niż myślano przedtem w Stanach Zjednoczonych, był W. Książę Konstanty Mikołajewicz, brat Aleksandra II, 22 stycznia 1862 r., w rok przed wybuchem powstania styczniowego a niespełna pięć miesięcy przed nominacją na namiestnika Królestwa, W. Ks. Konstanty jako generał-admirał floty rosyjskiej, wydał pierwsze instrukcje w tej sprawie komandorowi Popowowi udającemu się na Daleki Wschód celem objęcia dowództwa floty na Pacyfiku. W razie wojny z potęgą morską, Popow miał pozostawić w portach słabsze jednostki, resztę zaś floty wyprowadzić na morze celem niszczenia statków handlowych przeciwnika.

Dalsze zarządzenia i memoriały na ten temat są głównie autorstwa generała-adiutanta Krabbe, zastępującego W. Księcia w czasie jego pobytu w Polsce.

24 kwietnia 1863 r. Krabbe zawiadomił Popowa o krytycznej sytuacji w Europie i polecał stan pogotowia. 3 lipca admiralicja rosyjska informowała Popowa, że wiadomość o wypowiedzeniu wojny będzie przekazana dla niego telegraficznie do Omska, skąd kurier zawiezie ją do Tientsinu. U ujścia rzeki Pei-Ho miał oczekiwać stale na kuriera okręt, który by go zabrał do Popowa krążącego na wodach chińskich. 20 lipca Krabbe oczekiwał konfliktu bardzo szybko; dawał więc znać Popowowi, że nie gwarantuje, iż wiadomość o wybuchu wojny dotrze do niego prędzej niż do dowódcy floty angielskiej na Dalekim Wschodzie. Pod wpływem tych wiadomości, Popow powziął w końcu lipca decyzję i dał znać że wypływa do San Francisco przez Alaskę.

5 lipca 1863 r. Krabbe przedłożył carowi raport, rozwijający wyżej wspomniane założenia W. Ks. Konstantego. Krabbe stwierdzał, że flota rosyjska jest za słaba aby w razie wojny mogła stawić czoło połączonym flotom brytyjskiej i francuskiej. Natomiast gdyby znalazła się przed wybuchem konfliktu poza zasięgiem blokady brytyjskiej, mogłaby wyrządzić znaczne szkody marynarce handlowej przeciwnika a tym samym wpłynąć na antyrosyjską postawę W. Brytanii. W dwa dni później car przyjął ten projekt i już 26 lipca nowy dowódca floty na Bałtyku Lisowski otrzymał szczegółowe instrukcje. Jednostki miały opuścić porty rosyjskie pojedynczo, aby nie wywołać zaniepokojenia W. Brytanii. Lisowski miał udać się bezpośrednio do New Yorku na okręcie admirałskim "Aleksander Newski". W razie konfliktu teatrem akcji floty przeciwko marynarce handlowej wroga miał być Atlantyk.

W końcu września i w początkach października 6 jednostek floty wojennej pod dowództwem Lisowskiego wpłynęło kolejno

\*) v. M. W. Graham, Amer. *Diplomacy in the international Community*.



do portu nowoyorskiego. Eskadra Popowa przybyła do San Francisco 24 października 1863 r. W obu portach zjawienie się floty rosyjskiej spotkało się z gorącym przyjęciem władz i ludności. Obecność eskadr była powodem wielu przyjęć, balów i bankietów. Popow zamierzał nawet wziąć udział w obronie San Francisco przeciwko oczekiwanemu atakowi jednostek floty południowej, lecz otrzymał instrukcję od Gorczakowa aby zachować bezwzględną neutralność. W połowie listopada, zapewne pod wpływem mowy Napoleona z 5-go tegoż miesiąca, Stoeckl uznał, że wojna wybuchnie na pewno. Lisowski telegrafował do Petersburga o pozwolenie wyruszenia do Indii Zachodnich celem przygotowania floty do akcji. Został jednak zatrzymany instrukcją Krabbe'go, który nie przecząc niebezpieczeństwa, stwierdził że blokada Nowego Yorku nie jest prawdopodobna.

W ciągu zimy 1863-4 groźba wojny zniknęła. Według Goldera, który sam przekreślił legendę o świadomej pomocy rosyjskiej, obecność floty była jednak ważną przysługą na rzecz stanów północnych. Golder przytacza także opinię oficerów eskadry rosyjskiej, których zdaniem zjawienie się floty wpłynęło decydująco na zmianę stanowiska W. Brytanii w stosunku do zamiarów interwencji na rzecz Konfederacji południowej.

Nie mam zamiaru ani dostatecznych podstaw aby w tym krótkim zestawieniu wypowiadać opinię na temat powyższej tezy.\*) Jeśli by jednak przyszłe badania historyczne potwierdziły rzeczywiście wpływ wybuchu powstania styczniowego na stosunek Napoleona III do wojny cywilnej amerykańskiej oraz obecności floty rosyjskiej w Ameryce na stosunek W. Brytanii do zamiarów interwencyjnych tak na rzecz Konfederacji południowej jak i na rzecz Polski, należało by uznać, że powstanie styczniowe przyczyniło się w niemałym stopniu do zachowania jedności Stanów Zjednoczonych; tak kampania z r. 1792, insurrekcja kościuszkowska i trzeci rozbiór osłabiły interwencję monarchii europejskich przeciwko rewolucji francuskiej, podobnie powstanie listopadowe powstrzymało Rosję od zgnięcia niepodległości belgijskiej.

Bezpośrednio po zakończeniu wojny cywilnej legenda o pomocy floty rosyjskiej była potężną pożywką dla dobrych stosunków amerykańsko-rosyjskich i ułatwiła przyjazne rozstrzygnięcie jedyne terytorialnego zagadnienia jakie dotąd w stosunkach tych istniało, mianowicie sprawy Alaski.

Już w 1817 r. żywiono w Stanach Zjednoczonych obawy — trudno dziś ocenić jak dalece uzasadnione — że Hiszpania odstąpi Rosji swe posiadłości kalifornijskie, wzamian za pomoc przeciwko zbuntowanym koloniom w Ameryce Południowej. Pogłoski te powstawały być może na tle działalności towarzystwa

\*) por. Thomas H. Bailey (*A Diplomatic History of the American People*) uważa, że interwencja europejska w wojnie cywilnej już nie groziła w momencie przybycia floty rosyjskiej do Stanów Zjednoczonych.

handlowego rosyjskiego, które eksploatowało Alaskę i rozszerzało wówczas swoje wpływy na południe. Posiadało ono nad zatoką Bodega w pobliżu dzisiejszego San Francisco umocnioną faktorię Fort Ross. W 1821 r. Aleksander I wydał ukaz zabraniający obcym okrętom przekraczanie linii o 100 mil morskich od wybrzeży Syberii i Ameryki rosyjskiej na północ od 51 równoleżnika. Oficjalne pretensje rosyjskie obejmowały więc w praktyce prawie całe zachodnie wybrzeże dzisiejszej Kanady, po wyspę Vancouver.

Dyplomacja amerykańska wcześniej weszła na tory koncepcyjne, które znalazły ściślejsze ujęcie w tzw. doktrynie Monroe. J. Q. Adams, jeszcze jako poseł w Petersburgu, uchylił się w 1809 r. od współpracy z Rosją w sprawie przemytu broni na wybrzeżu Oceanu Spokojnego, aby nie powstał argument, że Stany Zjednoczone uznają prawa rosyjskie na kontynencie amerykańskim. W 1824 r., wkrótce po ogłoszeniu deklaracji prezydenckiej, znanej później pod nazwą doktryny Monroe, stanęła umowa z Rosją, która cofała dobrowolnie swe pretensje terytorialne na zachodnim wybrzeżu Ameryki do 54 równoleżnika.

Nie jest całkowicie jasne skąd wyszła inicjatywa transakcji finansowej o Alaskę. Według niektórych autorów amerykańskich Sekretarz Stanu Marcy wspominał o tym Stoeckl'owi już w czasie wojny krymskiej.\*) Inni autorzy przypisują inicjatywę Rosji.\*\*\*) Najbardziej źródłowo i przekonująco pisze znowu F. A. Golder, według którego prawdopodobnym inicjatorem, a na pewno wczesnym i wytrwałym protagonistą tej transakcji był znowu W. Ks. Konstanty Mikołajewicz, późniejszy namiestnik Królestwa Polskiego. Golder\*\*\*\*) cytuje pisma Konstantego do Gorczakowa z marca i grudnia 1857 r., w których jest już mowa o sprzedaży kolonii amerykańskich Stanom Zjednoczonym oraz krytyka gospodarki rosyjsko-amerykańskiego towarzystwa w Alasce. Za radą W. Księcia zwrócono się do bar. Wrangla, jednego z akcjonariuszy towarzystwa, który już wtedy wymienił cyfrę \$ 7.442.800 jako słuszną cenę sprzedaży. Połowa sumy miała przyspać akcjonariuszom, druga rządowi rosyjskiemu. W ciągu następnych trzech lat toczyła się na ten temat korespondencja między Gorczakowem a Stoecklem. W 1860 r. ten ostatni radził się senatora z Kalifornii Gwinna, który wymienił sumę \$ 5 milj. Negocjacje zamarły w oczekiwaniu na wybory, po czym przyszła wojna cywilna. Po jej ukończeniu, wobec bankructwa grożącego rosyjsko-amerykańskiemu towarzystwu, zapadła w 1866 r. na konferencji u cara z udziałem W. Ks. Konstantego decyzja sprzedaży za minimalną sumę \$ 5 milionów. Po zręcznie prowadzonych rokowaniach w lutym i marcu 1867 r. Stoeckl uzyskał od sekretarza stanu Sewarda \$ 7.200.000. Ratyfikacja układu okazała się trudna. Wywołał on burzę w

\*) v. S. Flagg Bemis: *A diplomatic history of the United States*.

\*\*) F. R. Dulles, op. cit.

\*\*\*\*) *Am. Hist. Rev.* 1920.



opinii Stanów Zjednoczonych i został wreszcie zatwierdzony przez Izby po ciężkich walkach dzięki energii Sewarda i zapewne tajnym funduszom Stoeckla.

W świetle znanych dotąd materiałów nie wydaje się słuszną tezę, że Rosja nie wiedziała o potencjalnych bogactwach Alaski; uważała jednak ich wykorzystanie za odległe w czasie i problematyczne. Obawiała się zapewne ekspansjonizmu terytorialnego Stanów Zjednoczonych, które już dokonały aneksji Florydy i wielkich terytoriów meksykańskich; sądziła, że w razie nowej wojny z Wielką Brytanią, uważaną wówczas w Petersburgu za prawdopodobnego wroga, nie potrafi obronić Alaski przed Anglikami. Wreszcie mogła przypuszczać, że posiadanie tego terytorium poróżni Stany Zjednoczone z W. Brytanią, a do tego celu polityka rosyjska dążyła konsekwentnie przez kilkadziesiąt lat.

Dzisiaj wiemy, że było to obliczenie zawodne. Rosja, jako spiritus movens Świętego Przymierza, sama przyczyniła się poważnie do ogłoszenia w 1823 r. zasad polityki amerykańskiej zawartych w doktrynie Monroe. Stwierdzenie, że Stany Zjednoczone są największą siłą w obu Amerykach i że przeciwstawią się jakiegokolwiek nowej ingerencji mocarstw europejskich na półkuli zachodniej, było bezpośrednim skutkiem groźby interwencji mocarstw Świętego Przymierza, z Rosją na czele, w Ameryce Południowej. W praktyce ogłoszenie tego stanowiska amerykańskiego stało się możliwe, gdy W. Brytania odsunęła się od Św. Przymierza i zaproponowała Stanom Zjednoczonym sojusz przeciwko akcji mocarstw europejskich. W Brytanii chodziło o swobodny dostęp do rynków Ameryki Południowej i ówczesni kierownicy polityki amerykańskiej dobrze zrozumieli, że z tą chwilą interwencja pozostałych mocarstw europejskich przeciwko wspólnym siłom floty brytyjskiej i amerykańskiej staje się niemożliwa. Monroe i Sekretarz Stanu J. Q. Adams uchylili się od sojuszu, który by mógł utrudnić dalszą ekspansję terytorialną Stanów Zjednoczonych, ale uznali iż stanowisko brytyjskie pokrywa ich de facto. Pomimo kilku poważnych spięć, ten niedopowiedziany sojusz atlantycki utrzymał się do pierwszej wojny światowej i zabiegi rosyjskie pozostały bez skutku.\*)



Doktryny Św. Przymierza głęboko niepokoiły Stany Zjednoczone. Pierwsza, zmieniona później, redakcja tekstu oświadczenia Monroe zawierała\*\*) wyrazy sympatii dla Greków i dla republikanów hiszpańskich. Przez cały w. XIX, równoległe z sympatiami do Rosji na tle decydujących dla Stanów Zjednoczonych wydarzeń, jak wojny z W. Brytanią, wojna cywilna i sprzedaż Alaski, pojawiały się wielokrotnie prądy niechęci do auto-

\*) por. R. L. Buell: *Isolated America*; także Walter Lippmann: *U. S. Foreign Policy*.

\*\*) S. Flagg Bemis op. cit.

kratycznych systemów politycznych. Początkowo była to niechęć do systemu monarchistycznego w ogólności, później w miarę ewolucji monarchii konstytucyjnych, do mocarstw, które zwalczały wolność swych poddanych, jak i wolność innych narodów. W czasie rewolucji francuskiej, powstań południowo-amerykańskich, powstania greckiego, wiosny ludów oraz powstań polskich opinia amerykańska żywo reagowała na rzecz ideałów wolności, praw człowieka i narodów.

Te emocjonalne odruchy, wywodzące się z najgłębszych i najszczerzych pokładów wiary Amerykanów w słuszną moralną i przyszłość praktyczną systemów wolnościowych znalazły najsilniejszy wyraz w związku z węgierskimi walkami o niepodległość w latach 1848-49. Administracja amerykańska wysłała wówczas na Węgry emisariusza, A. Dudley Manna, który miał zbadać możliwość uznania węgierskiego rządu rewolucyjnego. Mann nie przybył jednak na czas na Węgry i misja jego stała się przedmiotem ostrego zatargu z rządem austro-węgierskim. Po opuszczeniu Węgier przez Kossutha, Sekretarz Stanu D. Webster, nie bez celów wyborczych, spowodował wspólną rezolucję obu izb na rzecz bohatera węgierskiego i jego towarzyszy. Wysłano po nich do Turcji amerykański okręt wojenny. Co prawda Kossuth opuścił okręt w Gibraltarze, aby po drodze odwiedzić Anglię, ale gdy przybył do Nowego Yorku, w grudniu 1851 r., przyjmowano go z entuzjazmem jakiego nie wywołał żaden cudzoziemiec od czasów Lafayette. W publicznym przemówieniu Webster mówił o niepodległości Węgier i wyraźnie przekroczył bierne założenia doktryny Monroe, gdy stwierdził, że Stany Zjednoczone z radością powitają powstanie nad Dunajem systemu rządów na modłę amerykańską.\*)

Według dzisiejszych pojęć można by powiedzieć, że Kossuth miał w Ameryce wielkie powodzenie propagandowe. Powstawały kluby jego imienia, noszono brody à la Kossuth i kapelusze à la Kossuth. Mimo wielkich zalet osobistych, świetnej angielszczyzny i niezrównanej popularności, nie uzyskał on jednak od Stanów Zjednoczonych żadnego konkretnego wystąpienia na rzecz niepodległości węgierskiej.

W latach 1882, 1902, 1908 i 1911, Stany Zjednoczone ostro reagowały i nawet protestowały oficjalnie, przeciwko pogromom żydowskim w Rosji i w Rumunii. W r. 1911 prezydent Taft, zmuszony postawą Kongresu, zerwał z tego powodu układ handlowy z Rosją zawarty w 1832 r.

Jednakże do końca XIX wieku, atmosfera wzajemnej sympatii amerykańsko-rosyjskiej przetrwała wszystkie próby. W 1866 r., gdy Aleksander II uniknął zamachu, Kongres powziął rezolucję gratulacyjną i wysłał okręt wojenny do Petersburga z powinińszowaniami. W 1871 r. W. Ks. Aleksy odbył podróż do Stanów Zjednoczonych, serdecznie witany przez administrację i przez

\*) Th. H. Bailey, op. cit.; por także M. W. Graham op. cit.; oraz S. Flagg Bemis: *The American Secretaries of State*, vol. VI.



opinię. Przy tej sposobności poeta Oliver W. Holmes sławił w wierszu tych "którzy byli naszymi przyjaciółmi, gdy cały świat był nam wrogiem".\*)

Tak więc prądy idealistyczne i liberalne, które tak często w ciągu XIX w. ścierały się z oficjalną przyjaźnią amerykańsko-rosyjską, w ani jednym wypadku nie przekreśliły w praktyce poważnych obliczeń politycznej racji stanu. Jest to tym bardziej charakterystyczne, że autokratyczna Rosja carska, jako najbardziej aktywny członek Św. Przymierza, jako wróg wolności Polaków, Węgrów i własnych rosyjskich poddanych, jako prześladowca Żydów, szczególnie narażona była na oburzenie opinii. Ale sympatie prorosyjskie przetrwały te kryzysy. W czasie powstania styczniowego ówczesna opinia w północnych stanach skłonna była widzieć nawet podobieństwa pomiędzy walką Północy z południową "rebelią" i uśmierzeniem powstania polskiego przez cara, pomiędzy oswobodzeniem murzynów przez Abrahama Lincolna i chłopów przez Aleksandra II.

Gdy wzajemne stosunki uległy wreszcie silnemu naprężeniu, stało się to nie na skutek obrażonego liberalizmu amerykańskiego, lecz kiedy po aneksji Filipin, Stany Zjednoczone weszły na arenę współzawodnictwa wielkich mocarstw na Dalekim Wschodzie.

Od czasu wojny hiszpańskiej datuje się także widoczna zmiana w stosunkach amerykańsko-angielskich, czego inicjatywę przypisać można zapewne świadomemu działaniu brytyjskiemu. Według świetnego znawcy polityki rosyjskiej D. J. Dallina\*\*), ekspansja rosyjska na Dalekim Wschodzie była wyrazem walki Rosji z największą ówczesną potęgą morską tj. z W. Brytanią. Od czasu sprzedaży Alaski ekspansja ta zmieniła kierunek z północno-wschodniego na południowo-wschodni, tzn. na Mongolię, Mandżurię, Koreę i chiński Turkiestan. Polityka rosyjska drugiej połowy XIX w. dążyła konsekwentnie i uparcie do zbliżenia ze Stanami Zjednoczonymi w imię właśnie tej rywalizacji z W. Brytanią. Gorącym wyznawcą tego kierunku był hr. Mikołaj Murawiew, w latach pięćdziesiątych gubernator rosyjskiego Dalekiego Wschodu. Rosyjska opozycja liberalna również sprzyjała ekspansji na Daleki Wschód. Herzen sądził, że Pacyfik jest Morzem Śródziemnym przyszłości, poprzez które Rosja poda rękę liberalnej Ameryce.

Okolo 1860 r. Rosja doszła do granic Korei, Mandżurii i do wybrzeży Morza Japońskiego. W dalszej fazie tej ekspansji natknęła się na opór Japonii, szczególnie po wojnie japońsko-chińskiej w 1894 r. Konfiguracja polityczna pomiędzy mocarstwami zaczęła się odtąd przeobrażać i nastąpiło zbliżenie ja-

\*) cytowany przez Th. H. Bailey, op. cit.

\*\*) D. J. Dallin: *The rise of Russia in Asia*; oraz tego autora: *Soviet Russia and the Far East*.

pońsko-brytyjskie, a następnie japońsko-amerykańskie. Rosja stała się na tym terenie poważnym konkurentem Ameryki.

Zewnętrzny wyrazem zainteresowania amerykańskiego na Dalekim Wschodzie była od 1899 r. tzw. polityka "drzwi otwartych" w Chinach. Rzeczywiste powody tego zainteresowania nie są przez autorów amerykańskich traktowane jednolicie. Niektórzy uważają politykę "drzwi otwartych" za błąd i skutek zręcznych manewrów angielskich. Odmiennego zdania jest R. L. Buell a także W. C. Bullitt\*\*), który umieszcza zasadę "drzwi otwartych" w Chinach wśród trzech podstawowych kryteriów amerykańskiej polityki zagranicznej. Niezależnie od tej kontrowersji na temat polityki daleko-wschodniej, trwającej w zmieniających się formach w Stanach Zjednoczonych omal nieprzerwanie od kilkudziesięciu lat, faktem pozostaje, że interesy amerykańskie i rosyjskie znalazły się na przełomie w XIX i XX w. Chinach w zasadniczej sprzeczności. W czasie wojny japońsko-rosyjskiej opinia amerykańska stanęła wyraźnie po stronie Japonii. Dopiero klęski rosyjskie spowodowały nowy gwałtowny zwrot opinii na rzecz Rosji, który jednak nie okazał się trwały. Interwencja mediacyjna Prezydenta Teodora Roosevelta, która doprowadziła do pokoju w Portsmouth, wykazała naocznie że w rzeczywistości Stany Zjednoczone szukały na Dalekim Wschodzie odbudowy zachwianej równowagi. Opanowanie Chin przez jedno mocarstwo jest, tak samo pięćdziesiąt lat temu jak i obecnie, naruszeniem tej równowagi i groźbą dla bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. Toteż wytrwałe dążenia Rosji do zajęcia Mandżurii, tak przed jak i po wojnie z Japonią, nie pozwoliło mimo ponownego przejściowego zbliżenia (1908-9), na trwałą odbudowę dobrych stosunków amerykańsko-rosyjskich. Przeciwnie, zamiary tzw. "dyplomacji dolarowej" Tafta doprowadziły do współpracy rosyjsko-japońskiej przeciwko Stanom Zjednoczonym. Jeszcze w 1915 r. tajny układ obu tych państw miał dość wyraźnie charakter antyamerykański.

Stany Zjednoczone powitały marcową rewolucję rosyjską 1917 r. z prawdziwą radością. Pierwsze uznały Prowizoryczny Rząd Ks. Lwowa. W kilkanaście dni później przystąpiły do wojny.

Rewolucja październikowa, zwycięstwo komunizmu, złamanie umów sojuszniczych przez Rosję, zmieniły na wiele lat obraz wzajemnych stosunków. O ile upadek caratu ułatwił Stanom Zjednoczonym przystąpienie do koalicji, której hasłami była wolność, demokracja i wieczny pokój, o tyle ustrój komunistyczny wytworzył przeszkodę nie do przebycia dla czterech kolejnych prezydentów Stanów Zjednoczonych. Demokrata Wilson był w stosunku do komunizmu równie nieprzejednany, jak jego republikańscy następcy Harding, Coolidge i Hoover. Stanowisko Wilsona było tym godniejsze uwagi, iż jego współpracownicy,

\*) Wymienieni powyżej T. H. Bailey, S. Flagg Bemis oraz A. Whitney Griswold: *The Far Eastern Policy of the U. S.*

\*\*) W. C. Bullitt: *The Great Globe Itself*.



Sekretarz Stanu Lansing oraz płk. House byli może skłonni do większej elastyczności jak o tym wydaje się świadczyć misja Bullitta do Rosji w 1919 r.\*\*) Nie może ulegać wątpliwości, że Wilson przyłączyłby się do koalicji anty-niemieckiej pomimo zastrzeżeń jakie wywoływała wówczas w Stanach Zjednoczonych Rosja carska.\*\*\*) Toteż trzeba przyjąć, że niechęć administracji amerykańskiej do Rosji przez następnych kilkanaście lat mniej była spowodowana dyktaturą bolszewicką i okropnościami rewolucji, niż dwoma nowymi rysami oblicza Rosji: jawnym zamiarem organizowania rewolucji światowej i również wyraźnym wypowiedzeniem ważności zobowiązań i umów międzynarodowych, zawartych przez reżim przedrewolucyjny. Ale nie zmieniał się podstawowy stosunek do Rosji. Pamiętając o XIII punkcie Wilsona, który oddał tak wielką przysługę idei odbudowy państwa polskiego, nie należy zapominać o punkcie VI, dotyczącym Rosji. Zawarta w nim była teza uszanowania statutu terytorialnego Rosji carskiej, z jedynym właśnie wyjątkiem terytoriów zamieszkałych przez "niespornie polską ludność". \*\*\*)

Na Dalekim Wschodzie polityka amerykańska starała się gościć te sprzeczności występując przeciwko zachłanności Japonii. W Europie, w czasie wojny polsko-bolszewickiej, Stany Zjednoczone proklamowały oficjalnie swą neutralność. Z tego czasu zasługuje na uwagę korespondencja dyplomatyczna amerykańska z Japonią, a zwłaszcza nota Sekretarza Stanu Colby\*\*\*\*) do ambasadora włoskiego w Washingtonie z 10 sierpnia 1920 r. ściśle spowodowana wojną polską. Brak zaufania do reżimu komunistycznego i troska o równowagę sił na Dalekim Wschodzie jest najważniejszym podłożem tych dokumentów.

Tzw. izolacjonizm trzech kadencji republikańskich po Wilsonie był w dużym stopniu dziełem wyobraźni. W rzeczywistości już Prezydent Harding szukał odbudowy równowagi na Pacyfiku i w Chinach w drodze współpracy mocarstw. W układach waszyngtońskich 5-ciu i 9-ciu państw z lutego 1922 r. Stany Zjednoczone zapłaciły za opuszczenie przez Japonię rosyjskich terytoriów na Dalekim Wschodzie i za przejściowe uszanowanie niepodległości Chin długotrwałym osłabieniem własnym na Oceanie Spokojnym. Nawet wymuszone przez dyplomację amerykańską

\*) W. C. Bullitt: *The Bullitt mission to Russia*.

\*\*) Stany Zjednoczone zerwały stosunki dyplomatyczne z Rzeszą niemiecką 3. II. 1917.

\*\*\*) Wilson udzielił co prawda bardzo mglistego poparcia tzw. oficjalnemu komentarzowi 14-tu Punktów, zredagowanemu na zamówienie płk. House'a przez F. J. Cobb'a i W. Lippmann'a. Dokument ten w interpretacji p. VI. wypowiedział się za zasadą samostanowienia narodów Rosji, nie miał jednak poważniejszego wpływu na politykę Stanów Zjednoczonych na Konferencji Pokojowej ani w najbliższych latach po Wersalu. W r. 1944 W. Lippmann wyparł się całkowicie tych tez (U. S. War Aims), przypisując nawet Wilsonowi podjęcie zasady samostanowienia narodów jedynie w wyniku wojennego oportunizmu. Ta surowa ocena wydaje się znacznie przesadzona.

\*\*\*\*) S. Flagg Bemis: *The American Secretaries of State*, vol. X.

ską przy pomocy Kanady zerwanie sojuszu brytyjsko-japońskiego ułatwiło w dalszym rozwoju ponowne zachwianie równowagi na rzecz Japonii. Tak więc w braku stosunków dyplomatycznych z Rosją Sowiecką i przy akompaniamencie gwałtownej propagandy antykomunistycznej w St. Zjednoczonych polityka amerykańska osłaniała jednocześnie własnym sumptem terytorialny stan posiadania Rosji i możliwość odbudowy jej potęgi na Dalekim Wschodzie.

W Europie nieobecności politycznej Stanów Zjednoczonych towarzyszył politycznie niezorganizowany ekspansjonizm gospodarczy i finansowy. Niezbyt już wtedy odległa w czasie odnowiona potęga militarna Niemiec, wiele zawdzięczała pomocy kredytowej amerykańskiej do 1933 r.

Pomiędzy r. 1917 a 1933 przeszła przez St. Zjednoczone fala informacji i propagandy antykomunistycznej o wielkim natężeniu. Zapewne jednak w tym samym czasie Moskwa stworzyła podwaliny swych przyszłych powodzeń na tym terenie zdobywając wiele sympatii na lewicy i w liberalnych sferach amerykańskich. Gdy w 1933 r., po raz pierwszy od czasów Wilsona, przyszedł do władzy demokrata F. Roosevelt, teorie izolacjonistyczne traciły masowo zwolenników. Na horyzoncie rysowała się groźba niemiecka i znowu japońska. Miniony okres nieuznawania reżimu komunistycznego, który utrzymał się w Rosji u steru rządów od 1917 r. łatwo uznano za bezpłodny. W obliczu najcięższego kryzysu gospodarczego w dziejach St. Zjednoczonych, nadzieje na wielkie obroty gospodarcze z Rosją znajdowały łatwy posłuch.

Przy sposobności uznania Rosji komunistycznej przez Roosevelta w formie wymiany not z Litwinowem (16-11-1933) użytkano obietnice sowieckie na temat dwóch głównych przeszkód we wzajemnych stosunkach od czasu powstania ustroju komunistycznego, a mianowicie przyjęcie przez Sowiety zasady długów z okresu przed-komunistycznego i zaniechanie propagandy wyrotowej w St. Zjednoczonych. Obietnice te okazały się oczywiście gołosłowne, nie ziściły się również nadzieje na eldorado gospodarcze w stosunkach z Rosją. Wspólną walkę przeciwko Niemcom w drugiej wojnie światowej poprzedziły lata zawodów i zadrzań, aż wreszcie napaść rosyjska na Finlandię omal nie doprowadziła znowu do zerwania stosunków. Zachwyt opinii amerykańskiej nad zaletami sojusznika rosyjskiego w ostatniej wojnie jest wymownym świadectwem skłonności do skrajnych odruchów, jak i dowodem jak przemijające i powierzchniowe są wyniki wieloletnich działań propagandowych na terenie amerykańskim.

Trzeba jednak wrócić do punktu wyjścia. Polityk amerykański szukający w latach 1943-45 wskazań dla oceny Rosji Sowieckiej w przeszłości stosunków amerykańsko-rosyjskich mógł ulec



wrażeniu, że poprzednie okresy trudności i powikłań kończyły się zawsze odprężeniem i kompromisem. Nie należy wyłączać, że podobne myśli odegrały jakąś rolę u Roosevelta. W dniu śmierci podpisał jeszcze depezę do Churchilla na tematy polskie; doradzał w niej umniejszanie znaczenia kłopotów z Sowietami, które ciągle powstają i jakoś potem znikają.”)

Nie tylko polityka amerykańska nie zorientowała się na czas w przewrocie stosunków międzynarodowych wynikających z nowych środków komunikacji i wojny. Trzy podstawowe tezy do których Bullitt streszcza politykę zagraniczną St. Zjednoczonych:\*\*) 1. doktryna Monroe, 2. doktryna bezpieczeństwa atlantyckiego, 3. polityka otwartych drzwi w Chinach, zlewają się dziś w jedną już doktrynę. Nie można bowiem oddzielić równowagi na Dalekim Wschodzie od bezpieczeństwa Europy, ani bezpieczeństwa Europy od bezpieczeństwa St. Zjednoczonych.

W teorii pozostają więc tylko dwie alternatywy, zapewnienia równowagi pomiędzy St. Zjednoczonymi i Rosją lub zlikwidowanie jednego z tych dwóch ośrodków siły na rzecz drugiego. Coraz usilniej narzuca się przeświadczenie, że tylko druga alternatywa może się okazać w praktyce możliwa.

Jan LIBRACH.

\*) 12 kwietnia 1945 r.; depeza cytowana przez Stettiniusa — „Roosevelt and the Russians”.

\*\*) The Great Globe itself.

## OSTATNIE WIADOMOŚCI

*jedynę pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec.*

**Ukazuje się trzy razy tygodniowo.**

**W każdą niedzielę dodatek.**

**Korespondenci:** we Francji, W. Brytanii, Włoszech, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Wenezueli, Argentynie, Australii i Nowej Zelandii.

**Ogłoszenia:** 1 cm. 1 łam. — 4,20 DM (1 dol.). Za słowo w ogł. drobnych 0,20 DM (5 ct. am.)

**Redakcja, administracja, drukarnia:**

17a, MANNHEIM-SANDHOFEN, 4094 LSCO Schönau  
US Zone, Germany.

## Straty Kultury Polskiej

### Wspomnienie o «Bazylim»

Jako młody działacz polityczny spotkałem Kazimierza Pużaka po raz pierwszy we Lwowie na wiecu robotniczym, zorganizowanym w 1938 r., w przeddzień wyborów samorządowych. Wiec odbywał się w Domu Robotniczym im. Ignacego Daszyńskiego, pięknym gmachu kolejarzy lwowskich.

Pużak, wówczas generalny sekretarz PPS, przybył specjalnie na ów wiec z Warszawy i wygłosił mowę, w której przeciwstawił się zarówno zakusom komunistów dążących do rozbicia jedności PPS, jak i dążeniom do samowładztwa ówczesnego rządu sanacyjnego.

Wczesną wiosną 1943 r., jako emisariusz Rządu Londyńskiego spotkałem Pużaka, „Bazylego”, po raz drugi.

Miałem wyraźne zlecenie widzenia „Bazylego” osobiście i zetknąłem się z nim poprzez „Marcina” (Z. Zarembe).

Spotkanie ustalone zostało na godzinę dwunastą w południe, na cmentarzu powązkowskim. Krotochwilny „Marcin” zwrócił mi uwagę, że „Grzegorz” (dla bezpieczeństwa zmieniono wtedy pseudonim Pużaka z „Bazylego” na „Grzegorza”), lubi spotykać się w makabrycznym miejscu — wśród krzyży. Miałem podejść do niego w środkowej alei i zapytać o grób Limanowskiego.

Pużak zmienił się od czasów lwowskich: jakby zmalął i przygarbił się nieco. Wydawał mi się węższy i bardziej kościsty. Niemniej poznałem go od razu po charakterystycznej czerstwej twarzy, długich włosach i siwiznie. Było ciepło i ptaki głużyły naszą rozmowę marcowym świergotem. Na horyzoncie, w bocznej alei zauważyłem niezawodną łączniczkę „Koła” (PPS), czujną panią Annę (tym razem w żałobie), która krążyła z daleka, by na wypadek jakiejś obławy lub śledztwa ostrzec nas zawczasu. Socjaliści odznaczałi się w Pod-



ziemi najlepszą techniką pracy konspiracyjnej, którą przejęli z czasów walki z caratem.

Moje materiały i naświetlenia zreferował już uprzednio Pużakowi "Marcin". Toteż Pużak zadawał mi raczej pytania uzupełniające. Ustaliliśmy, iż naprzód pozwolę się "wycisnąć jak cytryna", gdyż od czasów "Buki" od roku z górą, byłem pierwszym emisariuszem politycznym z Londynu. Chwilę czasu poświęciliśmy omówieniu stosunków polsko-rosyjskich. Pużak zdawał się podzielać krytyczną ocenę umowy Sikorski - Stalin przekazaną mu przez Adama Ciołkosza. Nie miał najmniejszych złudzeń co do zamiarów sowieckich wobec Polski. Zwracał szczególnie uwagę na znaczenie jedności w kraju i na emigracji, którą polityka rosyjska będzie się starała zburzyć za wszelką cenę. Podkreślał konieczność trwania niezmiennie i bezkompromisowo na stanowisku zasad programowych, ustalonych przez Polskę Podziemną. Pamiętam, iż szczególnie zainteresował się losem państw bałtyckich, traktując tę sprawę jako próbiez przyszłego stosunku Rosji i Zachodu do Polski. Uważał bowiem iż tak jak błędem umowy Sikorski - Stalin było "otwarcie" kwestii granicy wschodniej, tak też nie wolno nam ani na chwilę zrezygnować z walki o niepodległość państw bałtyckich.

Omawiając zagadnienie jedności i konieczności skupiania sił polskich uzasadniał swoją decyzję pełnego poparcia dla ZWZ (Związek Walki Zbrojnej, później AK). Tłumaczył, iż pierwszym etapem montowania armii podziemnej musieli się zająć działacze polityczni i społeczni, mający kontakt i wyczucie terenu. Najlepszy oficer zawodowy, mówił Pużak, nie potrafi zmontować w tych warunkach plutonu dywersyjnego w fabryce, czy kompanii partyzanckiej na wsi. Robota ta zrobiona może tylko przez ludzi tam, na miejscu, od dawna żyjących i znających doskonale każdego człowieka. Stąd więc partyjna geneza armii podziemnej. Pużak, który wraz z Arciszewskim, Niedziałkowskim, Ratajem i Korbońskim brali udział w pierwszych rozmowach nad stworzeniem ogólnopolskiej organizacji podziemnej o charakterze polityczno-wojskowym wraz z gen. Karaszewicz-Tokarzewskim i pułk. (późniejszym generałem) Grot-Roweckim — pragnął wykorzystać w walce niepodległościowej cały aparat i doświadczenie partii politycznych. Toteż konsekwentnie WRN (Wolność, Równość, Niepodległość,) pierwsze oddało swą Gwardię Ludową — oddziały bojowe robotnicze i milicję pod dowództwo ZWZ - AK. Pużak, jak mi tłumaczył, wychodził z założenia, że tak jak etap organizacyjny musi być wykonany przez aparat polityczny i społeczny tak działania wojenne w skali narodowej wymagają koncentracji dowództwa i fachowego kierownictwa sztabowego w łączności z ogólnymi działaniami alianckimi. Wojskowi nie powinni się mieszać do polityki wewnętrznej, natomiast politycy nie mogą dowodzić wielkimi jednostkami

wojskowymi. Pużak podkreślał, iż zdaje sobie sprawę z tego, iż pewne koła ludowcowe, a także i prokomunistyczne elementy socjalistyczne oskarżają go o to, że przez podporządkowanie się w sensie ogólnych operacji wojskowych AK — socjaliści "podparli sanację", twierdził jednak z całym przekonaniem, że ma stuprocentowe zaufanie do demokracji gen. Grota i linii przyjętej przez AK, której wykładnikiem był "Biuletyn Informacyjny" i inne wydawnictwa BIP-u. Podobnie jak w 1938 r. dowodził, że praworządność wymaga tego, by był jeden centralny ośrodek wojskowy, kierowany przez odpowiednie czynniki państwowe. Tą właśnie drogą, jego zdaniem zmieni się zasadniczo charakter armii, która w warunkach wojennych — a szczególnie w warunkach walki podziemnej — nabierze charakteru armii rewolucyjnej, walczącej nie tylko o pokonanie nieprzyjaciela, ale jednocześnie o wizję sprawiedliwości społecznej, o Polskę lepszą aniżeli Polska przedwrześniowa.

Jedną z głównych spraw, którą przeprowadzić miałem na odcinku wewnątrz-politycznym jako emisariusz, była delikatna materia uznania WRN przez wszystkie grupy polityczne za właściwą kontynuację PPS, wprowadzenie WRN z powrotem do Krajowej Rady Politycznej (surogat Parlamentu Podziemnego, rozbudowany w 1944 r. w Radę Jedności Narodowej), przy jednoczesnym uratowaniu maksimum niepodległościowego elementu z grupy tzw. Polskich Socjalistów, która ze względu na wtyczki komunistyczne i wpływy stronników jednolitego frontu musiała być usunięta z KPR (Krajowa Rada Polityczna). Pużak był tym, który tę bitwę wygrał, mimo iż pewne koła ludowcowe i chadeckie zarówno w kraju jak i w rządzie Sikorskiego, wołały rozgrywać PPS i w porozumieniu z "jednolitifrontowcami" kontynuować swą walkę z sanacją.

"Bazyli" oświadczył mi kategorycznie, iż nie pozwoli na to by WRN zostało spenetrowane przez agentów komunistycznych i przeciwny jest istnieniu samodzielnej niepowiązanej centralnie organizacji wojskowej Polskich Socjalistów. Tłumaczył mi wówczas szczegółowo technikę komuny, która zmierzała do oderwania części socjalistów od macierzystego pnia niepodległościowej PPS i powiązania jej z komunistami, mówił że nie obawia się o jedność społeczeństwa polskiego w obliczu niebezpieczeństwa niemieckiego, natomiast jest przekonany, że manewry komunistów i infiltracja ich w polskie życie zmierzają do rozbicia tej jedności wśród Polaków. W wyniku materiałów oraz instrukcji jakie przywożłem z Londynu Pużak otrzymał wreszcie pełne uznanie WRN przez Rząd Sikorskiego, stronnictwa rządowe i Komitet Zagraniczny PPS wraz z instrukcjami dla Delegata Rządu i Komendanta AK, by WRN uważać za ciągłość PPS i jako taką za jeden z czterech podstawowych filarów porozumienia stronnictw. Polscy socjaliści w Krajowej Radzie Politycznej mieli być zastąpieni przez WRN. Zarówno Gen. Grot jak Pużak, Stronnictwo Narodowe i nowy Delegat Rządu byli radzi z instrukcji.



Dzięki znajomościom osobistym mogłem na odcinku Polskich Socjalistów spowodować, że poza zdecydowanie prosowiecką grupą Osóbki-Morawskiego, cały wartościowy element wrócił do WRN, godząc się w pełni z decyzją Londynu i doceniając całkowicie niebezpieczeństwo penetracji komunistycznej. Nb. w wyniku tych działań jeden z najciekawszych przywódców socjalistycznych młodego pokolenia, Leszek Raabe, oświadczył mi, iż komuniści wydali wyrok śmierci na trzech młodych działaczy lewicowych — na niego, Rosińskiego z Krakowa, oraz na mnie. W krótkim czasie zginęli obaj, ja zaś uniknąłem zemsty tylko dzięki różnym środkom ostrożności.

W następnym roku Kazimierz Pużak został Prezesem Rady Jedności Narodowej.

W końcowej części rozmowy wspomniałem, że niektórzy przedstawiciele Komitetu PPS w Londynie myślą o przeniesieniu Pużaka z Kraju do Londynu, gdzie miałby objąć konstytucyjny urząd następcy Prezydenta. Pużak musiał już coś słyszeć o tych planach. Spojrzał na mnie spode łba i tym swoim wschodnio-malopolskim miękkim, śpiewnym akcentem odpowiedział twardo, że na dostojęstwa w Londynie nie poluje.

“Robotnicy polscy powołali mnie na odpowiedzialną funkcję w zarządzie Partii, powiedział, powołali na złe i dobre — z nimi tu chcę pozostać. Nie ruszę się z kraju po dobrowoli, chyba by mnie przemocą Niemcy lub Moskale zabrali. Kogo innego wyślemy na urząd następcy Prezydenta”.

Nie próbowałem go przekonywać. Wyczułem, że decyzja jest nieodwołalna.

Pużak zapowiedział, że będzie się chciał ze mną jeszcze raz spotkać; dałem mu “skrzynkę” kontaktową i rozeszliśmy się każdy w swoją stronę.

Bazyli-Grzegorz należał do tych niewielu ludzi, którzy stanowili istotny rdzeń i mózg Polski Podziemnej..

Może inaczej potoczyłyby się losy emigracji, gdyby Pużak wyszedł z kraju i został Prezydentem w Londynie.

W parę miesięcy później dostrzegłem go w szarym tłumie, czekającym u zbiegu Marszałkowskiej i Alej Jeruzolimskich na tramwaj, idący w kierunku Grochowa. Stałiśmy obok siebie. Patrzyłem mu w oczy, ani jeden mięsień w jego twarzy nie drgnął, patrzył tak obojętnie jakby mnie w ogóle nie zauważył. W tramwaju ustąpił miejsca jakiejś starej kobiecie. Niczym nie wyróżniał się od tłumu warszawskiego, którego losy w pewnej mierze trzymał w swym ręku.

Ostatni raz widziałem Go na odprawie w parę dni przed powrotem do Londynu. Spotkanie z kierownictwem WRN wyznaczono mi w jednym ze zburzonych domów na Kolonii Staszica.

Wracałem zadyszany z ulicy Siennej, gdzie odprawiany był przez dyrektora departamentu likwidacji skutków wojny w Delegaturze Rządu. Byłem zaskoczony ponieważ wyznaczono

ny dom nie posiadał w ogóle klatki schodowej, czyżbym się pomylił? Na wszelki wypadek obszedłem go wkoło przez zachwaszczone podwórze; od tyłu przystawiona była chybota drabina. Następne drabiny znajdowały się już wewnątrz zdemolowanej klatki schodowej. Tak dostałem się na trzecie piętro, gdzie jakaś miła starsza kobieta wprowadziła mnie do zadymionego pokoju na poddaszu. Odnalazłem w nim całe kierownictwo WRN z Tomaszem Arciszewskim na czele. Starsi panowie bardzo byli ubawieni, że tak się zadyszałem na tych drabinach, podczas gdy oni bardzo sobie tę gimnastykę chwaliли.

“Stanisław” (Tomasz Arciszewski), którego widziałem wówczas po raz pierwszy w życiu, zagał obrady, po czym oddał głos Pużakowi, który punkt po punkcie omówił instrukcje jakie przekazać miałem Prezydentowi, Rządowi, Komitetowi Zagranicznemu Polskiej Partii Socjalistycznej i kierownictwu brytyjskiej Labour Party.

Trudno mi dziś odtworzyć w całości wszystkie instrukcje jakie wówczas wbił mi do głowy Pużak przy współudziale Arciszewskiego i Dziegielewskiego. Pamiętam jednak iż zasadniczymi dwiema sprawami było zagadnienie stosunków polsko-rosyjskich oraz koncepcja Rady Jedności Narodowej, która właśnie była w ostatnim stadium powstawania (początek 1944 roku) Pużak podkreślał, iż wobec niebezpieczeństwa sowieckiego i znanej taktyki komunistycznej tym ważniejsze staje się zagadnienie jedności narodowej, opartej nie tylko o mechaniczną współobecność przedstawicieli różnych kierunków, ale w pierwszym rzędzie o wspólne zasady programowe nad którymi właśnie krajowe czynniki polityczne pracują, rozbudowując deklarację czterech stronnictw z dn. 15 sierpnia 1943 roku. Pużak podkreślał, iż w Kraju wyczucie potrzeby tej jedności ogromnie wzrosło i współpraca stronnictw (poza ONR, NSZ i komunistami), ułożyła się pomyślnie i harmonijnie. Mniejsze ugrupowania jak Z.O.R., Stronnictwo Demokratyczne i Polska Niepodległa — są w trakcie tworzenia Zjednoczenia Demokratycznego, które również wejdzie do Rady Jedności Narodowej, podobnie jak katolicka organizacja “Ojczyzna” i chłopska “Raclawice”. “Bazyli” wyrażał wielkie uznanie dla wysokiego poziomu prac administracyjnych ówczesnego Delegata Rządu, wicepremiera na Kraj, Jankowskiego, który cieszył się pełnym zaufaniem stronnictw jedności narodowej. Jednocześnie polecono mi zwrócić uwagę Londynu na osiągnięcie jak najściślejszej współpracy czynnika politycznego (Stronnictw i Delegatury) z Armią Krajową pod dowództwem gen. Bora.

Natomiast Pużak nie szczędził krytyki pod adresem rządu londyńskiego, który, jego zdaniem, niewystarczająco informował Kraj o sytuacji międzynarodowej i o swych pracach. Jako znawca Rosji Pużak z wielkimi zastrzeżeniami przyjął entuzjastyczne oświadczenie radiowe premiera Mikołajczyka na



temat rzekomo wyjątkowo pozytywnych dla Polski wyników konferencji teherańskiej. Podobnie jak inni przywódcy podziemia, Pużak domagał się od Rządu i Naczelnego Wodza jasno sprecyzowanych instrukcji odnośnie stosunku do znajdujących się już we wschodnich ziemiach Polski wojsk sowieckich i zabezpieczenia przez Rząd w Londynie losu stykających się z armią sowiecką oddziałów podziemnych i cywilnej aparatury podziemnej. Doradzał wielką ostrożność i nieufność w stosunku do Sowietów. W związku z docierającymi już wówczas do kraju echemi swarów londyńskich, Pużak apelował, by na tle cierpień i zagrożenia Kraju zamilkły te waśnie.

„Jeśli my tu w obliczu nieustannych niebezpieczeństw potrafilibyśmy się zjednoczyć niechże oni tam ucichną, wstydu Polsce nie robią, i nie ułatwiają Moskwie rozgrywki z nami”.

W sprawach granic Pużak oświadczył dobitnie iż uważałyby za zdradę państwową jakiegokolwiek ustępstwo polskie na rzecz sowieckich apetytów imperialistycznych. Nie będzie, mówił, wolnej Polski bez wolnych Ziemi Wschodnich z Wilnem i Lwowem. Najmniejszych nie ma podstaw by właśnie Polska, pierwszy i najwierniejszy z aliantów, za swe niezmiernie ofiary w walce ze wspólnym wrogiem płacić miała jakimkolwiek ustępstwami na rzecz Rosji Sowieckiej — niedawnego sojusznika Hitlera. Takiej polityki, powiadał, kierownictwo Polski Podziemnej nie mogłoby zrozumieć”.

W końcowej fazie odprawy Pużak domagał się, podobnie jak przedstawiciele innych stronnictw jedności narodowej, rozdzielania funkcji następcy Prezydenta i Naczelnego Wodza. Podkreślał dobitnie, że stanowisko to nie jest wymierzone osobiście przeciw gen. Kazimierzowi Sosnkowskiemu, niemniej zasady demokratyczne, przyjęte powszechnie przez Polskę Podziemną, sprzeciwiają się łączeniu w jednej osobie tak istotnych funkcji państwowych.

Pużak podkreślał iż stanowisko następcy Prezydenta powinno być powierzone desygnatowi Polski Podziemnej. Wówczas dowiedziałem się, że PPS będzie się starało przerwąć w jak najszerszym terminie do Londynu swego Prezesa, Tomasza Arciszewskiego, który na zakończenie odprawy powiedział mi na pół żartem, że się zapewne wkrótce zobaczymy. Temu to zresztą spotkaniu przypisać należy, iż pod koniec tego samego roku zostałem sekretarzem premiera Arciszewskiego w Londynie.

Pużak domagał się by socjaliści polscy na Zachodzie dołożyli wszelkich starań, aby los Polski został jak najdokładniej przedstawiony socjalistom zachodnim i by wytłumaczyć przywódcę brytyjskiej Labour Party, że stosunek do sprawy polskiej będzie problemem siły ideowej socjalizmu europejskiego. A był to dopiero rok 1944.

◆  
Czytając w parę lat później sowiecki raport oficjalny z procesu „Szesnastu” w Moskwie poznałem od razu w zeznaniach

uwięzionego Prezesa Rady Jedności Narodowej tegoż nieugiętego człowieka, którego nawet oskarżyciele sowieccy musieli użłasnawać.

Po dwu latach więzienia Pużak doczekał się amnestii i wrócił do Warszawy. Miałem nadzieję, że może jednak, śladem polityków PSL, wydostanie się na Zachód, ale „Bazyli” nadal obstawał przy pozostaniu w Kraju.

W grudniu 1947 roku, już po procesie Kardynała Mindszentyego, sądzono Pużaka w Warszawie. Procesowi zapewniono szeroki rozgłos w kraju za pomocą audycji radiowych, nadawanych z sali sądowej.

Po przeczytaniu przez prokuratora aktu oskarżenia spuchnięty od tortur więziennych Pużak wstał i rzucił z pogardą w twarz swoich oprawców te proste słowa:

„Przed wami zeznań żadnych składać nie będę, boście nie są Sądem prawdziwej Rzeczypospolitej”.

To było ostatnie jego wskazanie.

Jerzy LERSKI

Pierwsza książka wysiedleńca wydana w Ameryce

JÓZEF WYRWA

## PAMIĘTNIKI PARTYZANTA

288 str. oraz liczne zdjęcia partyzanckie.

Cena opr. brosz. \$ 2.50, opr. płóc. \$ 3 wraz z przesyłką poczt.

Część II poświęcona jest

sprawie Tadeusza Wyrwy,

który odmówił wstąpienia do wojska amerykańskiego.

Do nabycia u autora. Adres: J. Wyrwa, 1253 N. Hoyne Ave

Chicago 22 Ill.



## Sprawy krajowe

### Wołania o ratunek

Prawie do zimy roku ubiegłego ilość listów, nadchodzących z kraju utrzymywała się mniej więcej na tym samym poziomie, co w miesiącach uprzednich. Gwałtowna zmiana nastąpiła późną jesienią, tak, że w ciągu kilku tygodni przyszy zaledwie dwa listy. Nowe zarządzenie o osobistym wręczaniu listów idących zagranicę na poczcie zrobiło swoje. "Nie dziwcie się, że już dawno do Was nie pisałem — czytamy w liście stałego korespondenta, chłopca z Polski Zachodniej — otóż teraz jest bardzo trudno spowodować, że przy zdawaniu listu list musi być odkryty i ma przejść przez kontrolę i tylko kombinacyjnie można wysłać taki list..." Jednak od początku marca listy zaczęły znów napływać, choć, rzecz prosta, w znacznie mniejszej ilości, niż dotychczas. Przychodzą z dużym opóźnieniem, niekiedy dwu i trzy-miesięcznym; wspomniana "kombinacyjność" wymaga czasu i nieraz zdarza się, że list pochodzący z jakiejś śląskiej osady fabrycznej czy pomorskiej miejsciny, obróci dwa razy przez ocean, zanim dotrze do Madrytu. W jesieni 1949 odezwał się słuchacz zza Uralu; rekord ten w rok później został pobity, gdyż przyszedł list z Wschodniej Syberii, pisany przez człowieka, od trzydziestu lat znajdującego się na zesłaniu.

Nic się właściwie nie zmieniło, jeśli chodzi o społeczny charakter korespondentów; jak dawniej, ponad czterdzieści procent to robotnicy (z przewagą ciężkiego przemysłu), około trzydziestu — młodzież szkolna (nie uniwersytecka), nieco niższy odsetek chłopów, znikoma mniejszość — inteligencja. I jak dawniej, przodują województwa zachodnie, wyjąwszy jedno wschodnie (konkretnie: dwa, trzy powiaty, których nazwy tu nie wymienię).

W listach robotniczych i młodzieżowych dominuje przygnębienie, spowodowane rosnącym naciskiem politycznym — przygnębienie i niecierpliwość: chłopcy piszą najczęściej o sytuacji gospodarczej, o walce z "kułakami", a ostatnio o przymusowym skupie zboża. "Jak kto całkiem nie miał już co odstawić —

skarży się wspomniany powyżej korespondent — no, to szanowna komisja od skupu zbytniego zboża nocami malowali na ścianach na bramach na drzwiach pokostową farbą — "kułak shował zboże", — ale chcieć kupić pokostu, no to nigdzie niema, a radio krzyczy że to biedniacy krytykują kułaków..." "Nic to powiadają, że teraz jesteście głodni ale po sześciu latach będziecie wam dobrze bo to przeciesz wszystko do realizacji planu sześcioletniego... Jeżeli tak samo zaczną skupować nadwyżkę kartofli jak zboże to dużo obywateli już wtem roku zakończą plan sześcioletni, nie potrzebują czekać całe sześć lat".

Powszechne zmęczenie społeczeństwa przebija się w ostatnich miesiącach coraz silniej, a w parze z nim idzie rosnące rozgoryczenie do Zachodu, że nie zabiera się energicznie do Sowietów. "Jeżeli komuś powiedzieć — pisze inny chłop z Nadodrza, — że jeszcze tak potrwa choćby dwa lata, to tylko ręce załamie i westchnie głęboko, a inny to jeszcze gorzko zapłacze". Wciąż powraca leitmotiv, częsty już w listach sprzed roku: "Już oni nas wykończą, lepsza śmierć niż takie życie; tylko nadzieja trzyma jeszcze przy życiu".

"Powiedzcie tym tam na Zachodzie — pisze grupa górników — żeby przestali chwalić się przez radio, jak to oni ratują pokój świata. Na temat pokoju to my tu mamy dość naszej rodzimej propagandy, a białe gołębki to już każdemu dawno w gardle stoją". "Przez nasze okolice — informuje chłop, wysiedleńca z Wileńszczyzny — bardzo dużo wojska rosyjskiego ciągnie w kierunku na Zachód. Tem się bardzo cieszymy, że może jeszcze w tym roku ten raj się skończy..." Wypadki koreańskie odbiły się początkowo głośnym i radosnym echem w wielu listach. "Jeżeli nigdy tyle forsory ludzie na wódkę nie wydali co po wylądowaniu Amerykanów w Korei..." "Co z tym równoleżnikiem? — zapytuje inny korespondent. — Iść naprzód, o nic nie pytać i na dokładkę bombą atomową po Moskwie..." Z biegiem czasu fala nadziei opadła i wrócił dawny ton przygnębienia. "Kiedyż nareszcie ta wojna?" — oto najczęściej powtarzające się pytanie, choć w różnej, nie zawsze bezpośredniej formie wyrażone.

Rzadko kiedy piszący potracają o rolę polityczną emigracji. Czasem ktoś, po wyrażeniu wdzięczności za audycje ("Które podtrzymują nas na duchu i dają pokarm duchowy"), doda parę słów nadziei, że Polacy na obczyźnie "gruszek w popiele nie zaśpią" i sprawy narodowej "zaprzepaścić w kancelariach dyplomatycznych nie pozwolą". Kiedy indziej czyta się cierpkie uwagi, których lepiej nie powtarzać, by nie zakłócić błędnego samopoczucia geniuszom politycznym — i tym, co "popierają", i innym, trwającym w "niezłomnej opozycji". Na marginesie: ostatnio odbyła się między słuchaczami audycji madryckich swoista polemika, o której warto wspomnieć, gdyż z jednej strony dowodzi istnienia wielu starych zapiekłych kompleksów, z drugiej — świadczy o nieświadomym przyjmowaniu oszczerstw i fałszerstw reżimowej propagandy. Nadszedł obszerny list, pod-



pisany przez grono słuchaczy z dużego fabrycznego miasta, a poruszający sprawę katastrofy gibraltarskiej. Podpisani energicznie zapowiadają, że nikt z polityków i wyższych wojskowych emigracyjnych nie uzyska powrotu do przyszłej Polski, zanim sprawa ta nie zostanie dokładnie wyjaśniona. Nikczemna książka Strumpfa-Wojtkiewicza nie przeszła, jak widać, bez echa. Radio madryckie odpowiedziało na list, wykazując całą bezpodstawność podejrzeń i wskazując, że jeśli istotnie dopuszczono się sabotażu, dokonali tego na pewno nie polskie ręce. Odpowiedź ta wywołała natychmiast reakcję paru słuchaczy. "Gdy w Warszawie komentowano w roku 1943 śmierć generała Sikorskiego — czytamy w jednej z replik, — jedni obwiniali Anglików, drudzy Sowiety, a trzeci mówili, że to robota sowiecko-angielska, a brali pod uwagę i to, że pilot prowadzący samolot, był Czechem, a czy to brak było w Anglii polskich pilotów?" "Albo ci ludzie nie zastanowili się nad tym, co pisali — replikuje energicznie inny korespondent, — albo to prowokacja komunistyczna. Generał Sikorski cieszył się w kraju wielką popularnością, a po jego śmierci wszystkie oczy zwróciły się z nadzieją na generała Andersa".

Większość słuchaczy skarży się na rosnące trudności przy odbieraniu audycji i prosi o dodanie jeszcze pół godziny w późnych godzinach wieczornych. Prośba ta równie często powtarza się w listach, otrzymywanych z emigracji, głównie z terenu Anglii, Francji i Niemiec. Są dowody, że w dalszym ciągu audycji madryckich słuchają nie tylko Polacy. Oczywiście, słuchacze nie-polscy rekrutują się z emigracji słowiańskich: ukraińskiej, białoruskiej, rosyjskiej, słowackiej, czeskiej, a także litewskiej. Parokrotnie użyczono gościny Litwinom, na przykład w dniu święta narodowego, oddając im połowę czasu. Jugosłowianie zwracali się kilkakrotnie za polskim pośrednictwem do Dyrekcji Radia z prośbą o własną audycję.

Powracając do korespondencji z kraju i reasumując powiedziane, trzeba stwierdzić co następuje: 1) Znaczne zmniejszenie się korespondencji (o jakieś 80 procent) od początku zimy, spowodowane obostrzoną kontrolą pocztową; 2) Rosnące zmęczenie i przygnębienie społeczeństwa, jaskrawo przebijające z każdego listu; 3) Nastawienie na wojnę, traktowane jako jedyny sposób wyzwolenia się spod reżimu komunistycznego; 4) Rozgoryczenie w stosunku do świata zachodniego, jego usiłowań ratowania pokoju i idącej po tej linii propagandy.

Uwaga marginesowa: prawie każdy korespondent pragnie, by mu odpowiedziano przez radio i pokwitowano odbiór listu. Niektórzy proszą o to w tym samym liście parokrotnie, jak gdyby obawiali się, że ich życzenie pozostanie niezauważone.

Józef ŁOBODOWSKI.

Madryt, kwiecień 1951.

## Archiwum polityczne

### List z Niemiec

Porozstawiane po miastach dźwigi, bagry, betoniarki i rusztowania, wystawy przeładowane wszelakim dobrem, a specjalnie mięsem i wędlinami — to pierwsze co się rzuca w oczy każdemu, kto przyjedzie na teren Niemiec. I jeszcze coś! Olbrzymi rozwój prasy. Dziesiątki dzienników, chyba setki tygodników ilustrowanych. Rzecz jasna, że ten obraz, to jakby fasada współczesnych Niemiec. Spróbujmy zajrzeć za kulisy.

Nie będzie to chyba przesadą jeśli stwierdzę, że obecne Niemcy Zachodnie stanowią najciekawszy teren polityczny w Europie. Tutaj zbiegają się i krzyżują wszelkiego rodzaju agentury, uruchomiane są aparaty propagandowe, aż roi się od korespondentów, wysłanników i obserwatorów różnego kalibru i wszelkiej maści. Podobnie jak Korea stała się pewnego rodzaju poligonem wojskowym — Niemcy przekształcone zostały w poligon polityczny. Tutaj także przeprowadzane są doświadczenia na skomplikowanym organizmie do niedawna okupowanych Niemiec. Tu także toczy się walka. Walka o przyszłego sprzymierzeńca.

Zadajmy sobie teraz pytanie jakiego rodzaju przeobrażenia dokonują się w tym narodzie po ostatniej bezprzykładnej klęsce — i co jest jeszcze ważniejsze — po totalnej kompromitacji panującej w tym kraju ideologii.

Wydaje mi się, że cechy narodowe są statyczne. Tylko na przestrzeni wieków dokonują się w nich przemiany. Zdolności organizacyjne, pracowitość, pęd do industrializacji — to znane zalety narodu niemieckiego. Były, są i zostaną stałym dorobkiem tutejszej kultury. Ci sami ludzie, którzy za czasów Hitlera wylegali na ulice, aby defilować przed Führerem, oraz wznosić na jego cześć entuzjastyczne okrzyki, nadal żyją w Niemczech. Ci sami. Nie wymarli i nigdzie nie wyemigrowali. Tyle tylko, że już nie demonstrują swoich uczuć. A jakie są ich uczucia? Odpowiedź na pewno nie łatwa. Jedno można powie-



dzieć bez ryzyka popełnienia błędu: Naród czuje się oszukany. Ktoś dopuścił się figla, który w stosunku do narodu ma cechy największej zbrodni. W tych warunkach nikt nie ma odwagi ani chęci stawać w obronie wczorajszego "boga".

Wymieniając statyczne cechy narodu niemieckiego trzeba wspomnieć jeszcze o jednej. Naród ten, jak żaden inny, zdolny i chętny jest do podporządkowania się woli swoich przywódców. Gdzie indziej władza jest czymś, co można określić jako mniej lub więcej przykrą konieczność — tutaj natomiast — jest wynikiem organicznej potrzeby. Nie oznacza to bynajmniej, by można było traktować Niemców jako stado instynktownie tęskniące za pastuchem. *N i c p o d o b n e g o*. Niemcy, o czym zapominać nie wolno, są terenem periodycznych wstrząsów rewolucyjnych. Obserwują swoich przywódców, krytykują, a nawet pozbywają się ich siłą, gdy działalność ich nie zaspakaja ambicji narodowych. Niemcy więc — to organizm. Skomplikowany, dynamiczny, zdolny do wytwarzania woli zbiorowej. Wola ta czasem staje się niebezpieczna dla otoczenia, czasem dla nich samych. Klęska Trzeciej Rzeszy dla przeciętnego Niemca upodobniła się do klęski żywiołowej. Coś jak trzęsienie ziemi, coś jak wybuch wulkanu i zagaśnięcie słońca. Spód nóg usunęła się ziemia. Nic więc dziwnego, że cały naród niemiecki zastępywał w przerażeniu. Czy w pierwszym okresie wyciągał jakieś wnioski? Czy analizował przyczyny? Czy uznał własne winy i bił się w piersi? Sądzę że nie był wówczas zdolny do żadnego z tych aktów. Z początku nic nie rozumiał, a i dziś jeszcze wielu nie wiele rozumie \*).

Podobnie jak życie jednostki tak i całego narodu ujęte jest w codzienne prawa. Najgorszy nawet okres trzeba przeżyć i przetrwać. I wtedy właśnie Niemcy sięgają po swe statyczne cechy. A więc w oparciu o zdolności organizacyjne zabrali się z całym zapalem do pracy i odbudowy zniszczonego kraju. Organizacyjna potrzeba władzy, będącej w pojęciu tego narodu uwarunkowaniem normalnego życia, nie została jeszcze zaspokojona.

Na powyższą konkluzję naprowadziła mnie interesująca lektura, zamieszczona w "Süddeutsche Zeitung" z 31. 3. 51, omawiająca trzy powojenne opracowania książkowe generała Heinza Guderiana: "Erinnerungen eines Soldaten" — "Kann Westeuropa verteidigt werden" i ostatnio opublikowane "So geht es nicht". Recenzent jednego z najważniejszych dzienników południowo-niemieckich, pod wiele mówiącym tytułem: Guderian oder "So geht es nicht", pisze... "Znów chętnie idziemy za myślami pancernego generała, gdy ten jako autorzytet fachowy mówi o sprawach militarnych. Lecz inne jego wywody są zrozumiałe tylko dla tych co prawda dość licznych Niemców, dla których (jak i dla samego Guderiana) między 1939 a 1945 rokiem nie stało się nic rozstrzygającego i zasadniczo zmieniającego światową sytuację Niemiec".

Pragnę również wyjaśnić, zwłaszcza niemieckim przyjaciółom i niemieckim czytelnikom "Kultury", że swej konkluzji użyłem bynajmniej nie w celu skwitowania pana Dra von Dirksen, który w artykule pt. "Gespräche mit Exilpolen?" ("Der Schlesier-Breslauer Nachrichten" z 5. 2. 51) twierdzi: "kierownicy emigracyjnych Polaków niczego nie nauczyli się i niczego nie zapomnieli." (Przypisek autora).

Czy można się temu dziwić? Pomyślmy, jakie hasła mogą głosić dzisiejsi politycy niemieccy, aby zdobyć popularność. Pacyfizm? Odwet? Doprawdy, opracowanie realnego programu politycznego dla dzisiejszych Niemiec, jest niewdzięcznym zadaniem. A jednak widzimy, że Niemcy powoli i ostrożnie zaczynają realizować już swój własny program. Jest on na pewno ograniczony w czasie, ale za to ściśle dostosowany do dzisiejszych warunków. Nie zapominajmy, że Niemcy są rozcięte na dwie nierówne części. Podział ten nie ma nic wspólnego z normalną okupacją kraju. Niemcy Zachodnie znalazły opiekę w zdezorientowanej administracji anglo-amerykańskiej. Wschodnia część Niemiec kierowana jest przez aparat sowiecki, który dąży konsekwentnie do wyznaczonych celów. W tych warunkach jedyną polityką jaką może prowadzić ten kraj — to obrona przed skutkami ideowej i bezideowej okupacji. Ideowa jest bardziej niebezpieczna, bezideowa — tylko drażniąca.

Obrona przed skutkami okupacji to tylko pierwszy, ale nie ostatni nakaz polityki niemieckiej — zjawiała się bowiem trudność. Rozwój sytuacji międzynarodowej zmusza Niemców do wyboru: iść z Zachodem czy z Rosją Sowiecką? Jeszcze dzisiaj niektórzy politycy niemieccy stawiają sobie to pytanie. Gdyby to było możliwe, nie poszliby z nikim. W obecnym okresie najchętniej chcieliby żyć swoim własnym życiem, z dala od wszelkich konfliktów, aby zagoić rany, odpocząć i wrócić do równowagi po ostatnim wstrząsie. Niestety — tertium non datur — trzeba wybierać! W konieczności tej kryją się największe niebezpieczeństwa, jakby zarodki nowej klęski. Gdyby konflikt między Zachodem i Wschodem aż do końca toczył się tylko w eterze, w prasie, i na terenie organizacji międzynarodowych, wówczas sprawa byłaby prosta. Niemcy stanęłyby po stronie Zachodu. Niestety, każdy rozsądny człowiek musi się liczyć z tym, że zimna wojna, systematycznie podgrzewana, może się przekształcić w gorącą. W bardzo gorącą. Opowiedzenie się po stronie Rosji chroniłoby częściowo kraj przed skutkami barbarzyńskiej okupacji wschodniego najeźdźcy, ale samo złagodzenie okupacji i to w dodatku tylko chwilowe, nie może być celem polityki poważnego męża stanu, zwłaszcza jeśli za tego rodzaju oportunizm trzeba będzie w ostatecznym rozrachunku zapłacić bardzo wysoką cenę. Jaka to będzie cena — dzisiaj niepodobna ustalić. Jedno natomiast jest pewne. Niemcy za żadną cenę nie chcą znaleźć się po raz trzeci w obozie zwyciężonych.

A więc po namyśle trzeba wybrać Zachód. Jest to nakaz rozumu. Niemcy wierzą w potęgę przemysłu, zwłaszcza amerykańskiego. Ale i ten wybór kryje w sobie zadatki klęski. Znalezienie się w obozie zwycięskiego Zachodu i związane z tym korzyści polityczne, oglądane z perspektywy, są na pewno bardzo nęcące. Ale jeśli przyjrzeć im się z bliska, wówczas u żadnego Niemca nie mogą budzić entuzjazmu. Czy miasta niemieckie, po zwycięskiej nawet dla Niemców wojnie, nie upodobnią się do



koreańskiego Seulu? Czy nawet chwilowa okupacja sowiecka, traktująca ludność niemiecką jako swego wojskowego i politycznego wroga nie przybierze form, które Niemcy znają już z terenów Prus i Śląska. Takie pytania na pewno muszą budzić grozę. A zaraz potem zjawić się musi jeszcze inne bardziej niepokojące pytanie: — jaki potencjał ludzki i gospodarczy będą mogli Niemcy zaprezentować po wojnie, kiedy zasiadać będą do wspólnego stołu ze swoimi sprzymierzeńcami, aby dokonać ostatecznego rozrachunku i podziału ról w nowobudującym się świecie?

Niemcy są obecnie realnymi politykami. Wczoraj jeszcze entuzjastowali się swoją, niemiecką siłą. Dzisiaj natomiast nie zdolni są do egzaltacji, jeśli chodzi o siły nawet najbardziej życzliwego alianta. Interesów swych nie chcą opierać na ideologicznych zasługach i na wkładzie krwi swego żołnierza. Wiedzą, że ma to wagę, a nawet wysoką cenę, w okresie wojny. Natomiast w układach pokojowych liczyć się będzie tylko realny potencjał kraju. Ten właśnie relatywny układ sił po wojnie musi niepokoić polityków niemieckich. Ujmując sytuację lapidarnie można powiedzieć, że droga do ewentualnego zwycięstwa Niemiec prowadzi ich przez piekło, — droga zaś do klęski jest łatwiejsza, prowadzi bowiem tylko przez życie.

Tragizm dzisiejszych Niemiec polega nie na bankructwie politycznym i nie na skutkach przegranej wojny, lecz na wciąż pogłębiającej się konieczności dokonania wyboru między Wschodem a Zachodem. A ponieważ decyzja ta może przyspieszyć sam konflikt, — nie możemy się dziwić, że Niemcy pragną tę decyzję odłożyć. W tej sytuacji, jak w klasycznej tragedii, zjawia się "wstawka" przypominająca farsę. Mam na myśli kłótnie Niemiec przez obie strony przygotowujące się do starcia. Po jednej stronie kuszenie bankiera, który chciałby kupić krew niemieckiego żołnierza, a po drugiej — umizgi diabła. Całe nieszczęście polega na tym, że w przeciwieństwie do swego bezideowego kontrpartniera — diabeł nie może wyzbyć się swojej "religii". I to właśnie przekreśla jego szanse. Niemcy bowiem nie chcą komunizmu w żadnej formie i w żadnym, **nawet gotyckim**, wydaniu. Na razie licytacja trwa i Niemcy z obu stron otrzymują prezenty.

Sytuacja polityczna w jakiej znalazły się Niemcy jest bardzo skomplikowana. Droga, po której będą musiały kroczyć, wymaga więc najrozmaitszych asekuracji. W pierwszej kolejności wymienię asekuracje ideologiczne. Niemcy w obecnej dobie pragną być jak najbardziej liberalne i jak najbardziej ugodowe. Nawet budzący się rewizjonizm rozważany jest na płaszczyźnie czysto pokojowej, a więc platonicznie. To może się zmienić i przybrać formy bardziej sprecyzowane i agresywne. Może, lecz nie musi. Innego rodzaju asekuracją ideologiczną jest chęć bezpośredniego porozumiewania się ze wszystkimi, którzy takiego porozumienia szukają. Plan Schumana początkowo był przyjęty przez opinię niemiecką dość życzliwie. Sądzę, że z takim

samym przyjęciem spotkałyby się wszystkie układy proponowane przez sąsiadów z zachodu, z południa i ze wschodu. Wyjątek może stanowićby Polska. Nie znaczy to bynajmniej, aby Niemcy w zasadzie nie chciały pertraktować z nami. To sam problem w obecnym okresie jest tak kłopotliwy i trudny, kryje w sobie tak różnorodne niebezpieczeństwa, że najchętniej temat ten odłożono by na później. Z naszego punktu widzenia sprawa także nie jest łatwa i wymaga osobnego omówienia.

Dramatem Niemiec jest rozdzielenie ich na dwie odrębnie administrowane części. A jednak i ten stan kryje w sobie pierwiastki niejakiwej asekuracji. Nie jest to już asekuracja ideologiczna, nie mniej jednak bardzo ważna, bo może uratować najbardziej żywotne interesy tego narodu. Nie trzeba zbyt wielkiej wyobraźni, aby wytłumaczyć sobie na czym ten interes polega. Gdyby Niemcom zaproponowano dziś zjednoczenie z tym jednak warunkiem, że natychmiast po zlaniu się w jeden organizm przystąpią do wojny, to wątpliwe czy tego rodzaju oferta zostałaby przyjęta. Jeśli nie można ominąć wyboru, jeśli trzeba wziąć udział w przyszłej ewentualnej wojnie, to już lepiej pozostać w rozdzieleniu. Miecz uderzający ze Wschodu, jeśli choć częściowo będzie w rękach niemieckich, nie wytępi narodu, a nawet chronić go będzie przed własnym swoim sprzymierzeńcem. I tej właśnie asekuracji Niemcy wcale nie pragną się pozbywać. Rzecz jasna, że o tym niewiele się mówi i jeszcze mniej pisze, gdyż ta "asekuracja" w znacznym stopniu może redukować atrakcyjność niemieckiego oręża i studzić zachodniego licytanta. Niemcy ludzą się — a może i nie ludzą — że świat zachodni nie dostrzeże tego i zapłaci pełną i wygórowaną cenę.

Niemcy nie tylko asekurują się, ale szukają także dla siebie nowych dróg. Aczkolwiek w porównaniu do Ameryki są narodem starym i doświadczonym — nie utracili dynamizmu. Wyposażone są w doskonałe mózgi i w znakomitą sprawność techniczną robotnika. Jeśli dodamy pracowitość i zdolności organizacyjne, otrzymamy obraz dość kompletny. Mam wrażenie, że na tych cechach i walorach naród ten chce budować swoją przyszłość. Na opracowanie konkretnego programu jest jeszcze zbyt wcześnie. Najwyżej kształtują się tylko założenia dla mającego powstać planu przyszłości. Politycy niemieccy w znacznej większości zrozumieli już, że świat, który wyłoni się po mogącej nastąpić wojnie, nie będzie miał wiele wspólnego z tym światem, który ostatecznie zaczął się zapadać we wrześniu 1939 roku. Indywidualnie prowadzona polityka na zasadach suwerenności poszczególnych państw — to przyszłość niewskrzyszalna. Ewentualna supremacja Amerykanów, po wygranej przez nich wojnie, wcale nie będzie wykluczała możliwości prowadzenia jakiegokolwiek polityki na terenie Europy. Możliwości te będą nie mniejsze niż dawniej, choć będą zupełnie inne. Niemcy w przewidywaniu tych zmian już dziś gotują się do odegrania roli, która może nie w zupełności odpowiada ich



ambicjom narodowym z okresu Hitlera, niemniej jednak okazać się może w przyszłości korzystniejsza i trwalsza. Ażeby ocenić siłę trzeba mieć na uwadze jej relatywność. Niemcy na pewno będą słabe w stosunku do Ameryki, natomiast pozostaną silne w stosunku do takich narodów jak Polacy, Węgrzy, Czesi, Słowacy, Rumuni. Bo nawet gdybyśmy założyli, że cały przemysł niemiecki skutek działań wojennych rozpadnie się w gruzy, to i tak pozostanie im siła w postaci tradycji, przygotowania i wiedzy technika i robotnika. Sprawność techniczna oparta na starej kulturze zupełnie wystarczy, aby Niemcy jeszcze raz odbudowały swój kraj i przemysł, a następnie objęły kierownictwo nad innymi narodami. Mam wrażenie, że znaleźliśmy się jakby u podłoża, na którym kształtować się będzie przyszła myśl polityki niemieckiej.

Chcę być dobrze zrozumiany i dlatego stwierdzam, że prowadzenie rozmów polsko-niemieckich i zawarcie jakiegoś porozumienia uważam za bardzo potrzebne. Leży to w interesie obu stron.

Rozmowy te nie będą łatwe. Istnieje cały szereg wzajemnych urazów, a ponadto w społeczeństwie polskim żywa jeszcze pamięć nasuwa obrazy zbrodni niemieckich z okresu ostatniej wojny. Można o nich nie mówić, można część grzechów odpuścić, ale trudno żądać abyśmy o wszystkim zapomnieli. Trudno wymagać od żyjących ludzi, aby wymazali z pamięci ojca, brata, siostrę, lub matkę, którzy zamęczeni zostali w więzieniach i obozach niemieckich. Również i z drugiej strony istnieje pewna suma słusznych do nas pretensyj. Gwałty i rabunki na Śląsku i na Pomorzu — kierowane wprawdzie przez czynniki sowieckie — były niestety częściowo dokonywane polskimi rękami. Mam odwagę mówić o tym głośno i nie pomniejszać zbrodni. Tego rodzaju win nie traktuje się lekko. To nie są pozycje w bilansie, które można skreślić dlatego tylko, że któraś ze stron zbankrutowała. O tym wszystkim piszę nie w celu wzajemnego wypominania wyrządzonych krzywd, lecz by wykazać z jakimi trudnościami muszą się liczyć obie strony. Polityka nie bazuje wprawdzie na uczuciach, ale musi liczyć się z nimi.

Punktem wyjściowym do rozmów polsko-niemieckich — tak przynajmniej wyobrażają sobie liczni politycy obu stron — są obecne granice, wyznaczone pomiędzy Polską i Niemcami. Uważam, że takie postawienie sprawy w samym swoim założeniu przesądza negatywnie rezultat jakichkolwiek rozmów. Pomijam już fakt, że nikt z przebywających na Zachodzie Polaków, i to bez względu jakie piastuje stanowisko, nie jest upoważniony do tego rodzaju targów. Gdyby nawet znalazł się jakiś polityk-Zagłoba, który by tym razem zaoferował polskie Niderlandy zachodniemu sąsiadowi, to przecież natychmiast zostałby zdezawuowany nie tylko przez opinię emigracyjną, ale także i w Kraju. Pomijam już fakt, że tego rodzaju układ byłby od początku do końca nieważny, a przez to nikogo nie obowiązujący,

zujący, ale skutków tego rodzaju rozmów lekceważyć nie można. Samo rozpoczęcie dyskusji na tematy graniczne byłoby najlepszą prosowiecką propagandą. Wyobrażamy sobie tę "patriotyczną" furię prasy drukowanej po polsku, a inspirowanej przez Moskwę. Wyobrażamy sobie te gromy, te wyzwiska sygnujące się nie tylko na polityka-Zagłobę, ale i na rząd R.P. w Londynie, na całą emigrację, na Związkowy Rząd Niemiecki w Bonn, na Anglię i wreszcie — na "inspiratora wszelkich zbrodni" — Rząd Stanów Zjednoczonych A.P.. Byłaby to prawdziwa uciecha dla agentów sowieckich, pełniących obowiązki polskich polityków z siedzibą w Warszawie. Tego rodzaju atak umiejętnie poprowadzony wywołałby skutki jak najmniej pożądane z punktu widzenia interesów polskich i niemieckich. Kraj straciłby resztę zaufania do rozumu i dobrej woli tych Polaków, którzy chcą reprezentować interesy polskie na Zachodzie. A więc jeżeli mamy rozpocząć jakieś rozmowy to na miły Bóg nie rozpoczynajmy ich od granic.

Ażeby móc rozpocząć jakiegokolwiek pertraktacje z Niemcami trzeba się zdobyć na olbrzymi wysiłek. My ze swej strony musimy dużo zapomnieć, Niemcy natomiast winni uznać naszą dobrą wolę. I jeszcze coś. W rozmowach tych musimy wyprzedzić czas i operować kategoriami, które obowiązywać będą dopiero "jutro". Musimy ponadto pamiętać, że w pertraktacjach od początku do końca zdani będziemy na własne siły i tylko na obopólną dobrą wolę. Układom naszym bowiem nikt patronować nie będzie. Obawiam się nawet, że tego rodzaju układy mogą być niektórym sprzymierzeńcom wcale nie w smak. Znacznie bowiem wygodniej pozostawać nadal arbitrem aniżeli kontrahentem pogodzonych stron.

Coraz więcej Polaków i Niemców wyczuwa potrzebę zerwania z tradycją stałych walk i sporów. Nawzajem wytepić się nie możemy, żaden z sąsiadujących ze sobą narodów "wyprowadzić się" nie chce i nie może, więc skazani jesteśmy na współżycie. Chodzi tylko o to czy układać się mamy o modus vivendi, czy też uważamy za korzystniejszy układ gwarantujący nam możliwość trwałej i zgodnej współpracy. Przeszłość historyczna, tradycje narodowe i cały szereg rzeczywistych win i zbrodni — wszystko to utrudnia wyciągnięcie rąk do zgody. Powtarzamy wprawdzie codziennie słowa... "odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy...", ale te słowa Ewangelii rzadko kiedy stosują się w życiu jednostki, a już prawie nigdy nie stosują ich narody. Nienawiść i chęć zemsty to tak jak poruszone wahadło — pozostaje w ciągłym ruchu, choć biegnie raz wprzód, raz wstecz. A więc kto się odważy pierwszy zrezygnować z rewanżu i wstrzymać ten ruch wahadła?

**Bogdan KONASZEWICZ.**



## List z Wyspy

(Od londyńskiego korespondenta "KULTURY")

### Geografia poglądów.

Polacy dzielą współczesny świat na dwa obozy: atlantycko-amerykański i rosyjsko-satelicki. Sebastian Haffner powie nam jednak, że uprzedzamy rozwój wydarzeń. Albowiem paradoksem doby obecnej jest fakt, że jedyna potęga, która mogłaby sięgnąć po władztwo nad światem nie chce tego uczynić; natomiast druga potęga (Rosja) nie mając po temu dostatecznych środków materialnych zdecydowana jest mimo to sięgnąć po światowy "rząd dusz".

Komentując politykę Waszyngtonu Haffner stwierdza, że w chwili obecnej nie żyjemy jeszcze w świecie podzielonym na dwa obozy. Do opanowania świata dąży tylko Rosja. Amerykanie posiadają wprawdzie materialne możliwości rządzenia światem nie są jednak ani imperialistami ani misjonarzami i wskutek tego nie pragną ani nowych terytoriów ani "rządu dusz". Pragną tylko jednego — pokoju i zgodnej współpracy wszystkich ze wszystkimi.

Tym, którzy się interesują psychologią polityczną Amerykanów Haffner doradza studium historii Stanów Zjednoczonych. Ameryka stanowi państwo, które jest typem i klasą samo dla siebie. Od pokoleń Amerykanie przywykli do tego, że politycznie sąsiadują ze światem, który jest zupełnie inaczej rządzony i zorganizowany niż ich kontynent. Stąd głęboko zakorzenione przekonanie, że tolerancja ideologiczna i polityczna stanowią fundament współpracy międzynarodowej.

Wiele światła na współczesny profil polityki amerykańskiej rzucają dzieje wojny domowej. Niewolnictwo uważano powszechnie za hańbę, jednak nie niewolnictwo było przyczyną wojny przeciw stanom południowym. Kwestią zasadniczą było natomiast pytanie, czy należy zezwolić na rozszerzenie niewolnictwa również i na nowo otwarte terytoria zachodu. Wojna wybuchła gdy stany południowe wystąpiły z Unii i odwołały się do przemocy. Wówczas dopiero obalenie niewolnictwa stało się jednym z głównych celów wojny. Ta pierwsza w dziejach, totalna wojna zakończyła się pierwszą w historii nowoczesnej bezwarunkową kapitulacją.

Podstawny — powiada S. Haffner — Rosję w miejsce stanów południowych, komunizm w miejsce niewolnictwa a będziemy mieli przed sobą schemat myślowy współczesnej polityki amerykańskiej w stosunku do Rosji.

Joseph Harsh w swych doskonałych komentarzach z Waszyngtonu podkreśla, że Amerykanie czerpią swój optymizm ze świadomości, że materialnie biorąc są pierwszą potęgą świata i dzięki temu mogą decydując wpływać na losy Stanów Zjed-

noczonych. Innymi słowy wiedzą, że panują nad swoim przeznaczeniem.

Nie wszyscy są w takiej sytuacji. Znakomity historyk brytyjski prof. Arnold Toynbee wyraził na łamach "The Observer" następującą opinię: "Świadomość, iż straciliśmy kontrolę nad naszym losem jest źródłem naszego (Brytyjczyków) niezadowolienia i niepewności".

Wśród angielskich poglądów politycznych chciałbym zwrócić uwagę na trzy, najbardziej charakterystyczne. Zaczniemy od poglądu lewicowego, który będzie najbardziej sprzeczny z polskim punktem widzenia. Filozofia lewoskrzydłowa znalazła niewątpliwie najpełniejszą formę w artykule Kingsley Martina (red. "New Statesman & Nation"), opublikowanym świeżo w amerykańskim lewicowym tygodniku "New Republic". W artykule tym czytamy: "Komunizm w odróżnieniu od pruskiego Wehrmachtu jest światowym ruchem społecznym, który już ugruntował sobie drogę, przeważnie bez pomocy czerwonej armii, od Odry do Władywostoku i Pekinu. Komunizm rozszerzy się na cały świat jeżeli zamierzamy przeciwstawić mu się jedynie zaproszenie do całkowitej ruiny moralnej i finansowej, spowodowanej zbrojeniami reszty świata z Niemcami, Japonią i Hiszpanią łącznie".

Kingsley Martin jest nie tylko lewicowym pisarzem lecz również Anglikiem i dlatego w pewnym stopniu sprowadza dyskusję z wyżyn ideologicznej dysputy do poziomu tzw. "polityki realnej". Klucz do jego rozumowania tkwi w następującym zdaniu: "Przyczyną dla której większość Brytyjczyków wydaje się obecnie nastrojona anty-amerykańsko leży w tym, że podczas gdy dla Amerykanów od r. 1865 wojna jest odległą sprawą, dla nas, od r. 1945 wojna oznacza po prostu groźbę całkowitego zniszczenia".

By zrozumieć tego rodzaju wypowiedzi trzeba się cofnąć 10 czy 15 lat w historię Labour. W dialektyce labourystowskiej termin "polityka" coraz wyraźniej nabiera treściowych cech słowa "socjologia". Jest to wiara w tzw. "inżynierię społeczną" (social engineering). Innymi słowy jest to pogląd, że techniką administracyjną opartą o naukowe metody badania można najskuteczniej rozwiązywać problemy polityczne. Administrowanie socjalistycznym "Welfare State" oparte jest na tej filozofii. Reprezentanci tej szkoły uważają, że większość problemów politycznych i społecznych rozwiązać można tylko wówczas, gdy istnieją możliwości równoczesnego rozwiązania szeregu zagadnień, związanych organicznie z problemem głównym. Napiętnowanie Chin jako agresora, czy wysrubowany program zbrojeń nie rozwiązują zagadnienia komunizmu, stwarzają natomiast serię nowych problemów i trudności na które nie ma odpowiedzi. Zgodnie z tym poglądem, dążenie do dobrobytu, ładu i sprawiedliwości społecznej jest jedyną receptą na komunizm, która ma sens.

Jeżeli jednak odcedzimy artykuł Kingsley Martina z dialek-



tyki lewicowej to jako esencja pozostanie stwierdzenie, że o ile dla Amerykanów wojna to jest zamorski "business" o tyle dla Anglików wiąże się ona bezpośrednio z groźbą zniszczenia ich kraju.

Z tych samych przesłanek zupełnie inne wnioski wysuwają atlantycy federaliści, których czołowym reprezentantem jest prof. Arnold Toynbee. Obecne stosunki pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a państwami Europy Zachodniej są — zdaniem Toynbee'go — w wysokim stopniu niezadawalające. Atlantyczką Spółkę cechują bowiem rażące dysproporcje. Stany Zjednoczone dysponują większą potęgą niż partnerzy zachodni, natomiast ci ostatni, mimo, że słabi, ponoszą bez porównania większe ryzyko niż Ameryka. Rosnąca przewaga materialna Stanów Zjednoczonych powoduje w konsekwencji również i "przewagę" Amerykanów w sprawach politycznych — co w praktyce zaczyna oznaczać, że wola rządu amerykańskiego jest obowiązującym prawem dla zachodnio-europejskiej wspólnoty.

Tradycyjny, staroświecki system dyplomacji na którym oparta jest maszynaria atlantycka sprzyja takiemu rozwojowi sytuacji. Jak długo bowiem ministrowie reprezentują w pełni suwerenne państwa, waga słów każdego ministra jest mierzona potęgą państwa, w imieniu którego dany minister działa. W takim proporcjonalnym systemie Stany Zjednoczone muszą mieć przygniatającą przewagę, co umożliwi rządowi amerykańskiemu stwarzanie faktów dokonanych w sprawach o żywociowej doniosłości dla Anglii i innych partnerów atlantyckich.

Abrytyjczycy mogli się pozbyć świadomości, że "stracili wpływ na własne losy" — jak określił to Toynbee — trzeba by przebudować Organizację Atlantycką w ten sposób, aby narody wchodzące w jej skład mogły wywierać wpływ na proces formacji wspólnej polityki atlantyckiej we wszystkich jej stadiach. Ten ideał jest do osiągnięcia tylko na drodze federacji.

Jest w tym coś na pozór paradoksalnego, że w dzisiejszym światowym układzie sił czysta suwerenność i niezależność stwarzają mniej możliwości do decydowania o losach państwa i narodu, niż udział w federacji mimo, że udział w federacji byłby równoznaczny z rezygnacją z pewnych atrybutów suwerenności. Tak jednak jest w istocie. Federacja ograniczałaby wprowadzenie suwerenności W. Brytanii ale równocześnie, ograniczyłaby suwerenność St. Zjednoczonych, uniemożliwiając rządowi amerykańskiemu decydowanie na własną rękę w sprawach "życia i śmierci" Anglii. Stany Zjednoczone zarówno dzięki potędze jak i wachlarzowi ich zainteresowań politycznych, obejmujących praktycznie cały świat, są dziś w możliwości powziąć decyzję, której konsekwencje mogą być niezmiernej wagi dla Anglii. Wielka Brytania ma dziś daleko mniej możliwości suwerennej decyzją polityczną postawić Amerykę wobec zagadnienia "życia lub śmierci".

Z tych przyczyn Toynbee widzi wielką korzyść w ewentualnej federacji, która zapewniłaby Anglii nie tylko głos przed powzię-

ciem decyzji lecz wpływ na formowanie polityki, której wynikiem byłaby decyzja.

"The Observer" wystąpił z projektem by jako wstępny krok do federacji powołano "Radę Federacyjną" w Waszyngtonie, złożoną z ministrów atlantyckich w randze ambasadorów. Rada byłaby stałym organem w odróżnieniu od dziesiątków komitetów, które zbierają się od czasu do czasu.

Tymczasem w praktyce nie realizuje się ani poglądu lewego skrzydła ani planów atlantyckich federalistów lecz oficjalną receptę rządu premiera Attlee. Następca Sir Stafford Crippsa, obecny minister Skarbu, Hugh Gaitskell, ujął tę formułę w następujących dwóch zdaniach: "Zbroimy się w celu utrzymania pokoju. Wierzmy, że jeżeli my i nasi sprzymierzeńcy będziemy silni — nie będzie wojny".

Ta recepta zawiera również imponującą kwotę £ 4.700.000.000 (przez trzy lata) programu zbrojeniowego. Wynosi to mniej więcej 12 i pół szylinga na głowę każdego mężczyzny, kobiety i dziecka — tygodniowo!

Rząd Labour jest zdania, że wprowadzenie zbrojenia nie rozwiązuje problemu, ale zapewnią może pokój, gdyż przypuszczać należy, iż Rosja nie zaryzykuje wojny przeciw koalicji przygotowanej i uzbrojonej. Lewe skrzydło nie podziela w całości tej opinii. Jak długo jednak rząd prem. Attlee jest przy sterze, lewe skrzydło na ogół solidarnie głosuje za rządem zarówno z poczucia dyscypliny partyjnej jak i z niechęci do konserwatystów. Jeżeli jednak dość dziwna taktyka wojny parlamentarnej jaką od dłuższego czasu prowadzi Churchill przyniesie w rezultacie wybory i zwycięstwo konserwatystom — polityka lewego skrzydła Labour nie byłaby wówczas niczym krępowana. Labour może się okazać znacznie groźniejsza dla konserwatystów jako opozycja niż obecnie jako partia rządząca.

Formuły i recepty Zachodu nie rozwiązują niczego. Spoza cyfr budżetów zbrojeniowych przeziara rozpaczliwa bezradność. Czyż można nazwać planem "zbrojenia dla pokoju"? Jeżeli Rosja nie podejmie wojny w najbliższych 2 czy 4 latach — produkowany obecnie sprzęt będzie w 90 % nadawał się na złom. Czy zatem całymi latami będziemy płacić po 12 szylingów tygodniowo, by czynić dla Rosji wojnę zbyt ryzykowną?

Gdyby Ameryka i Zachód zbroiły się z celem stworzenia tak przytłaczającej przewagi, by dawało to możliwość wymuszenia na Rosji usprawiedliwionych żądań — opłaciłoby się płacić i funta tygodniowo dla realizacji takiego planu.

Sebastian Haffner, którego artykuł cytowałem we wstępie tej korespondencji, pisze, że choćby Rosjanie byli nie wiedzieć jakimi fanatykami to przecież nie zwyciężą 104 milionów ton stali amerykańskiej swymi 35 milionami ton (produkcji rocznej).

Jest to bardzo mylny pogląd i mógł się zrodzić jedynie w głowie człowieka, który nie myśli europejskimi historycznymi kategoriami.



Rosja istotnie posiada trzy razy mniej stali niż Ameryka, ale różnica pomiędzy tymi dwoma kolosami polega na zupełnie czymś innym. Rosja swymi 35 milionami ton zdecydowana jest opanować świat — podczas gdy Stany Zjednoczone swymi 104 milionami pragną jedynie utrzymać obecny chaotyczny pokój.

O potęgę politycznej danego mocarstwa cyfry statystyczne nie mówią wszystkiego. Gdyby cyfry produkcji decydowały o zwycięstwie Hitler nie byłby opanował całej Europy w jednej błyskawicznej kampanii. Cyfra 1000 bomb atomowych również niczego nie mówi. Trzeba jeszcze znać plany polityczne i cechy charakteru tych, którzy te bomby dzierżą. 50 atomowych bomb sowieckich może zlikwidować erę, która rozpoczęła się Chrześcijaństwem w oparciu o Grecję i Rzym. 1000 bomb amerykańskich może w ogóle nie dojść do głosu.

Potęgą Rosji jest jej polityczny plan i fanatyczna wola zmierzająca konsekwentnie do jego realizacji. Słabością Stanów Zjednoczonych jest brak ambitnego planu i brak woli by sięgnąć po rząd nad światem, mimo że właśnie Ameryka a nie Rosja posiada materialną potęgę umożliwiającą realizację takiego planu.

Oto jest w światowym wydaniu hamletowskie: "to be or not to be".

Mamy ONZ, mamy Organizację Paktu Atlantyckiego, mamy dziesiątki i setki międzynarodowych komitetów i instytucji ale w tych ramach szamocze się spleśniała treść. Wiara w "równowagę sił", wiara w możliwość pokojowego współżycia tyrańskiego imperializmu z demokracją, wiara w konferencje i negocjacje, wiara w potęgę dyplomacji. W społeczeństwach demokratycznych jeszcze ciągle żywa jest osiemnastowieczna wiara w stopniowe udoskonalenie natury ludzkiej. Jeszcze ciągle powtarzamy frazę Benthama, że "narody są partnerami a nie rywalami w światowej społeczności". Wierzymy w perswazję, w debaty, w argumenty i ufamy, że za 10 czy 100 lat ludzkość zmądrzeje i zaprzestanie wojen, agresji i imperializmów.

Naczelnym cywilizacyjnym kryterium narodów anglosaskich jest pokój. Jeżeli jednak tym kryterium mierzyć nasz dorobek to trzeba stwierdzić, że zawiodły wszystkie kardynalne instytucje naszej cywilizacji bo w ich ramach nie zdołaliśmy ani zaprowadzić międzynarodowego ładu ani utrwalić pokoju.

Trzeba z takiego stanu rzeczy wyciągnąć konsekwencje. Wniosek jest jeden: ład i pokój w skali światowej można zaprowadzić tylko siłą. Jeżeli kiedyś powstanie realna i prawdziwa międzynarodowa organizacja, która objęłaby cały glob — nie urodzi się ona jako owoc postępu udoskonalonej natury ludzkiej lecz zjawi się jako twór polityczny siłą narzucony światu.

Nie oznacza to by Stany Zjednoczone okupować miały całą ziemię i rządzić autokratycznie przez swoich pro-konsulów. Oznacza to jednak, że Ameryka posiada dziś dostateczną moc by dać światu pierwszą realną w historii ludzkości organizację

międzynarodowego ładu, której ramieniem wykonawczym byłaby wojskowa potęga St. Zjednoczonych.

Innymi słowy, światowemu programowi Moskwy trzeba przeciwstawić światowy program Waszyngtonu.

Lecz jeżeli kiedyś to się stanie — to stanie się nie na skutek planowania amerykańskiego lecz... rosyjskiego. St. Zjednoczone potężne i uzbrojone mogą żyć obok bloku komunistycznego. Rosja jednak nie może żyć w sąsiedztwie potężnej Ameryki. Ludzie na Kremlu nie mogą budować bezpieczeństwa na tych samych zasadach co Amerykanie. "Siła fatalna" komunizmu pchać będzie Rosję ku konfliktowi, ku wizji czerwonego uniwersalizmu. Rewolucja musi zwyciężyć całkowicie lub upaść.

I wówczas przyjdzie moment, że demokracja amerykańska dojdzie do wniosku, iż stałe opłacanie się gangsterowi nie jest najpraktyczniejszą metodą. Wówczas Amerykanie z charakterystyczną energią i rozmachem przystąpią do likwidacji gangsterów i być może narzucą światu pewne ramy organizacyjne by uchronić się w przyszłości od wojen, które podejmowali dwukrotnie w pierwszej połowie bieżącego stulecia.

W czasie pokoju demokracje są niezdolne do żadnej imaginatywnej polityki zagranicznej. Masy wyborców po obu stronach Atlantyku pragną zawsze utrzymania "status quo". Wydaje się bowiem, że utrzymanie tego co jest pożądaną przez siebie najniższymi ofiary i pozwala na kontynuację interesów będących w toku. Stąd skłonność do ustępstw, do koncesji, stąd niewyczerpana gotowość do opłacania się gangsterowi dopóki na tej drodze utrzymać można "business as usual". Demokracje to są w ramy pewnego porządku prawnego ujęte egoizmy a nie falangi ideowych fanatyków marzących o triumfie swej wiary.

W ostatnich miesiącach zachodzą w technokratycznej demokracji amerykańskiej interesujące zmiany. Mamy do zano-towania pewien paradoks. Postęp techniczny zmusza do ciśnienia i wpływ czynnika emocjonalnego na politykę amerykańską. Nie brak głosów, że rozwój ten wywrze wielki wpływ na kształtowanie się amerykańskiej linii politycznej.

Mam na myśli... telewizję. Znaczący Ameryki tej miary co Kenneth Harris twierdzą, że sforsowana przez delegację amerykańską w ONZ rezolucja piętnująca Chiny jako agresora — była w olbrzymiej mierze wynikiem furii wywołanej "złą, fanatyczną i nieustępliwą twarzą Malika", którą dzień po dniu oglądały miliony Amerykanów na ekranach telewizyjnych. Dzięki telewizji miliony obywateli amerykańskich brało dosłownie udział w posiedzeniach ONZ a żywy Malik na ekranie grozący światu zaciśniętą pięścią wzbudził morze nienawiści.

Polityka oddziaływująca ze szpałt prasy nie może liczyć na taki oddźwięk emocjonalny. Przepaść dzieląca życie od druku jest olbrzymia i trzeba wielkiego wysiłku wyobraźni by ją po-



konać. Druk "uteoretycznia" wszystko a czarna farba przemawia do mózgu a nie do emocji.

Telewizja stosowana na tak powszechną i gigantyczną skalę jak w Stanach Zjednoczonych przywrócić może demokracji jej pierwotny grecki sens i wydatnie zmniejszyć absurdalny obecnie dystans między "people" a tymi, którzy rządzą "for the people".

Juliusz MIEROSZEWSKI

OD REDAKCJI

*Dwa ostatnie „Listy z Wyspy” p. Juliusza Mieroszewskiego wywołały wielką dyskusję i liczną korespondencję. Redaktor „Kultury” dziękuje autorom za nadesłane listy, których jednak jest zbyt wiele by mógł na nie odpowiedzieć indywidualnie lub je zamieścić w piśmie. P. J. Mieroszewski w jednym z najbliższych numerów omówi szczegółowo te głosy zamykając dyskusję.*

REDAKTOR.

SPROSTOWANIE

*Do artykułu pt.: „Rzecz idzie o Europę”, zamieszczonego w Nrze 4/42 „Kultury” zakradła się omyłka, mianowicie przedostatni ustęp tego artykułu (str. 17) winien brzmieć jak następuje:*

*„Wiemy natomiast jedno, że w ramach sfederalizowanej Europy Naród Polski zajmując musi należne mu miejsce, aby wreszcie i dla niego zaistniały w warunkach spokoju i równowagi możliwości rozwojowe, których nie posiadał do roku 1918, których nie mógł sobie zapewnić w okresie międzywojennego chaosu europejskiego, a które są systematycznie niszczone od roku 1939”.*

## Sprawy i troski

### Kronika emigracyjna

#### KRONIKA NIEMIECKA

##### Nagroda literacka gruźlików

Z terenu Niemiec wyszła jedyna w swoim rodzaju inicjatywa ufundowania nagrody, a może, jak mają nadzieje inicjatorzy, nagród literackich... gruźlików.

Na pierwszy rzut oka pomysł jest tak dziwny, że trzeba go wyjaśnić. Skoro w społeczeństwie "cywilnym" ludzie zdrowi raczej niewiele robili dla twórczości kulturalnej muszą się do tego zabrać chorzy.

Chorzy ci należą do kategorii najbardziej potrzebujących... słowa drukowanego, bo spędzając długie godziny na kuracji leżakowej, czytają, albo... chcą czytać. Stąd ich szczególne zainteresowanie polską twórczością kulturalną.

W komitecie nagrody literackiej zasiada m.in. kilku b. Akowców, co ma też symboliczne znaczenie: walka trwa — obecnie na odcinku wolnego słowa, które przecież musi być pisane, drukowane i czytane.

Istotnymi fundatorami nagrody mają być oczywiście nie gruźlicy, którzy mogą dać tylko ofiary symboliczne, ale Polacy w Niemczech.

Sąd konkursowy jest dwustopniowy, co jak mi się wydaje, jest zupełnie nowością. Komitet nagrody uprosił trzy osoby, a mianowicie J. Giedroycia, J. Stempowskiego-Hostowca i W. Zaleskiego o przedstawienie po dwu kandydatów do każdej nagrody, a sam dokona ostatecznego spośród nich wyboru.

Wyżej wymienieni przedstawiają indywidualnie swych własnych kandydatów.

Uzasadnienie specjalnego sensu takiego doboru laureatów wykraczało by poza ramy tej kroniki. Komitet nagrody literackiej zwraca się z apelem do Polaków w Niemczech o przysyłanie ofiar na fundusz nagród literackich pod adresem: IRO TBC Sanatorium, 13a, Amberg, Z. Słonczewski.

##### Zapraszanie do Ameryki

Sygnalizowaliśmy już zmianę w stosunku władz amerykańskich do emigracji D.P. Ileż to, jeszcze przed pół rokiem, trzeba było zabiegów, by zdobyć "assurance" czyli zapewnienie pracy i zamieszkania! Dziś na miejsce do baraków D.P. (psich bud) zjeżdżają przedstawiciele IRO i częstują gotowymi assurance'ami, przez prasę, radio i listy zawiadamia się, że każdy z d r o w y może jechać. IRO skarży się, że spośród



prywatnie mieszkających w Bawarii 18.000 D.P. wskutek tej akcji zgłosiło się... 200.

Jak nika właściwie ilość Polaków pozostaje w Niemczech, wynika z następującej statystyki strefy amerykańskiej (w której mieszka ok. 40 proc. Polaków) na 1 lutego br.:

1) W obozach IRO było	6.783
2) W obozach niemieckich	7.578
3) W mieszkaniach prywatnych	14.151
<b>Razem</b>	<b>28.151</b>

(Liczba "mieszkających prywatnie" obejmuje wartowników).

W lutym emigrowało ze strefy amerykańskiej 850 Polaków, a w najbliższych paru miesiącach tempo emigracji raczej wzrośnie. Wydaje się również, że inną drogą spadnie liczebność grupy trzeciej. Zostaną prawdziwi, zupełni inwalidzi, gruźlicy. "Hard core".

Któż kiedy znajdzie słowa na napisanie cichej tragedii pozostawionych w Niemczech! Dla mnie to wszystko nie są martwe cyfry, pojęcia, irowskie kategorie, ale szereg znajomych, żywych ludzi.

Witek W., góról z Podhala, przeprowadził na Węgry dziesiątki oficerów, lotników, kurierów. Potem kacet, gruźlica. Zostanie tu.

Sierżant P., ma trzech synów w Australii, zbudowali dla siebie i dla niego dom, czekają, piszą, starają się, biegają po urzędach. Ale sierżant P. zostanie tu. Plamka na piucu.

Pani X. (takich jest dużo, znam jedną...), ma męża w Kanadzie, pojechał, by potem sprowadzić żonę. Ale plamka na piucu... Zostanie tu.

Człowiek się wstydzi, że sam wyjeżdża.

#### Jedność narodowa

Kiedy już prawie nikogo nie ma, Polacy godzą się. Powstaje organizacja jednolita pod nazwą "Zjednoczenie Polskiego Uchodźstwa". Na jej powstanie zapatruje się bardziej optymistycznie niż przed miesiącem. Prace organizacyjne posuwają się naprzód, a działalność zalety od tego kto zostanie.

Ale walki wewnętrzne wypalają się po prostu dlatego, że powstaje próżnia. Do popisów oratorskich potrzebne jest audytorium, a do pisania polemicznych ataków potrzebni są czytelnicy.

Trudno więc klócić się przy braku audytorium i czytelników.

Tu tkwi rozwiązanie zagadki zgody narodowej w Niemczech, która powstała "tak ni z tego ni z owego".

J. B.

### KRONIKA ANGIELSKA

#### Nowe pismo

Główna Komisja Skarbu Nar. uruchamia z dn. 15 kwietnia br. "sześcioletni" p.n. "Wiadomości Skarbu Narodowego". Nowe pismo zawierać będzie artykuły informacyjne i sprawozdawcze o akcji Skarbu Narodowego.

Niewątpliwie pocieszający jest fakt, że mimo trudności z jakimi walczy prasa polska na emigracji — pismo nie ubywa lecz przybywa. Dziesiątki naszych Czytelników, którzy brali udział w Ankiecie "Kultury" p.n. "Zagadnienia kulturalne a Skarb Narodowy" wprawdzie nieco inaczej wyobrażało sobie politykę kulturalno-wydawniczą z funduszy Skarbu Narodowego — no, ale to inna sprawa.

#### Artykuł "Kultury" w "The Manchester Guardian"

Jeden z najpoważniejszych dzienników Anglii, "The Manchester Guardian" zamieścił w n-rze z dn. 4 kwietnia br. obszernie streszcze-

nie i omówienie artykułu Józefa Łobodowskiego pt. "Sytuacja w Kraju poprzez korespondencję" ("Kultura", nr 11/31).

Autor angielski poprzedził streszczenie artykułu Łobodowskiego omówieniem audycji polskich z Madrytu. Podkreślił, że Hiszpania uznaje rząd polski w Londynie i dzięki temu audycje polskie z Madrytu są całkowicie autonomiczne i niezależne w odróżnieniu od audycji w języku polskim nadawanych przez BBC czy Amerykanów. Dzięki temu — zdaniem "Manchester Guardian", audycje madryckie cieszą się w Polsce największą popularnością.

Autor omawianego artykułu przytacza następnie cytaty z najcharakterystyczniejszych listów oraz streszcza komentarze Łobodowskiego wyrażając żal, że artykuł "Kultury" dotyczy jedynie okresu zimy 1949/50.

W bież. nrze J. Łobodowski omawia korespondencje nadal napływającą do Madrytu z okresu r. 1950 i pierwszego kwartału r. 1951. Artykuł pt. "Sytuacja w Kraju poprzez korespondencję" był niewątpliwie jednym z najbardziej interesujących studiów o życiu i nastrojach w Polsce, jakie czytaliśmy w prasie na emigracji po roku 1945.

#### Między-absurdem i Między-morzem

Na łamach polskiej prasy londyńskiej ożyła dyskusja na tematy federacyjne. Na wstępie warto przypomnieć, że jeszcze w czasie wojny rozpozczeliśmy propagandę federacyjną od serii zasadniczych i megalomańskich błędów. W Jeruzolimie bodaj w 1943 r. ukazała się książka Jana Szudrzyńskiego pt. "Dziejowa Idea Państwa Polskiego" poświęcona w całości idei federacyjnej. Jedyny trzeźwy sąd o tej książce wydał nieodżałowany Adolf Bocheński — podkreślając, że epokę jagiellońską, którą my uważamy za okres błogosławiony — inni uważają za przeklęty czas unii z Polską, która polszczyła warstwy kierownicze sferowanych narodów. Imię Jagiellonów dla nas drogim — jest niemniej znienawidzone przez sąsiadujące z nami narody.

Osobiście wydaje mi się, że najtrudniejszym punktem polskiej polityki federacyjnej jest postulat całkowitego zerwania z historią. Innemu narodowi łatwiej by się było zdobyć na taki wysiłek niż nam.

Dyskusja o której mowa jest charakterystyczna z kilku względów. Juliusz Sakowski na łamach "Dziennika Polskiego" przeprowadził krytykę koncepcji Międzymorza w sposób wnikliwy, rzeczowy i spokojny. Odpowiedział mu z łamów "oficjalnego" "Orla Białego" Józef Poniatowski.

Nie jest moim zadaniem w tej kronikarskiej notatce wypowiadać się za jednym z autorów. Chciałbym natomiast zwrócić uwagę na "klimat" tej dyskusji.

Wiadomą jest rzeczą, że Kościół Katolicki nie dyskutuje artykułów wiary z wyznaniem protestanckimi bo uważa, że On jeden posiada prawdę i zna odpowiedzi na wszystkie pytania. Dla wierzącego katolika jest to pogląd konsekwentny i słuszny.

Jeżeli jednak jakieś ugrupowanie polityczne, o celach zgoda doczesnych, przypisuje sobie analogiczne atrybuty w wykładni polskości, jest to w równej mierze widok żalostny co irytujący.

Z "wyznawcami" naszej rządowej polityki nie ma dyskusji bo ci panowie przypisują sobie finalny autorytet w wyrokowaniu co jest dla Polski dobre a co złe. Oni nie dyskutują tylko "pouczają", "karcą", "ekskomunikują". Jeżeli ktoś ośmieli odchylić się od dogmatycznej linii zostaje natychmiast napiętnowany i wyklęty jako sluga "obcych agentur".

Klucze do sezamu polskości są zdeponowane po wieczne czasy tylko w ich rękach. Kto się ośmieli wystąpić z krytyką ich wykładni jest dysydem i heretykiem a nie zwyczajnym obywatelem, który myśli nieco inaczej.



I tak p. Sakowski z "encykliki" w "Orle Białym" dowiedział się, że:

"radzi" on "wyrzec się czujności wobec obcej dywersji,  
wobec pomysłów szafowania krwią polską,  
wobec działania obcego pleniądza."

Cóż można dodać do takich absurdalnych zarzutów? Ekskomunikę i... stos. Od wielkości do śmieszności jest jeden krok. Ale od megalomanii do zakładu obłąkanych jest tylko pół-kroku.

#### Następca Prezydenta

Londyńska prasa polska wymienia kandydatury gen. Sosnkowskiego, prof. Henryka Paszkiewicza, prof. Tadeusza Brzeskiego i dra Gruski. Z najoryginalniejszą kandydaturą na następcę Prezydenta R.P. wystąpił jednak Cat-Mackiewicz na łamach detroickiego "Dziennika Polskiego", proponując na następcę Prezydenta obecnego legalnego prezydenta Rzplitej Litewskiej p. Statysa Łozorajtisa, który przebywa obecnie w Rzymie.

#### Powiedzenia i opinie

*„Gdyby chłopów nie było na świecie, musielibyśmy się wszyscy albo powiesić albo wziąć do jakiejś roboty!”*

(n-1)

"Jutro Polski", nr 6 (195).

*„Polska to nie primaballerina, która spieszy się na scenę, świat o niej nie zapomni, jeżeli nie zdobędzie reklamy”.*

St. Gierat

"Orzeł Biały", nr 12/13.

*„Kupić sobie nie używany dotąd kawałek mydła, którego zapach umili codzienne ablucje”.*

Hestia

"Dziennik Polski i Dziennik Żołnierze", nr 76.

*„Moim zdaniem Rząd powinien się przede wszystkim starać o pieniądże”.*

S. S.

"Tygodnik Ilustrowany", nr 13.

*„Postanowiliśmy unowocześnić się, zamerykanizować. Dostawca prenumeratorów otrzyma podarunek praktyczny, doraźny, nie na całe życie, dostanie bowiem flaszeczkę ginu lub koniaku (trzy gwiazdki). Mówimy poważnie! Albo dostanie puszkę parówek. Może wybrać sobie coś innego, więc np. flakonik wody kolońskiej. Albo kilka mydeł. Albo gustowny krawat. Albo trzy cygara. Albo pomadkę do ust”.*

Wezwanie do czytelników "Wiadomości".

"Wiadomości", nr 11/12 (259/260).

LONDYŃCZYK.

## Najnowsza historia Polski

### Ostatni rozkaz marsz. Śmigłego

Generał Składkowski w swych wspomnieniach, ogłoszonych w n-rze 5/6 "Kultury", pt.: "Prace i czynności Rządu Polskiego we wrześniu 1939", podaje, że dnia 20. 9. 1939 marszałek Śmigły Rydz wydał swój ostatni rozkaz do Wojska Polskiego i cytuje treść tego rozkazu.

Również ppłk. dypl. J. Krzeczkowski w swoich wspomnieniach, ogłoszonych w n-rze 9/35 "Kultury", pt. "Z marszałkiem Rydzem-Śmigłym w Rumunii" pisze, że po przybyciu do Craiowej w dniu 19. 9. 1939 Marszałek opracował swój ostatni rozkaz do Wojska Polskiego.

Nawiązując do tych wspomnień, pragnąłbym dorzucić kilka informacji z tego okresu, wskazujących że marszałek Śmigły Rydz, w kilka dni po ogłoszonym w dniu 20. 9. 1939 rozkazie, wydał jeszcze jeden rozkaz do oddziałów walczących w oblężonej Warszawie i śmiem przypuścić, że to był ostatni rozkaz marszałka Śmigłego-Rydz.

Wrzesień 1939 roku zastał mnie na stanowisku II-go sekretarza Poselstwa R.P. w Budapeszcie. Obsada Poselstwa nie była liczna: Posłem R.P. na Węgrzech, po ministrze Stanisławie Łepkowskim, od czerwca 1936 był minister Leon Orłowski; I-ym sekretarzem Poselstwa był dr Jerzy Szczeniowski, attaché Poselstwa mgrs. Kazimierz Zdziarski, a attaché wojskowym ppłk. dypl. Jan Emisarski.

Poselstwo nasze mieściło się w Budzie, w starożytnym budynku przy Orsagház-utca 13, zaś biura attaché wojskowego w pobliskiej willi, przy Donati-utca.

Gdy pierwsze oddziały W.P. poprzez Karpaty szukały schronienia na Węgrzech, dokąd również dążyły spore grupy uchodźców, Poselstwo nasze miało sporo do roboty i dyżury były pełnione przez 24 godziny na dobę.

Dnia 22 września, w czasie mego popołudniowego dyżuru w Poselstwie, około godziny 16, woźny, Paweł Laube, zawiadomił mnie, że "woła Rumunia". Gdy podszedłem do telefonu i podałem "tu mówi Poselstwo Polskie w Budapeszcie", usłyszałem odpowiedź: "Tu mówi Wenda, proszę mnie połączyć z Attaché wojskowym". Odpowiedziałem, że Attaché wojskowy ma swoje biuro w innym budynku i że przełączenie rozmowy zamiejscowej na inny aparat będzie dosyć trudne. Na to pułk. Wenda powiedział: "Mówię z polecenia Szefa który jest obok mnie w tym samym pokoju. Proszę zawiadomić Attaché wojskowego, że Szef chciałby jak najprędzej otrzymać jego raport, jakie jednostki wojskowe i którzy dowódcy przeszli na Węgry. Raport ten proszę starać się doreczyć jak najszybciej do rąk Szefa". Odpowiedziałem, że



powtórzę to natychmiast Attaché wojskowemu i na tym rozmowa nasza się zakończyła.

Natychmiast skomunikowałem się telefonicznie z ppłk. dypl. Emisarskim prosząc go o przybycie do Poselstwa; następnie powtórzyłem mu dosłownie treść mej rozmowy z pułk. Wendą. Pułk. Emisarski przystąpił natychmiast do redagowania raportu dla Naczelnego Wodza, posiadając już dane, jakie jednostki i w jakiej sile, oraz którzy z wyższych dowódców przeszli na Węgry.

Tego samego wieczoru, ppłk. Emisarski odbył rozmowę z Ministrem Orłowskim, zastanawiając się kto z obsady Poselstwa zawiezie jego raport do Bukaresztu. (Z rozmowy telefonicznej z pułk. Wendą nie dowiedziałem się, że Marszałek jest w Crajowej).

Wybór padł na mnie; przebywając na Węgrzech od 1936 roku, miałem, dobrym zwyczajem, paszport dyplomatyczny, zaopatrzone we wszystkie potrzebne mi wizy, a co najważniejsze, posiadałem wielokrotną wizę węgierską i rumuńską.

Z rozmów telefonicznych z Bukaresztem, Minister Orłowski wiedział już o fakcie internowania członków rządu i o zakazie poruszania się po Rumunii Polakom. Toteż mój wyjazd do Rumunii był pierwszą próbą z naszej strony stwierdzenia, jak się zachowają wobec tego faktu władze węgierskie i rumuńskie.

Następnego dnia, w sobotę 23 września, minister Orłowski uzyskał od posła rumuńskiego w Budapeszcie, R. Bossy, z którym był w dobrych stosunkach, "laisser-passer" głoścące, że udaje się jako kurier dyplomatyczny do Bukaresztu.

Tegoż wieczoru, mając już pocztę dyplomatyczną zapakowaną i oczekując w Poselstwie na wyjazd na stację kolejową, dowiedziałem się z telefonicznej rozmowy z ministerstwem Honvédów, że oficer polski, który poprzedniego dnia lądował przymusowo samolotem pod Debreczynom, chce koniecznie się rozmówić z ministrem Orłowskim.

Attaché wojskowy był już uprzedzony, że przymusowo lądował samolot polski, typu Junkers, którym przyleciał, oprócz pilota, ppłk. lotnictwa M. Iżycki. Oświadczył on, że wyleciał z oblężonej Warszawy z zadaniem dotarcia do Budapesztu wzgl. Bukaresztu. Na prośbę ppłk. Iżyckiego, płk. Ujśszasy, szef Oddziału II Sztabu gen. węgierskiego zgodził się, że przed odesłaniem go do koszar "Marii Teresy", dokąd kierowano internowanych oficerów polskich, będzie mógł odbyć kilkuminutową rozmowę z ministrem Orłowskim.

Około godziny 19 przed Poselstwo zjechał samochód wojskowy; wysiadł z niego ppłk. Iżycki w towarzystwie oficera węgierskiego, który dyskretnie został w poczekalni, zaś ppłk. Iżycki został zaraz wprowadzony do gabinetu ministra Orłowskiego.

Po pewnej chwili woźny zawiadomił mnie, że Minister prosi mnie do siebie.

Gdy wszedłem do gabinetu, minister Orłowski, zwracając się do ppłk. Iżyckiego, oświadczył: "Panie pułkowniku, pan K... wyjeżdża dziś do Bukaresztu z raportami dla Naczelnego Wodza; najlepiej niech pan pułkownik przekaże mu bezpośrednio swoje polecenie".

Wówczas ppłk. Iżycki powiedział mi w kilku zdaniach: że wyleciał z oblężonej Warszawy z rozkazu generała Rommla, z zadaniem dotarcia do Naczelnego Wodza, aby zameldować mu o sytuacji w Warszawie oraz aby uzyskać rozkazy, jak długo Warszawa ma się bronić. W dniu jego odlotu z Warszawy, żywności i amunicji było jeszcze tylko na kilka dni. Łączność radiowa jest utrzymywana z Warszawy tylko ze stacją attaché wojskowego w Paryżu. Generał Rommel pragnie otrzymać od Naczelnego Wodza rozkaz, jak długo Warszawa ma się jeszcze bronić. Odpowiedź będzie oczekiwana drogą radiową. Tu ppłk. Iżycki wręczył mi skrawek papieru, na którym była odnotowana długość fal oraz czas nasłuchu radiostacji warszawskiej.

Oświadczyłem mu, że wszystko to zamelduję Naczelnemu Wodzowi. Jak wynikało z rozmowy z ppłk. Iżyckim, w Warszawie nikt jeszcze nie wiedział o internowaniu osoby Prezydenta R.P., Naczelnego Wodza oraz członków rządu.

Pożegnawszy się, ppłk. Iżycki w towarzystwie oficera węgierskiego opuścił Poselstwo.

Tejże nocy o godz. 23 Orient-expressem odjechałem do Bukaresztu. Podróż była długa i nudna, a pociąg prawie pusty. Na granicy rumuńskiej rewizja wypadła nad wyraz gładko i szybko. Urzędnicy celni oraz "Sigurancy" nie kwestionowali mej wizy ani wiezionej przesyłki dyplomatycznej, a laissez-passer rumuńskiego ministra, jeszcze bardziej ułatwiło mi przejazd. Do Bukaresztu przyjechałem dnia 25 września wieczorem i bezpośrednio z dworca udałem się do naszej Ambasady.

Pomimo późnej godziny i tłoku jaki panował przed gabinetem attaché wojskowego, po zgłoszeniu u jego pomocnika, majora dypl. Zimnala, że przyjeżdżam z ważną pocztą od attaché wojskowego z Budapesztu, zostałem zaraz przyjęty przez ppłk. dypl. T. Zakrzewskiego. Zgłosiłem mu, że z polecenia pułk. Wendy przywożem ważny raport attaché wojskowego z Budapesztu dla Naczelnego Wodza, i prosiłem o ułatwienie mi tego spotkania. Na to ppłk. Zakrzewski z miejsca odpowiedział, że moja wizyta u Naczelnego Wodza jest niemożliwa, i że tylko jemu wolno odwiedzać Marszałka Śmigłego w Crajowej. Nie mając środków lokomocji, dałem wiarę zapewnieniom ppłk. Zakrzewskiego o niemożności mego wyjazdu do Crajowej, i wręczyłem mu przywieziony raport od ppłk. Emicarskiego oraz dosłownie powtórzyłem moją rozmowę z ppłk. Iżyckim, prosząc aby zameldował to Naczelnemu Wodzowi. Otrzymałem karteczkę z długościami fal i czasem nasłuchu stacji warszawskiej również wręczyłem ppłk. Zakrzewskiemu.

Płk. Zakrzewski odpowiedział mi, że ze względu na ważność sprawy natychmiast wyjedzie do Crajowej do Naczelnego Wodza. Po chwili byłem świadkiem wyjazdu ppłk. Zakrzewskiego samochodem z Ambasady. Znając Bukareszt z mych poprzednich wizyt, ulokowałem się w pobliskim Park Hotelu.

Następnego dnia, 26 września, we wtorek, przyszedłszy rano do Ambasady, spotkałem tam kpt. Niezbrzyckiego, który opowiedział mi w krótkich słowach o losach mych kolegów.

Płk. Zakrzewskiego zastałem już w gabinecie; wyglądał zmęczony nocną podróżą. Oświadczył mi: "przed chwilą wróciłem z Crajowej gdzie rozmawiałem z Naczelnym Wodzem, któremu wręczyłem przywieziony przez pana raport pułkownika Emisarskiego. Równocześnie przedstawiłem Panu Marszałkowi meldunek ppłk. Iżyckiego. Aby upewnić pana, że zadanie jakie panu zostało powierzone — wykonałem, oto rozkaz Naczelnego Wodza, który dziś będzie wysłany do Warszawy.

Tu ppłk. Zakrzewski wręczył mi dokument, który był rozkazem Naczelnego Wodza do żołnierzy walczących w Kraju:

Na blankiecie służbowym "Generalny Inspektor Sił Zbrojnych" z datą 26 września, napisana była własnoręcznie, atramentem, przez Marszałka Śmigłego Rydza treść następująca:

"Do Generała Dywizji Rommla,

Dowódcy Obrony Warszawy.

Dziękuję Panu Generałowi oraz wszystkim podległym mu oficerom i żołnierzom za bohaterstwo obronę Warszawy.

Warszawa winna się bronić tak długo, jak starczy zapasów żywności i amunicji.

(Podpis) Śmigły-Rydz, Marszałek.

(Chcę tu zaznaczyć, że dokument ten miałem w swoich rękach przez chwil kilka, przeczytałem go szybko i oddałem zaraz ppłk. Zakrzewskiemu. Nie zdawałem sobie wówczas sprawy, że jest to OSTATNI rozkaz marszałka Śmigłego do Wojska Polskiego. Nie wiem czy oryginał tego rozkazu znajduje się w Muzeum Wojska lub w Archiwum Attache wojskowego z Bukaresztu. Jeżeli jest ktoś autorytatywny kto zechce sprostować podaną przeze mnie treść tego rozkazu, będę za to bardzo wdzięczny. Jak należy wnioskować z oświadczenia pułk. dypl. Ta-



deusza Tomaszewskiego, szefa sztabu Obrony Warszawy w roku 1939, ogłoszonego swego czasu w Dzienniku Polskim, Nr 247/1949, rozkaz ten doszedł do Generała Rommła).

Podziękowałem pułk. Zakrzewskiemu za pomoc w załatwieniu zleconych mi spraw i opuściłem Ambasadę, a wieczorem 26 września odjechałem z powrotem do Budapesztu.

ERKA.

## Jeszcze o «Komitecie siedmiu»

Przebywając od 1941 roku w Afryce południowej i wschodniej z dala od większych ośrodków polskich, nie miałem możliwości czytania ostatnio wydawanych publikacji na tematy naszego życia na obczyźnie czy też wspomnień o latach wojny.

Przed kilku tygodniami, major R. Królikowski, przebywający obecnie w Nairobi, zwrócił mi uwagę na artykuł pt. «Komitet siedmiu», ogłoszony w numerze 12 «Kultury». W artykule tym ppłk. dypl. T. Wasilewski imputuje mi chęć sprzeniewierzenia czeków, które stanowiły własność Skarbu Państwa.

Przyznam się szczerze, że bardzo nie lubię grzebania się w intrygach oraz wzajemnego szkalowania się; wydaje mi się, że są ważniejsze sprawy. Ze wstydem przyznaję, że byłem za leniwy, by napisać replikę. Lecz po pewnym czasie usłyszałem zdanie, że obowiązkiem moim jest wyjaśnić tę sprawę, bo jest takie przysłowie «że kto milczy — ten potwierdza», więc napisałem niniejsze wyjaśnienie.

Po klęsce naszej i ciężkich dniach września 1939 znalazłem się w Rumunii blisko osoby ministra J. Becka, w charakterze wicedyrektora departamentu administracyjnego M. S. Zagr.

Jak wiemy, Rząd R. P. znalazł się w Rumunii w impasie politycznym. Mimo dawnych umów sojuszniczych, mimo świeżo parafowanej umowy w Kutach z ambasadorem rumuńskim Grigorcea i ministrem dworu królewskiego Russescu (nb. rusin z Kołomyi, kolega szkolny pułk. dypl. Wyżła-Ścieżyńskiego), odnośnie wolnego przejazdu Rządu R. P. przez teren rumuński w kierunku Francji, mimo przyjaznych zapewnień min. Gafencu, król Karol poza rządem rumuńskim poczynił pewne obietnice wobec ambasadora niemieckiego Fabriziusa, tak że Prezydent R. P. i Rząd R. P. od początku pobytu w Rumunii byli pozbawieni nie tylko możliwości rządzenia, ale także komunikowania się ze światem.

Nie udało się wysłanie z Rumunii do Francji Marszałka Senatu Makowskiego, który zgodnie z konstytucją mógłby tam pełnić funkcje prezydenckie — jako że prof. J. Mościcki był pozbawiony możliwości sprawowania swej władzy.

Dzisiaj już wiemy dobrze, że wszelkie poczynania Rządu R.P. były udaremniwane intrygami rady naszej ambasady w Bukareszcie p. A. Ponińskiego. Intrygi te były bardzo na rękę królowi rumuńskiemu, bo uzasadniały chwilowe jego postępowanie.

Już po powstaniu Rządu Gen. Sikorskiego we Francji, zaprosił mnie do siebie p. Poniński oświadczając, że ma w biurku dla mnie dekret na stanowisko dyrektora departamentu MSZagr. we Francji ale pod następującymi warunkami:

1° abym ujawnił mu gospodarkę Funduszu Specjalnego MSZ,

2° abym zerwał kontakt z p. dyrektorem Tomirem Drymmerem i żebym swe agendy dyrektorskie przekazał bezpośrednio delegatowi MSZagr. min. Szumlakowskiemu, bez udziału Drymmera.

Na pierwszy punkt odpowiedziałem że nie jestem dysponentem F. S., a tylko normalnego budżetu MSZ. «A jednak — powiada p. Po-

niński — my wiemy, że Pan był przez jakiś czas dysponentem F.S.».

Odpowiedziałem, że to się zgadza, bo właściwy dyspozytor F. S. dr Seweryn Sokolowski 15. 9. 39 uległ katastrofie samochodowej i złamał nogę. Ja zastępowałem go raczej nominalnie, gdyż dyspozycje wydawał bezpośrednio minister Beck, a wykonywał je kierownik referatu F.S. radca Katerla, u którego były zdeponowane odpowiednie księgi kasowe.

Na to p. Poniński rzekł, że jednak, gdybym chciał, to znalazłbym dostęp do tych ksiąg i wówczas mógłbym mu udzielić żądanych informacji. Odmówiłem wręcz.

Co do punktu drugiego oświadczyłem: Pan Minister Beck na ostatniej odprawie wyznaczył dyrektora T. Drymmera naszym kierownikiem, aż do dalszych dyspozycji p. ministra Zaleskiego, lecz do tej pory żadne dyspozycje od min. Zaleskiego nie nadeszły.

W tym samym czasie bawił w Bukareszcie delegat min. Zaleskiego, nasz długoletni poseł w Madrycie, minister M. Szumlakowski, któremu dałem pełne rozliczenie podległych mi funduszów, w obecności i za aprobatą dyr. Drymmera.

Min. Szumlakowski wspomniał, że p. Poniński powiedział mu, że nie chce jechać do Francji, na co oświadczyłem, że jest to nieprawda, jestem gotów do wyjazdu choćby zaraz, ale bez takich hańbiących warunków. Odpowiedź ministra Szumlakowskiego była krótka: «Rozumiem Pana».

Następnie min. Szumlakowski zwrócił się do mnie z prośbą, abym mu podał kilka nazwisk zdolnych urzędników, którzy by mogli zorganizować departament admin. we Francji. Podałem nazwiska: naczelnika Szeptowskiego i dwóch kierowników referatów pp. Pańczakowskiego i Cybułskiego. Panowie ci bardzo szybko wyjechali do Francji.

Gdy we Francji powstał Rząd gen. Sikorskiego, w którym tekę ministra Spraw Zagranicznych objął p. Zaleski, minister Beck postanowił przekazać mu agendy ministerstwa i w tym celu został wysłany do Francji, specjalny kurier dypl., p. Mniszek, nasz dawny urzędnik Protokółu dypl., który zawiązał ściśle tajne dokumenty i korespondencje. W dokumentach tych, między innymi, minister Zaleski został także powiadomiony o pracach pułk. Schaetzla oraz o funduszach jakie mu minister Beck w tym celu przekazał.

Minister Beck gdy ustępował ze stanowiska ministra Spraw Zagranicznych zwołał krótką odprawę wyższych urzędników MSZ; uszczeliśmy, że pełnimy dalej swe funkcje aż do dalszych dyspozycji ministra Zaleskiego z tym, że na ten okres przejściowy dyrektor T. Drymmer jest naszym szefem.

Po wysłaniu do Francji p. Mniszka, po wspomnianej odprawie i po jeszcze innych formalnościach, pułk. dypl. Beck poczuł się do pewnego stopnia wolnym człowiekiem i postanowił oddać się do dyspozycji Polskich Władz Wojskowych, a gdyby go do Wojska Polskiego nie przyjęto, rozważał ewentualność wstąpienia do armii brytyjskiej.

W związku z tymi planami musiał on wyjechać z Rumunii, a że oficjalnie nie było to możliwe, postanowiono Rumunię opuścić nielegalnie.

Zorganizowanie tego wyjazdu powierzono mnie.

W tym celu pojechałem nad granicę rumuńsko-jugosłowiańską, aby wyszukać odpowiednie miejsce do przekroczenia granicy.

Badając granicę, wyszukałem miejsce na rzece Prlava, stanowiącej granicę rum.-jugosłowiańską. Szerokość jej nie przekraczała 4 metrów, a w suchej porze można ją było przekroczyć po kamieniach «suchą nogą». Leśną drogą dotarłem do monasteru oddalonego o 50 metrów od tej rzeczki. Nazwy monasteru niestety nie pamiętam.

W swoim planie przewidywałem, że pułk. dypl. Beck miał jednym samochodem w pierwszym dniu przebyć odcinek Brasov-Turnu Severin i tu w moim mieszkaniu przenocować; w drugim dniu, innym samochodem, miano przebyć przestrzeń Turnu Severin — wspomnia-



ny poprzednio monastyr; w trzecim dniu mieliśmy przekroczyć rzeczkę Prlavę i dojść około 400 metrów do szosy, po drugiej stronie granicy, gdzie miał nas oczekiwać trzeci samochód z Belgradu.

Dla uzgodnienia tego planu konieczne było dokładne zbadanie terenu po stronie jugosłowiańskiej, trzeba było też zapewnić sobie ten trzeci samochód z Belgradu.

W tym celu, z końcem października 1939 wyjechałem do Belgradu.

Przed moim wyjazdem wręczono mi czeki na sumę około 1.200 dolarów (pułk. Wasilewski pisze o 6.000 dolarów), z poleceniem wymiany.

Po przybyciu do Belgradu udałem się do naszego Pościa i ministra pełnomocnego R. Dębińskiego, któremu wyjaśniłem cel mego przyjazdu i prosiłem o pomoc u władz jugosłowiańskich a także o ten trzeci samochód, który miał nas oczekiwać na szosie.

Min. Dębiński bez wahania udzielił mi swej pełnej pomocy do tego stopnia, że uważając iż zbliża się zima i drogi mogą być trudne do przebycia, postarał się poza wiedzą rządu jugosłowiańskiego, że Książę Regent Paweł oddał swą osobistą salonkę kolejową do dyspozycji pułk. Becka.

Pozostała jeszcze sprawa oznaczenia miejsca po stronie jugosłowiańskiej, w którym ten trzeci samochód miał na nas czekać aby nas zawieźć do Belgradu. W tym celu o godz. 5 rano wyjechaliśmy z min. Dębińskim dwoma samochodami z Belgradu w kierunku granicy. Aby swój wyjazd okryć pełną tajemnicą, min. Dębiński miał wrócić do poselstwa przed godzinami urzędowymi; nie wziął on swego urzędowego samochodu z godłem państwowym lecz mały prywatny samochód bez szofera.

Wyjazd pułk. Becka z Rumunii mógł się udać jedynie pod warunkiem zupełnej dyskrecji, gdyż pułk. Beck w swym hotelu w Brasovie był pilnowany nie tylko przez policję rumuńską, ale także, i to wstyd przyznać, przez agentów opłacanych przez p. Ponińskiego. O zamierzonym wyjeździe pułk. Becka wiedziało tylko kilka osób: pułk. Schaeztel, dyr. Drymmer, S. Sokołowski i radca D. Rogoyski. Obecnie został w to wtajemniczony min. Dębiński.

Jeszcze była noc, gdy z ministrem Dębińskim wyruszyliśmy z Belgradu; deszcz padał bez przerwy, droga była b. kiepska. Mój samochód jechał jako pierwszy. W pewnym miejscu, już niedaleko granicy gdzie było rozwidlenie dróg, jedna z nich kiepska a druga asfaltowana, szofer mój skręcił na asfalt i po chwili wjechaliśmy na ukryte pod granicą lotnisko wojskowe, nie oznaczone na mapie. Od razu kilku żołnierzy otoczyło mój samochód i dwóch skoczyło na stopnie wozu. Szofer momentalnie zaczął zawracać wóz, ja zaś tłukłem po rękach żołnierzy trzymających się okna samochodu; żołnierze zeskoczyli a my, dodawszy gazu, umknęliśmy. Minister Dębiński widząc co się dzieje również zawrócił.

Biorąc pod uwagę czasy wojenne, pas przygraniczny i niespodziewane spotkanie na lotnisku, prędko ustaliliśmy miejsce gdzie ten trzeci samochód ma czekać na szosie i rozjechaliśmy się; minister Dębiński do Belgradu, ja zaś na punkt graniczny, aby jak najprędzej znaleźć się po stronie rumuńskiej.

Rozmowy me z min. Dębińskim prowadziłem w Belgradzie w jego gabinecie, na I-szym piętrze gmachu Poselstwa i wówczas poprosiłem, aby sprowadził swego urzędnika administracyjnego, któremu chciałem dać posiadane czeki do wymiany w banku. Urzędnik ten (nazwiska niestety zapomniałem), zjawił się i w obecności min. Dębińskiego wręczył mi te czeki. Po jakimś czasie urzędnik ten wrócił oświadczając, że wymianę czeków zajmie się attaché wojskowy pułk. dypl. Wasilewski, który potrzebował wówczas dolarów na opłatę ewakuacji osób wojskowych.

Chciałbym zauważyć, że gdyby w wymianie tych czeków było coś podejrzanego, tak jak oświadcza pułk. Wasilewski, nie używałbym ku temu bliżej mi nieznanego urzędnika poselstwa, lecz po prostu sam udałbym się do banku, a to tym bardziej, że byłem w posiadaniu

wszystkich pieczęci MSZ jako dyrektor departamentu administracyjnego, który wystawiał i podpisywał wszystkie paszporty dyplomatyczne w imieniu Ministra.

Nie poszedłem do banku sam, bo po pierwsze — byłem zajęty czym innym, a po drugie — nie było w zwyczaju aby dyrektor departamentu sam osobiście chodził po bankach; wszak mógł to doskonale załatwić właściwy urzędnik poselstwa. Usłysawszy, że w tym samym gmachu urzęduje mój stary przyjaciel, pułk. Wasilewski, poszedłem go odwiedzić. Przywitanie było bardzo serdeczne, rozmowa toczyła się na temat klęski wrześniowej; wreszcie pułk. Wasilewski zapytał mnie po co właściwie tu przyjechałem? Ze względów zrozumiałych nie podając właściwego celu swego przybycia — podałem jako powód wymianę czeków.

W dalszym ciągu rozmowy, pułk. Wasilewski wyraził się: "zawsze twierdziłem, że Piłsudski działał na szkodę Państwa, to po prostu zdradca". Byłem zaskoczony takim powiedzeniem. Po chwili, gdy moje pierwsze oburzenie minęło, opanowałem swe nerwy i jako starszy wiekiem, zacząłem serdecznie perswadować, że tak mówić nie wolno. Byłem przekonany, że pułkownik jakoś się umityguje i cofnie swoje obelgi. Gdy to nie nastąpiło, wstałem i rzekłem: "Przykro mi, że muszę teraz pokój opuścić bez pożegnania i bez podania ręki".

Wówczas p. pułk. Wasilewski przeszedłszy również na ton oficjalny, oświadczył mi, że on musi jeszcze wyjaśnić sprawę czeków i zażądał abym go zawiadomił jakim prawem dysponuję czekami MSZagr.

Odpowiedziałem mu zimno, że jako urzędnik MSZagr. nie mam obowiązku tłumaczenia się wojskowemu. Pułk. Wasilewski zapytał mnie, czy nie mam nic przeciw temu, że on złoży odpowiedni meldunek generałowi Sikorskiemu. Wyraziłem na to zgodę i bez pożegnania opuściłem gabinet.

Wróciłem do gabinetu min. Dębińskiego i opowiedziałem mu przebieg mej rozmowy z pułk. Wasilewskim.

Min. wezwał do siebie pułk. Wasilewskiego, podano koniak, chciał nas pogodzić; wyszło to jednak zimno i mroząco.

Wróciwszy do Bukaresztu, oddałem czeki w te same ręce, z których je otrzymałem i w ten sposób sprawa czeków była dla mnie definitywnie załatwiona. Tym bardziej, że pewne sumy, a także i te czeki były przekazane z normalnego budżetu MSZ do tak zwanego Funduszu Specjalnego, którym dysponował sam minister.

Minister Beck jeszcze przed swym ustąpieniem przekazał te czeki kierownikowi placówki politycznej pułk. Schaeztlowi, o czym — jak już wyżej wspomniałem — został zawiadomiony minister Zaleski.

Oddawszy czeki w Bukareszcie, udałem się do pułk. Becka do Brasowa gdzie zastałem pułk. Schaeztla i po konferencji, trwającej do godz. 4 rano, ustalono, że ewentualny wyjazd pułk. Becka z Rumunii zostanie na razie odłożony na czas późniejszy.

Wiemy, że w końcu roku 1939 i w ciągu roku 1940 generał Sikorski był naciskany przez Prezydenta Republiki francuskiej a także przez oficjalne czynniki brytyjskie, aby postarał się o zorganizowanie wyjazdu z Rumunii kilku polskich ministrów "starego reżimu". Generał Sikorski pozornie uległ tym naciskom i dał odpowiednie polecenia do Bukaresztu, ale z tym, że spółka Kot-Poniński wczasy uwiadomiła o projektowanej ucieczce policję rumuńską. Pułk. Beck został w chwili ucieczki schwytyany i do końca swego życia przebywał w niewoli w Rumunii.

O ile wiem, to polecenie generała Sikorskiego, ułatwienia wyjazdu z Rumunii obejmowało także b. premiera gen. Składkowskiego. Otóż w Turcji opowiadał mi generał Składkowski, że rzeczywiście powiadomiono go oficjalnie z Bukaresztu o takich zamierzeniach, ale on przeczul podstęp i na kilka dni przed oznaczonym terminem sam na własną rękę opuścił Rumunię, ku wściekłości spółki Kot-Poniński. Przypuszczenia gen. Składkowskiego w pełni się spełniły, jak to widzieliśmy na przykładzie ministra Becka.

Lecz wróćmy do sprawy czeków.

W parę tygodni po mej wizycie w Belgradzie, mieszkając w Turnu



Severin, zostałem telegraficznie wezwany do Bukaresztu, gdzie wiedziałem się z p. H. Stebelskim, delegatem ministra Skarbu A. Koca. Delegat Stebelski zachował się bardzo kulturalnie, i zażądał abym mu wyjaśnił co się stało z czekami, z góry oświadczając, że nie wleżym abym ja chciał czekać te sprzeniewierzyć.

Na pytanie to z przykrością musiałem odmówić odpowiedzi. Pan Stebelski serdecznie mię przekonywał, że wprowadzam jego i siebie w kłopot, gdyż faktem jest, że ja jestem ostatnim ogniwem łańcucha, w którego rękach były чеки, i że w wypadku gdy ja nie wyjaśnię co się z tymi czekami stało — podejrzenie padnie na mnie. Odpowiedziałem, że zdaję sobie z tego dobrze sprawę, ale pary z ust nie puszcze, bo takie mam polecenie; wyraziłem nadzieję, że чеки te wkrótce się odnajdą i honor mój nie będzie naruszony.

Na dalsze naleganie p. Stebelskiego zaproponowałem mu, aby zatelegrafował do ministra Zaleskiego i od niego zażądał wyjaśnień, kto stoi na czele placówki, która działa na Kraj, z powołaniem się na poczet dypl. którą zawiążył do Francji p. Mniszek.

Z rozmów naszych trzeba było spisać oficjalny protokół; odnośna konferencja odbyła się z końcem listopada w Ambasadzie R. P. w Bukareszcie, przy udziale delegata Stebelskiego i radcy Ponińskiego.

W czasie tej konferencji p. Poniński był bardzo niegrzeczny a zarazem groteskowy, bo stukając łaską o podłogę (był kulawy), nosowo-gardłowym głosem kilkakrotnie powtarzał wyuczoną formułkę: "Ja, radca Poniński w imieniu Rządu R. P. i w imieniu Ambasady wzywam pana Dyrektora do mówienia prawdy".

Gdy rozpocząłem swoje wyjaśnienia, pan radca przerywał mi, stukając coraz mocniej o podłogę i powtarzał wciąż swoją formułkę "Ja radca Poniński itd." — oświadczyłem, że nie jestem przyzwyczajony do tego mentorskiego tonu i do stukania łaską, a po czterokrotnym przerywaniu mi mych wyjaśnień, opuszczam salę konferencyjną.

Delegat Stebelski ratował sytuację jak mógł; w końcu gdy byłem już na korytarzu spotkaliśmy ministra Arciszewskiego i ten wyraził pogląd, że protokół należy doprowadzić do końca. Chętnie się na to zgodziłem, pod warunkiem, że pan Poniński opuści salę.

W rezultacie pan Poniński stukając jeszcze głośniejszą łaską o podłogę, jak niepyszny opuścił salę, a my z delegatem Stebelskim w ciągu kilku minut ustaliliśmy tekst protokołu, w którym odmówiłem wciągania komu чеки oddałem. Z delegatem Stebelskim rozeszliśmy się w pełnej zgodzie.

Epizod czekowy skończył się wkrótce zupełnie w porządku, чеки znalazły się u kierownika placówki politycznej na Kraj, a pięprzykiem odnalezienia tych czeków był fakt (o którym mi potem opowiadał mój dawny zastępca radca Skarżyński), że чеки te leżały w szafie Ambasady R.P. w Bukareszcie, do której klucz miał sam radca Poniński.

Nie wiem do dzisiaj, jaką drogą trafił delegat Stebelski do pułk. Schaetzla, pozwalał sobie tylko przypuszczać, że skorzystał z mej sugestii i zwrócił się o wyjaśnienie do naszego MSZ we Francji.

Sądę, że pułk. Wasilewski będąc szefem Oddziału II Sztabu N. W. wiedział, że чеки te się znalazły i w ten sposób honor mój nie doznał szwanku, dlatego też z niepomiernym zdziwieniem przeczytałem ustęp jego artykułu: "Z przykrością, choć i z pewną satysfakcją stwierdziłem, że moje przypuszczenia belgradzkie o nieprawidłowości usiłowań pana Barańskiego w upłynieniu czeków — były zupełnie uzasadnione".

Wolno mi sądzić, że gdyby insynuacje pułk. Wasilewskiego skierowane w moim kierunku były chociaż w najmniejszym stopniu słuszne, nigdy by rząd generała Sikorskiego nie uznał sprawy za "wyczerpaną" (słowa pułk. W.) choć znany byłem z moich głębokich przekonań beckowskich.

Zdziwienie moje jest tym większe, że pułk. Wasilewski notatkę swoją napisał w roku 1948.

Oświadczam, że do "Komitetu siedmiu" nie tylko nigdy nie należałem, ale nawet nie wiedziałem o jego istnieniu; oświadczam, że

nigdy tych czeków nie usiłowałem upłynnić w Bukareszcie, bo po prostu nie były one w moim posiadaniu; otrzymałem je przed moim wyjazdem do Belgradu, a oddałem nazajutrz po powrocie do Bukaresztu.

W końcu oświadczam, że dopiero z notatki pułk. Wasilewskiego dowiedziałem się, że minister dla Spraw Krajowych, gen. K. Sosnkowski nie dał swej aprobaty dla rozwinięcia akcji pułk. Schaetzla; wreszcie stwierdzam, że pułk. Rostworowski nie znałem.

Tę moją nieświadomość łatwo czytelnik dobrej woli zrozumie, jeżeli weźmie pod uwagę, że MSZ miało trzy departamenty: polityczny, konsularny i administracyjny; sama nazwa "departament administracyjny" mówi za siebie, że byłem od spraw administracyjnych, a nie od polityki; a nasz szef, minister J. Beck, lubił porządek, więc tak zwany po naszymu administracyjny "cifferspione" nie miał prawa wtrącać się do polityki, na której nota bene się nie rozumiał.

Jan BARAŃSKI

kpt. dypl. b. vice-dyrektor dep. MSZ.

## "ORZEŁ BIAŁY"

TYGODNIK POLITYCZNO-LITERACKI  
WYDAWCA: GRYF PUBLICATIONS LTD.

169/171, Battersea Church Road, London S.W.11  
Tel. BAttersea 0879

ADRES REDAKCJI: c/o R. PIESTRZYŃSKI,  
32 Blenheim Gardens — London N.W.2

Przedstawicielstwa w Austrii, Belgii, Francji, Holandii, Norwegii, Szwajcarii, Szwecji, Włoszech, Argentynie, Kanadzie, Libanie, Płd. Afryce, Zjednocz.

■ CENA EGZEMPLARZA:

WE FRANCJI: 25 franków fr. — W BELGII: 5 franków belg.  
W WIELKIEJ BRYTANII: 1/-

■ P R E N U M E R A T A :

WE FRANCJI: miesięcznie 100 fr. fr.; kwartalnie 300 fr. fr.  
W BELGII: miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belgijskich.  
W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/-,  
rocznie 45/-.

■ PRENUMERATĘ PRZYJMUJĄ:

WE FRANCJI: Libella, 12, rue St. Louis en l'Île, — Paris IV<sup>e</sup>,  
nr konta pocztowego Paris cc 565.150.

W BELGII: J. Roskiewicz, 44, rue Vinçotte — Bruxelles,  
nr konta pocztowego 3172.28.

W ARGENTynie: Składnica Książki Polskiej, Av. Leandro  
N. Alem. 641, Buenos Aires.

O G Ł O S Z E N I A : (za 1 cal przez 1 łam = £ 1)

przyjmują przedstawicielstwa «Orla Białego»,  
na terenie zaś W. Brytanii wyłącznie firma

CARLTON BERRY LTD.,

Grand Buildings, Trafalgar Sq., LONDON W.C.2.



# Książki

## Literatura o Kołymie

Jeden ze ściśle tajnych podręczników "po czekistskiej rabotie" ostrzega oficerów N.K.W.D. przed abstrakcyjnym traktowaniem więzienia jako instytucji istniejącej samej dla siebie, niezależnie od świata ludzi wolnych. Ów świat ludzi wolnych, ujęty arcyłapidarnie jednym słowem "wola", jest zjawiskiem istniejącym równolegle, a nie poza drugą możliwą rzeczywistością, "tiumną". Nie ma poza Rosją Sowiecką kraju, w którym świadomość istnienia tych dwu światów obok siebie byłaby równie silna w umyśle obywateli i w którym wzajemna łączność żywiołów wolności i niewoli, nawet więcej — ich wzajemne zabijanie się, byłyby równie ściśle. Tam gdzie "na woli" trudno jest spotkać rodzinę, która nie miałaby kogoś z bliskich lub dalekich krewnych w drugim świecie "tiumny", nie można więzienia traktować abstrakcyjnie. Jest ono skondensowanym odzwierciedleniem "woli" — twierdzi p. Gałkin i inni światli autorzy podręcznika.<sup>1)</sup> W warunkach sowieckich jest to bezsporna prawda i należy podziwiać wyrafinowaną mądrość N.K.W.D., jaka właśnie w więzieniu każe szukać rozgałęzienia przestępstwa "na woli".

Jak z jednej strony zasada traktowania więzienia jako odzwierciedlenia świata ludzi wolnych podyktowana jest wymogami "bolszewickiej czujności", tak z drugiej upoważnia ona człowieka, który poznał jedną tylko stronę sowieckiego życia, tj. świat za kratami lub za drutem kolczastym, do twierdzenia, że poznał on również niemniej dokładnie świat drugi — świat ludzi wolnych. Ujęcie takie byłoby niewątpliwie niedorzeczne na

1) **Tiuremnoje Dieło**, z cyklu "Uczebniki i uczebnyje posobja po czekistskiej rabotie". Sostawili Gałkin A. G., Zilberman K. S., Wołkowskij W. A., Dostowałow L. W., Malcew W. J. Sostawleno na osnowanii prikaza Narodnowo Kommissaria Wnutriennych Dieł Sojuza SSR ot 29 Jula 1939 g. Moskwa 1939 g.

Zachodzie, gdzie więzienia odzwierciadlają tylko pewien ściśle określony świat przestępców kryminalnych, w Rosji Sowieckiej jednak staje się ono całkiem logiczne, bo tam nie istnieje warstwa społeczna, która nie miałaby swej licznej reprezentacji w "tiumnie". Gdyby uczeni w stalinizmie komuniści zachodni zrozumieli tę prawdę, znaleźliby właściwe oblicze Rosji Sowieckiej nie w konstytucji stalinowskiej, a w lekturze wspomnień byłych więźniów sowieckich.

Klasycznym przykładem książki dającej obraz świata ludzi wolnych przez odmalowanie "odzwierciedlenia woli" jest opis jedenastu lat spędzonych w więzieniach i obozach sowieckich przez p. Lipper.<sup>2)</sup> Z owych jedenastu, blisko osiem lat spędziła autorka na Kołymie.

Kołyma ma już swoją sławę i przetrwanie — i to przez kobietę — ośmiu lat w tamtejszych warunkach albo wydaje się czymś mało prawdopodobnym, albo tłumaczy się wyjątkowym szczęściem. Jeśli p. Lipper miała to szczęście, należy cieszyć się wraz z nią nie tylko tym że ocalała, ale i tym że los dał jej talent pisarski. Przyznam się, że owo szczęśliwe przetrwanie stanowiło dla mnie zagadkę dopóki nie zapoznałem się ze skrzętnie zestawionym spisem więzień i obozów, w których p. Lipper przebywała oraz z opisem rodzaju pracy przez nią wykonywanej (str. 249-251). Przez blisko cztery lata, w różnych odstępach czasu, p. Lipper pracowała jako siostra szpitalna. Ponadto, dwa lub trzy "szczęśliwe" wypadki obłożnej choroby pozwoliły jej "odpocząć" w szpitalu po dłuższych okresach pracy przy wyrębie lasu lub przy uprawie roli. Co to znaczy zrozumie tylko ten kto był więźniem i kto umie ocenić wartość zaoszczędzonego zapasu kaloryj. Pozostałe cztery lata "Kołymy" spędziła p. Lipper w charakterze drwala, tragarza, robotnika rolnego, pomywaczki, oraz przy takich pracach jak odgarnianie zasp śnieżnych, ścinanie wikliny (zimą) i plecenie koszyków. Z terenem złotodajnym i wydobywaniem złota zaznajomiła się pośrednio przez więźniów, pacjentów szpitalnych.

Praca siostry szpitalnej to równocześnie doskonały punkt obserwacyjny. Do szpitala przybywają chorzy z odległych obozów, a ci — jak autorka nie bez wzruszenia wspomina (str. 203-205) — komu, jak nie siostrze szpitalnej przekazują w przededniu śmierci swe myśli i tajemnice.

Dzięki tym okolicznościom p. Lipper jest szczególnie uprawniona (i zobowiązana) do napisania książki, która tylko pozornie jest wycinkiem autobiografii i tylko pozornie jest książką o Kołymie, gdyż — jak już podkreśliłem — książka ta daje skupiony obraz całej Rosji Sowieckiej.

Ta wszechstronność opisu odbija się ujemnie na układzie

2) Elinor Lipper, **Elf Jahre in sowjetischen Gefängnissen und Lagern**, Verlag Oprecht Zürich, 1950, str. 278, z wprowadzeniem (na obwołucie) przez Ignazio Silone. (Tłum. francuskie: **Onze ans dans les bagnes soviétiques**, Les Editions Nagel, Paris, 1950, frs. 290).



książki. Autorka gubi się niejednokrotnie w szczegółach, wstawia w nieoczekiwanym miejscu drobne opisy wydarzeń wstrząsających, wydarzeń, o których należy pisać, lecz które należało by ugrupować według innego schematu. Ów układ jest niewątpliwie słabą stroną tej doskonałej i z talentem napisanej książki. Zjawisko to wytłumaczyć można chęcią napisania wszystkiego co autorka widziała i o czym słyszała, gorączkowym pragnieniem niepominięcia niczego co jest ważne i charakterystyczne, co może i musi zainteresować i do głębi wstrząsnąć czytelnikiem. Tę nerwową pracę pisarską wyczuwa się wyraźnie przy czytaniu tej książki, która jest właściwie reportażem, sprawozdaniem z wypadków i obserwacji, bez określonej akcji, bez bohatera, na którym głównie skupiałaby się uwaga czytelnika. Każdy człowiek, każda grupa ludzi zróżniczkowanych tak czy inaczej, cela więzienna, obóz, dział administracji, nawet okręt są bohaterami szeregu własnych dramatów. Autorka zaniedbuje siebie. Uświadamia to sobie przy końcu książki i uzupełnia swój "życiorys" w bardzo krótkim schematycznym rzucie. Ostatnie rozdziały nie należą do najlepszych. Autorka przypomina w nich piechura, któremu z 50-kilometrowego marszu pozostały do "odrobienia" jeszcze tylko dwa kilometry. A szkoda, bo ta bogata w treść książka warta jest tego, by ją również zajmująco i nie wahałbym się powiedzieć — efektownie zakończyć.

Pociągnięta wizją rzekomo urzeczywistnionego socjalizmu, p. Lipper wyjechała do Rosji w 1937 roku po to, by po dwumiesięcznym pobycie na wolności zostać aresztowaną i skazaną (przez O/Sow. N.K.W.D., oczywiście) na 5 lat poprawczych obozów pracy. Nie pytajcie o powód aresztowania i o uzasadnienie wyroku. "Wielka czystka" zmiotła wtedy nie tylko wszystkich obcokrajowców, ale i tych, którzy mieli kiedykolwiek choćby bardzo nikłą łączność z zagranicą. Chodziło o zlikwidowanie tych wszystkich, którzy mogli wyprowadzać niebezpieczne porównania między światem kapitału a Rosją, co p. Lipper bardzo słusznie podkreśla. Śledztwo i administracyjny wyrok były tylko formalnością na użytek wewnętrzny N.K.W.D. Jednej z uwięzionych cudzoziemek, która nie znała zupełnie języka rosyjskiego, ogłoszono wyrok na migi. Oficer N.K.W.D. "oparł łokieć na stole, rozstawił szeroko palce dłoni i rytmicznie poruszał przedramieniem, kierując je ku twarzy uwięzionej. Wreszcie spytał czy zrozumiała. Przytaknęła: zrozumiała. Pięć palców — pięć lat"

Pani Lipper nie pomija milczeniem ludzi, jakich spotkała wśród hien i oprawców obozowych. Jeśli łotrom zdarzają się przebliski ludzkości, autorka wydobywa je na światło dzienne. Przy porannym wymarszu do pracy w kopalniach złota jest obecny naczelnik, który baczy by "wszystko co się jeszcze może utrzymać na nogach wygnano ku bramie obozowej".

"Z szarej masy więźniów odrywa się postać i zbliża do naczelnika. — Obywatelu naczelniku, pozwólcie przekazać wam prośbę.

Naczelnik rzuca okiem na podany mu świstek papieru i ryczy:

— Dziesięć dni karceru bez wymarszu do pracy!"

(W pięć dni później naczelnik wzywa więźnia).

"Powiedz mi, ty sukinsynu, jak ty śmiesz pisać do mnie podobne prośby. Ja mam ci nadać status konia obozowego?"

(Biedak tłumaczy, że koń ma odpoczynek co 10 dni, ciepłą stajnię, wystarczającą strawę itp.).

"Czym jest więzień na Kołymie? Niczym! Ale koń — to już coś jest!"

— I dlatego, obywatelu naczelniku, sami widzicie, o ile lepiej powodziłoby mi się gdybym był koniem.

— Do karceru! Odprowadzić do karceru!

...Naczelnik pozostał sam przy swym biurku. Mimowoli wodzi oczyma po podaniu więźnia: proszę o przyznanie mi statusu konia... A poniżej jego własna decyzja: Dziesięć dni karceru.

W zamyszeniu bawi się bezwiednie czerwonym ołówkiem. I nagle zjawia się na podaniu wyraźny, ukośny napis:

Oddział gospodarczy. Rozkazuję wydać:

Watowaną kurtkę (nową).

Pierwszą (najlepszą) kategorię wyżywienia na przeciąg jednego miesiąca!"

Autorka nie ogranicza się do mechanicznego opisu zdarzeń i ludzi. Omawiając "Książkę o Kołymie" A. Krakowieckiego w jednym z poprzednich numerów "Kultury" wspomniałem, że Kołyma stanowi wdzięczny temat do analizy społeczno-politycznej tego "socjalistycznego" tworu opartego na niewolnictwie. Pani Lipper rozumie w pełni przeciwieństwa panującego tam systemu i trudno jest oprzeć się słuszności jej analizy. Można autorce pogratulować trzeźwej i rzeczowej oceny faktów. Mnie osobiście cieszy to, że znalazłem potwierdzenie cyfr, do jakich doszedłem drogą analizy polskich materiałów dotyczących tego obszaru: 300 tysięcy więźniów stale tam przebywających; roczny dowóz 100 tysięcy (a tym samym około jednej trzeciej ubytku); 50 tysięcy ludzi wolnych. Pani Lipper wspomina o 400 tonach złota rocznie — ja oceniałem zbyt ostrożnie na 250 ton. Od p. Lipper dowiadujemy się też o ilości kobiet na Kołymie: jest ich zaledwie kilka tysięcy, roczny dowóz wynosi 500. Przy tej proporcji zagadnienie seksualne nabiera szczególnego znaczenia. Niezmiernie ciekawie opisuje autorka to zagadnienie, przybierające tam formy więcej niż brutalne.

Interesujący i trafny jest opis techniki sprawowania rządów nad społeczeństwem kołymskim. Umiejętne posługiwanie się czynnikami psychologicznymi (strach, podtrzymywanie nadziei zwolnienia przed upływem terminu kary, jakieś powtarzające się wieści o amnestii), w połączeniu z wygrywaniem instynktów fizjologicznych (głód, zimno), zaostrzanie antagonizmów poszczególnych grup (wolni i więźniowie, przestępcy polityczni i kryminaliści, stachanowcy i "dochodiagi") — wszystko to jest niezawodnym narzędziem władzy N.K.W.D. Do tego dochodzi sieć donosicieli oraz to co sowiecki kodeks pracy poprawczej nazywa samorządem — tyrania więźniów nad więźniami.



Odwróćmy soczewkę i rozprawdźmy ten obraz po przestrzeni całej Rosji Sowieckiej. Czy technika rządzenia "wolnym" społeczeństwem sowieckim jest inna? I "na woli" panuje strach przed aresztowaniem, strach przed N.K.W.D., przeplatany obietnicami luksusowej piatiletki i zapewnieniami, że "żyt" stało lutsze, "żyt" stało wiesieleje", i "na woli" głód zmusza do wypełnienia normy, "Ruskij" z poczuciem wyższości patrzy na "nacmiena"<sup>3)</sup>, własne dziecko jest szpiegiem N.K.W.D., a przewodniczący kolchozu udziałnym kacykiem.

Elinor Lipper nie poprzestaje na opisie świata więzień i obozów. Szuka rozgąszenia zła "na woli" i tam je znajduje. Zło tkwi w systemie.

Czytelników polskich zainteresują niewątpliwie polonica. W okresie 1937-1948 Polacy większymi lub mniejszymi falami przybywali do więzień i obozów sowieckich, czy to przy okazji "wielkiej czystki" z 1937-38, czy też w następstwie późniejszych "oswobodzeń" od rodzimych "burżujów" lub od "gitlerowskich zachwateczników". Toteż p. Lipper spotykała Polaków i w więzieniu moskiewskim i w obozach kołymskich i w punktach etapowych. Ostatnia wzmianka pochodzi z okresu zimy 1947-48, kiedy p. Lipper przebywała w obozie przerzutowym w Brześciu Litewskim, gdzie zamknięto również grupę 500 oficerów A.K.

"Swą nienawiść do Niemców wyładowywali przy każdej najbardziej błahiej okazji, wobec Rosjan zaś manifestowali dumną wzgardę (*eine stolze Verachtung zur Schau trugen*)".

Sto lat temu to samo notował Dostojewskij we "Wspomnieniach z martwego domu".

Nieźle również rozumie prawdę życia sowieckiego inny autor wspomnień o Kołymie, p. Władimir Petrow<sup>4)</sup>, który pisze wprost:

"Współczesnej Rosji nie można zrozumieć bez poznania życia w obozie. Nie w obozie, jako miejscu gdzie torturuje się niewinnych ludzi lub zamyka kryminalistów, lecz jako miejscu gdzie miliony najbardziej przeciętnych obywateli wiodą życie zgodnie z podstawowymi prawami sowieckiego państwa".

Petrow, student jednego z leningradzkich instytutów technicznych, został aresztowany w następstwie fali terroru sprovokowanej zabójstwem Kirowa w grudniu 1934. Bezpośrednim powodem aresztowania była intryga niebrzydkiej ale cokolwiek od Petrowa starszej kierowniczkii "specotdiela" instytutu, Nadii, której względami nieopatrznie wzgardził. W sformułowaniu oskarżenia dopomógł N.K.W.D. serdeczny przyjaciel Petrowa, po czym obaj uzyskali bezpłatną opiekę Gulaga, jeden na przeciąg trzech, drugi sześciu lat.

3) Członek mniejszości narodowej — "nacjonalnaja mienszost".

4) *Soviet Gold. My life as a Slave Laborer in the Siberian Mines*, by Vladimir Petrov. Translated from the Russian by Mirra Ginsburg. Farrar, Straus and Co., New York, 1949. Str. VIII+426.

Petrow przybył na Kołymę w 1936 roku, tj. w czasie gdy niepodzielne rządy dzierżył tam wysłaniec Stalina i "kolonizator" tego obszaru, Berzin.

Poza przeżyciami osobistymi Petrowa, niezwykle ciekawa jest historia Kołymy, jako obszaru złotodajnego, od czasu rozpoczęcia jego eksploatacji, tj. od roku 1931, do roku 1941, kiedy Petrow został zwolniony. (W jaki sposób dostał się do Stanów Zjednoczonych, opisał Petrow w swej drugiej książce "*My Retreat from Russia*", której niestety nie czytałem).

Berzin oparł politykę werbowania siły roboczej do pracy w wyjątkowo surowym klimacie kołymskim na czysto kapitalistycznych zasadach. Wysokie płace, automatyczna podwyżka o 10% co 6 miesięcy aż do zdwojenia wynagrodzenia i szereg innych przywilejów zwabiły wielu specjalistów. Nie dotyczyło to oczywiście więźniów. Lecz i o tych Berzin dbał — jak podaje Petrow — wypłacając im wynagrodzenie takie jak robotnikom wolnym (bez automatycznych podwyżek i po potrąceniu kosztów utrzymania). Poważną podniętą stanowiło anulowanie terminu kary zależnie od wydajności pracy więźnia, dochodzące w odniesieniu do przestępców kryminalnych do jednej trzeciej, a u politycznych do jednej siódmej. Toteż "ludzie pracowali tam, w odróżnieniu od reszty Związku Sowieckiego, z własnej woli, a nie pod strachem." Aurea aetas Kołymy trwała sześć lat, tj. tak długo dopóki na stanowisku szefa N.K.W.D. nie zaszły zmiany. Berzin był "człowiekiem Jagody" i został zlikwidowany razem ze swym szefem. Wraz z Berzinem zlikwidowano cały sztab N.K.W.D., jaki rekrutował się głównie z więźniów, byłych oficerów N.K.W.D., aresztowanych i zesłanych na Kołymę za zaniedbanie środków ostrożności, jakie zapobiegłyby zabójstwu Kirowa. Po Berzinie przyszedł "człowiek Jeżowa", Pawłow, który "zlikwidował szybko resztki liberalizmu w systemie obozowym" i zapoczątkował ciężki okres kołymskiej katorgi.

"Śmiertelność osiągnęła nie notowane dotychczas rozmiary. W mojej brygadzie, mimo że nasza praca była stosunkowo lekka, pozostało mniej niż połowa ludzi z ilości jaką otrzymałem na początku wiosny."

Zbyteczne dodawać, że po zlikwidowaniu Jeżowa, zlikwidowano też Pawłowa, lecz to już w niczym nie wpłynęło na polepszenie bytu więźniów. Spokojny, systematyczny Beria ugruntował i "udoskonalił" system eksploatacji energii więźnia-niewolnika.

Od momentu zlikwidowania Berzina, opis warunków bytu przez Petrowa nie różni się od opisu p. Lipper, która przybyła tam w roku 1939, a więc już za rządów Nikiszowa, ostatniego z dyktatorów Kołymy.

Głównym punktem obserwacyjnym p. Lipper był szpital lub obóz kobiecy. Petrow patrzy na Kołymę oczyma więźnia, który zależnie od kaprysów losu i "błatu" pracuje albo w zespole roboczym przy wydobywaniu złota, albo w administracji obozowej. Jego opis jest szczerzy i bezpośredni, bez pokuszania się na



syntezę, z wyjątkiem chyba krótkiego wstępu, rozpoczynającego się dość naiwnie czterema przykazaniami sowieckiego obywatela:

"Nie myśl!

Jeśli myślisz, nie mów!

Jeśli mówisz, nie pisz!

Jeśli nie posłuchałeś trzech pierwszych przykazań, uprzedź swych przyjaciół, że spotkacie się w więzieniu!"

Nie należy zapominać, że Petrow jest przedstawicielem nowej inteligencji sowieckiej, odciętej od wpływów Zachodu, jak też nie należy zapominać, że książka została napisana *ad usum Americani*.

Nie chciałbym przez to powiedzenie obniżyć wartości książki. Wystarczy jeśli powiem, że wśród pozycji bibliograficznych dotyczących Kołomy, postawiłbym ją na pierwszym miejscu po książce Elinor Lipper.

Kazimierz ZAMORSKI.

## Europejska «Humanitas»

W swoim czasie Stanisław Brzozowski nawiązując do "Narodzin Tragedii z ducha muzyki" Nietzschego i, przeciwstawiając się mu, zaryzykował twierdzenie, że odrodzenie nowoczesne przyjdzie z ducha plastyki, to jest z nadawania plastycznego wyrazu dążeniom i aspiracjom, a zarazem z plastycznego ich harmonizowania.

Podobnego zadania podjął się autor powyższej książki, którego prace z dziedziny sztuki zaczynając od r. 1925 dały mu wielkie doświadczenie i uprawniły do śmiałej syntezy. Autor rozwija swą myśl na podstawie tezy zawartej w poprzedniej, niedużej książeczce pt. "Duch europejski a Europejczyk", iż rodzimy się Anglikami, Niemcami itd., ale musimy dopiero wychować samych siebie, aby stać się Europejczykami. Założycielami Europy i humanizmu byli starożytni Grecy, lecz to co autorowi przyświeca, sięga ponad tradycyjny humanizm filologów i ponad "Humänitatsidee" Lessinga, Herdera i Kanta. Jest to bowiem postulat dojrzałości europejskiej. Jako postulat może się wbrew całemu światu oprzeć sam na sobie jak niegdyś chrześcijaństwo, a siłę jego wykazali według autora dostatecznie Kwakrzy. Tym bardziej po doświadczeniach z dyktaturami. Zgodnie z tradycją "dunkler Drang" Goethego przypomina i cytuje wielkiego historyka Ranke, że nie przez definicję możemy

się przybliżyć do duchowej rzeczywistości tego, co nazywamy humanitas, lecz przez wskazanie i zaangażowanie. Ranke użył wyrazu "współczucie z istnieniem". Humanitas jest jądrem europejskiej wspólnoty nawet, jeśli jest przesłonięta politycznymi instytucjami, formami gospodarki i techniką. Źródłem jest według autora dawna delficka i sokratyczna dewiza "Poznaj siebie samego", samouświadomienie. Tą drogą podąża autor rozpatrując dzieje malarstwa europejskiego od Dürera do Goyi przez "współczucie z jego istnieniem".

Od XV w. artyści europejscy starali się nie tylko to przedstawić co dostrzegali ich oczy, lecz także co poruszało ich ducha i serce. Duch stał się u nich ciałem i autor zapytuje twórców i ich dzieła: co to jest humanizm? Sztuka odkrywając wspólnotę daje obrazy kierownicze (Leitbilder), lecz także może odkryć chaos, zezwierzczenie i wrogość wobec wspólnoty. Dlatego też wskazując niebezpieczeństwo i odkrywając je potrafi sama być niebezpieczna. Autor cytuje zdanie Ernsta Jüngera: Któż zna rozmiary tego niebezpieczeństwa, prawdopodobnie twory takiego malarza jak Picasso są bardziej ryzykowne niż działalność większej ilości polityków".

Zdając sobie sprawę z trudności i pułapek interpretacji i chcąc uniknąć subiektywizmu i dowolności, autor opiera się na źródłach współczesnych twórców i na ich własnych intencjach. Bo chociaż humanitas nie daje się zdefiniować tak jak abstrakcje codziennego myślenia, ale w dziedzinie sztuki daje się uzmysłowić naocznie poprzez obrazy podsuwając nam współczucie z bytem. Być Europejczykiem to znaczy być ich świadomym spadkobiercą.

Nie sposób w notatce dziennikarskiej wyczerpać a choćby streścić tę książkę. Charakterystyki malarzy i obrazów od Dürera do Goyi oparte są na wypowiedziach samych mistrzów, na zestawieniach ich ze współczesnymi pisarzami a są wynikiem długiego obcowania autora i przeżyć artystycznych głębokich i trwałych. Szczególnie przejawia się to w stosunku do baroku. W harmonizacji przejawów ducha europejskiego który niczego nie kastruje ani nie okalecza, uwzględnił autor tak odległe regiony jak skłonność do dziedzin transcendentnych a z drugiej strony to co Diderot nazwał "volupté", w której autor chce widzieć wskrzeszenie "pośrednika między ludźmi a bogami" platońskiego Erosa z Sympozjon a także pokrewieństwo z hymnem do radości Schillera pogłębionym przez muzykę 9 Symfonii. Nieoczekiwane a przecież przekonywujące są zestawienia Spinozy z Rembrandtem i wyznawców transcendentni z wypowiedzią przyjaciela Woltera, króla Fryderyka pruskiego: "nie znam Boga, lecz uwielbiam Go zawsze na chybił trafił". Postawa zresztą nieobca samemu Wolterowi.

Pociąg do okrucieństwa, potężnie przyszedł do głosu w nowszych niereligijnych czasach a w walce z herezjami także się odznaczył. Sztuka religijna stawiając mu czoło od strony męczenników i biorąc ich stronę odnosi nad nim zwycięstwo ludz-



kie. I nawet później Goya piętnuje okrucieństwo bezlitośnie, tam gdzie się jeszcze ostało także w imieniu religii. W obrazie "Egzekucja czarownicy" (str. 255) staje śmiało jako oskarżyciel przedstawiając bezmyślne bestialstwo rozradowanego tłumu rozradowanych widzów, bezgłowego niemal (głowy nie widać) kata i wynosząc ponad nich wszystkich jako jedyne go człowieka "czarownicę", dziewczynę, prawie dziecko.

Cała książka ilustrowana jest zresztą umiejętnie i przekonująco, zawiera ona w gruncie rzeczy około 150 stron tekstu i 122 ilustracje rozsiane (wbrew zwyczajowi gromadzenia ich w "imponującą" grupę na końcu) po odpowiednich miejscach książki i to z wielką dokładnością. Szkoda wprawdzie, że reprodukcje nie są kolorowe, ale podkreślić należy ich wysoką jakość. Zresztą całość wydana jest bardzo starannie, na kredowym papierze. Od koncepcji aż do każdego zdania i w wykonaniu każdego szczegółu widać znawcę, nie dyletanta.

Należy podkreślić, że w całej książce, mimo wielką śmiałość, zauważamy niepospolitą odpowiedzialność i gruntowność. Do dodatkowych zasług autora należy przypomnienie obrazów niedostępnych dla szerszej publiczności, i stąd mało znanych, jak obraz Greco "Św. Ildefons w Toledo" (z kościoła w Illescas pod Madrytem). Połączenie weryzmu hiszpańskiego z nieuchwytną atmosferą niemal mistyczną, wstającą z postaci pogodnego świętego-uczonego. Słucha nie tylko sam święty, słuchają jak gdyby jego ręce, jego pióro. Obraz ten zasługuje na pielgrzymkę, mówi autor. Przyznajmy, że niniejsza książka zasługuje na wędrowkę razem z autorem, albowiem *sub specie imaginis* zamiast rozsnuć się w pedantyczne studium, jest apelem do duchowego wysiłku czytelnika. Apelem, aby — jak niegdyś wyraził się Winckelmann o Goethem — "stać się czymś, czytając". Prawdziwa humanitas jest zarówno przekonaniem jak i działaniem, jest apelem do ciągłej realizacji życia na wzór plastycznych sztuk, do nadawania formy. Autor na zakończenie przypomina zdanie austriackiego poety Grillparzera, iż nieszczęściem naszych czasów są nie tyle jego nieszczęścia, lecz że zachwiała się wiara w możliwość doskonalenia człowieka. W konkluzji autor łączy nieoczekiwane iście platońską wypowiedź Pico della Mirandola: "Człowiek nosi w sobie załączki wszechstronnego życia i jest odpowiedzialny z ich użycia" z wypowiedzią Sartre'a: "Człowiek jest odpowiedzialny za to czym jest". Postulatem autora pozostaje: *ordo* albo *societas humanitatis*, różnie a trudniejsze, jak powiada, niż *Societas Jesu*, bo nie wymagają posłuszeństwa lecz współpracy wolnych przekonanych z dziełem codziennym.

AV.

## Pertidny Albion

Wszyscy którzy interesowali się przebiegiem wypadków wojennych na Bałkanach znają nazwisko Fitzroy Macleana, szefa Brytyjskiej misji wojskowej przy Tito. Krytyka stanowiska brytyjskiego wobec końcowej fazy działalności gen. Michajłowicza była wielostronna i nie przebrzmiała. Z niemałym więc zainteresowaniem bierze się do rąk książkę napisaną, jak się zdaje, przez tego, który przesądził udzielenie pomocy przez aliantów zachodnich Tito i zaprzestanie jej przysyłania gen. Michajłowiczowi, a przez to wziął udział w opanowywaniu Jugosławii przez komunistów, a też w doprowadzeniu do tragicznego końca gen. Michajłowicza.

Fitzroy Maclean "zrobił karierę". Kariere wprost nieprawdopodobną. Jako młody chłopak o wykształceniu klasycznym, angielskim, został przyjęty do Foreign Office i rozpoczął karierę dyplomatyczną uzyskując przydział najpierw do Ambasady Brytyjskiej w Paryżu, następnie w Moskwie. Obie placówki te arcyważne dla polityki zagranicznej W. Brytanii. Pobyt w Paryżu należał — i należy jeszcze teraz — do najprzyjemniejszych. W Moskwie natomiast młody dyplomata miał okazję zetknięcia się z aparatem sowieckim w tak interesującym okresie jak "czystka" kompartii i proces Bucharina. Procesem tym, długim, uciążliwym, tragicznym, ale jakże pouczającym, zajmuje się Fitzroy Maclean dokładnie i opisuje go w interesującej swej książce.

Żądza wrażeń, zainteresowania podróżnicze i interesy W. Brytanii w Azji skierowują wkrótce myśl żywego młodego człowieka w kierunku podróży. Odbywają się one wszakże na terenie Zw. Sowieckiego inaczej niż na całym świecie. Część książki im poświęcona zawiera barwne opisy azjatyckich krajów, do których autor dotarł. Żywo opisane są warunki, w których na terenie Zw. Sowieckiego podróżuje dyplomata, wbrew woli władz sowieckich interesujący się tym co się dzieje na obszarach Związku i na niezupełnie jeszcze zsovietyzowanych obszarach azjatyckich.

Dalszy ciąg książki to przerwa w służbie dyplomatycznej na skutek wybuchu wojny w r. 1939. Trudności z opuszczeniem Foreign Office w celu ochotniczego wstąpienia do wojska, zgłoszenie się na kandydata na posła do parlamentu jako jedyna droga do opuszczenia służby dyplomatycznej (jakże szanowany jest w Anglii udział w czynnej polityce!), uzyskanie mandatu poselskiego, zgłoszenie się natychmiastowe ochotniczo do wojska uzyskując urlop z parlamentu i od swych władz w partii konserwatywnej.

MACLEAN Fitzroy, *Eastern Approaches*. Wyd. Jonathan Cape, Londyn.



Następuje opis akcji za linią frontu nieprzyjacielskiego, dwukrotny, na Benghazi, pełnej niebezpieczeństw.

Potem wysłanie do Persji i zorganizowanie porwania gen. Zahini, podejrzanego, jak się zdaje słusznie, o tajną współpracę z Niemcami. Persja była krajem neutralnym, w bardzo trudnym położeniu. Epizod z gen. Zahini wskazuje na bezceremonialność w podejściu do spraw perskich — w tej epoce a zapewne i później. Dziwne i wcale nieodpowiadające przygotowaniu dyplomatycznemu jest stwierdzenie autora, iż uzyskał on od swoich władz zgodę na ewentualne zabicie gen. Zahini! (Ów generał wrócił po deportacji — jak pisze autor — do Persji i jest z powrotem na uprzednim stanowisku. Zapewne obecnie p. Fitzroy Maclean M.P. będzie wolał nie znajdować się na zależnym od niego terytorium). Można by mieć wątpliwości czy opisy tego rodzaju ze strony czynnego polityka służą sprawie europejskiej w Azji.

Najbardziej interesujący jest jednakże opis działalności p. Fitzroy Macleana na terenie Jugosławii. Odwaga, rzutkość, zdolności i stosunki spowodowały zawrotne awanse ochotnika-szeregowca. W całej książce daje się odczuwać brak dat. Nie ma więc ich też w dziedzinie awansów autora. Faktem jest jednakże, iż gdy na początku wojny w r. 1939 jest szeregowcem leci do Jugosławii w r. 1943 czy 1944 jako brygadier, a później uzyskuje stopień gen. majora.

Ów dyplomata, znający stosunki sowieckie z osobistego doświadczenia, ów poseł partii konserwatywnej staje się nie tylko szefem wojskowej misji brytyjskiej przy komunistach Tito ale przyczynia się walcnie do okazania mu wszelkiej pomocy ze strony władz angloamerykańskich, a w czasie zagrożenia ze strony Niemców organizuje mu schronisko pod opieką aliancką na jednej z wysp Adriatyku. Opinia Fitzroy Macleana o wartości bojowej Tita i jego partyzantów przesądza o wzmożeniu pomocy alianckiej dla Tita i o cofnięciu jej Michajłowiczowi. Szkoda że nie ma jeszcze w druku pamiętników gen. Armstronga, szefa misji brytyjskiej przy gen. Michajłowiczu. Może pamiętniki te wyjaśniłyby o ile słuszne były zarzuty stawiane gen. Michajłowiczowi i czy w razie zwiększenia udzielanej mu przez aliantów zachodnich pomocy — zamiast udzielania jej Ticie — nie było możliwości przekształcenia sił Michajłowicza w główny czynnik jugosłowiański antyniemiecki i niepodległościowy — zamiast budowania znaczenia Tita i kładzenia w ten sposób podwalin pod ustrój komunistyczny w Jugosławii.

Książka Fitzroy Macleana nie wspomina nic o dalszych losach gen. Michajłowicza, bohatera jugosłowiańskiego. Może czynił to naumyślnie, by nie wywołać porównań pomiędzy jego losem a losem Tity i nie wyciągać wniosków z tych porównań płynących.

Podczas swej wyjątkowo odpowiedzialnej i niebezpiecznej pracy autor odbywał rozmowy z wieloma wybitnymi postaciami

mi. Pisze o audiencji u Króla Jerzego VI. Była ona oczywiście wielkim wyróżnieniem dla młodocianego żołnierza i posła do parlamentu.

Ale najbardziej nas interesują cytaty rozmów autora z Premierem Churchilllem. Fitzroy Maclean cytuje zdanie Churchilla, które wskazuje na to jak bardzo był ten mąż stanu przejęty chwilą obecną, jak niedostatecznie myślał o bliskiej przyszłości i zawiera cynizm polityczny rzadko tak wyraźnie wypowiedziany. Tak np. w jednej rozmowie (str. 281) Fitzroy Maclean podaje, iż ostrzegął Premiera Churchilla o nieuniknionym zapanowaniu komunistycznych rządów w Jugosławii gdy Tito dojdzie do władzy i cytuje następującą rozmowę:

— Partyzanci... ich ostatecznym celem będzie bez wątpienia ustanowienie w Jugosławii reżimu komunistycznego, ściśle związanego z Moskwą. Odpowiedź p. Churchilla nie pozostawiła mi żadnych wątpliwości, gdy chodzi o wyjaśnienie mojego problemu. Powiedział on, że tak długo jak Cywilizacji Zachodniej grozi niebezpieczeństwo nazistowskie, nie możemy sobie pozwolić na odwracanie naszej uwagi od zadań bezpośrednich, w imię dalekosiężnych celów politycznych. Byliśmy tak samo lojalni w stosunku do naszych sowieckich aliantów jak, mam nadzieję, byli oni w stosunku do nas. Polityka musi być odsunięta na drugi plan.

A na str. 40... — Partyzanci będą decydującym politycznym czynnikiem po wojnie w Jugosławii, bez względu na to czy pomagaliśmy im czy nie, poza tym Tito i inni przywódcy ruchu byli otwartymi i wyraźnymi komunistami i system, który ustanowią, będzie niewątpliwie szedł po linii sowieckiej.

Odpowiedź Premiera rozwiała moje wątpliwości. Zapytał: — Czy ma pan zamiar po wojnie zamieszkać na stałe w Jugosławii? — Nie panie, — odpowiedziałem. Na to on: — „Ani ja nie mam tego zamiaru. A przecież tak jest — im mniej i pan i ja będziemy się martwili o to jaką formę rządu sobie ustalą — tym lepiej. Mnie interesuje jedynie, którzy z nich czynią więcej szkody Niemcom”.

Autor dodaje od siebie: — Byłem przekonany, że ta decyzja, była słuszną decyzją.

„Eastern Approaches” rzuca sporo światła na tak szeroko omawianą obecnie postać Tity. Widzimy go jako odważnego i zdolnego człowieka. Jest poza tym bardzo sprytny. Korzystał z pomocy anglo-amerykańskiej, jej zawdzięczając zapewne nie wpadł w ręce niemieckie, potrafił pomoc tę brać i nią się nie wiązać. W dogodnej dla siebie chwili, gdy wojska sowieckie szły na Belgrad, Tito potrafił zmylić czujność swych zachodnich przyjaciół i zniknąć (ta czujność zdaje się była niewystarczająca...) — udając się do Moskwy, skąd już wraca pod Belgrad w celu objęcia władzy zaraz po zajęciu stolicy Jugosławii przez wojska sowieckie. Czy Tito potrafił uzyskać pomoc sowiecką



również bez zobowiązań które musi dotrzymać? Czy też wypowiadając posłuszeństwo Kominformowi pozostał związany i faktycznie wierny zasadniczej koncepcji komunistycznej podejmując się gry arcytrudnej? Między komunizmem i antykomunizmem kompromisu nie ma. Prawdziwe stanowisko Tita wyjaśni nam przyszłość, może niedaleka.

Książka Fitzroy Macleana napisana z talentem absorduje uwagę czytelnika, interesuje i daje do myślenia, może nie zawsze to co autor by sobie życzył.

Emeryk CZAPSKI

## Dyplomacja Watykańska

Charles-Roux był ambasadorem francuskim przy Watykanie od 1932 r. do 18 maja 1940 r. w którym to dniu ówczesny premier Paul Reynaud telefonicznie odwołał go do Paryża, by go obdarzyć sekretariatem generalnym Quai d'Orsay po przepędzonym Alexis Léger. Biedny Charles-Roux cieszył się nową godnością zaledwie parę tygodni, za które później zapłacił różnymi nieprzyjemnościami — dopiero w kilka lat po wojnie został definitywnie „oczyszczony” i rehabilitowany. Trudno nam dzisiaj rozumieć, czym powodował się Reynaud powołując na czoło francuskiej służby zagranicznej, w chwili tak krytycznej, osobistość tak bladą. Z pamiętników Charles-Roux przebija na każdej stronie umysłowość trwożliwa, chorobliwie ostrożna, dość rozmiłowana w protokole i ceremoniale, przeciętna i stereotypowa. Jedno jest pewne: Charles-Roux nie był masonem i nie był intrygantem. Bywają chwile, gdy już te dwa warunki starczą, by pasować człowieka na wszystkie godności.

Charles-Roux nie ma talentu pisarskiego: stąd jego sylwetki są blade, zamazane; nie umie niczym okrasić swych wspomnień; wszystko wychodzi sztywne, drewniane. Stąd też i jego portrety obu Papieży — Ratti'ego i Pacelli'ego — choć rozciągnięte na kilkadziesiąt stronice, nie wdrażają się w pamięć czytelnika. Może mimo woli autor — bo Charles-Roux jest cały w reweransach, kurbetkach, przykleknięciach — ani Pius XI ani jego następcę nie wyrastają ponad przeciętność: są to świątki, nie żywe postacie; nie rozumiemy ani sprężyn ich polityki, ani głębszych właściwości ich charakterów. Pius XI wypadła zdecydowanie mniej sympatycznie: jako człowiek arbitralny, despotyczny, małomówny, bez większego osobistego uroku, bez wyrobienia nawet, mało obeznany ze światem, w sercu patriota włoski; jedyną jego cechą dodatnią wydaje się

CHARLES-ROUX: *Huit ans en Vatican*. Ed. Flammarion, 1949.

jego zamiłowanie do książek, zainteresowania starego bibliofila. Kardynał Pacelli wychodzi na inteligencję większą, większą głębokość i zgrabność, lecz również na człowieka słabego, pragnącego przede wszystkim nie urazić i nie obrazić; wygląda na pesymistę z urodzenia, z instynktu przewidującego najgorsze, rozmiłowanego w samej technice dyplomacji, wierzącego, że uprzejmością można zawsze coś wytagować; na człowieka miłego w obęjsciu, umiejącego sobie zdobywać sympatie, na kosmopolitę i internacjonalistę, z „ukłonem” bardzo zachodnim. Rzecz ciekawa, Charles-Roux wyraźnie daje do zrozumienia, że uważa Piusa XII za znacznie bardziej frankofilskiego niż jego poprzednika; nad stosunkiem obu do Niemiec raczej się prześlizguje, natomiast widzi wyraźną różnicę w stosunku do Włoch. Nie może ulegać wątpliwości, którego z obu Papieży woli.

Trudno twierdzić, że obraz działalności dyplomatycznej ambasady p. Charles-Roux jest bardzo imponujący. Może to rezultat jego przesadnej ostrożności, ale odnosi się wrażenie, że ambasador Francji odwiedzał Papieża wzg. Sekretarza Stanu głównie w celach protokółarnych, grzecznościowych. Z jego relacji wynika, że w czasie jego misji stosunki francusko-watykańskie rozwijały się bardzo pomyślnie, że nawet stawały się coraz serdeczniejsze, ale to wszystko działo się poza dyplomacją: elementami istotnymi były: stałe i nieprzerwane słabnięcie antyklerykalizmu we Francji, oraz niemniej stałe słabnięcie pozycji kleru francuskiego w świecie, przede wszystkim w armii misyjnej, w której francuskich pionierów coraz liczniej zastępowali Irlandczycy, Kanadyjczycy, Belgowie, Amerykanie oraz duchowieństwo tubylcze. Z książki tej wynikałoby, że z jednej strony rząd francuski zupełnie się nie mieszał do sprawy nominacji biskupów i działalności Kościoła we Francji i w jej koloniach, a z drugiej, że Watykan nie próbował nigdy poważniej czy choćby najbardziej dyskretnie wpływać na stosunki katolików francuskich z partiami katolickimi w innych krajach, jak np. w Niemczech.

Jeśli chodzi o stosunki innych krajów z Watykanem, to Charles-Roux znowu choruje na nadmierną dyskrecję. Podkreśla z naciskiem, że stosunki Anglii z Watykanem stały się za jego czasów naprawdę serdeczne. Jest to przesada: stosunki te stały się tylko bardzo poprawne. Iluzja serdeczności powstaje stąd że, jak wiadomo, w angielskiej służbie zagranicznej jest nieproporcjonalnie wysoki procent katolików, zajmujących nieraz czołowe stanowiska; i tak np. w chwili obecnej katolikami są Sir Ivone Kirkpatrick, wysoki komisarz w Niemczech i Sir David Kelly, ambasador w Moskwie, nie licząc setek pomniejszych. Ale Anglia dotąd utrzymuje przy Watykanie tylko posła, choć ambasadorów ma nie tylko w Norwegii ale i w Kabulu; nadto przedstawiciel Watykanu w Anglii (Msgr. Godfrey), ma dotąd tylko rangę delegata apostolskiego, nie



nuncjusza, bez określonej rangi dyplomatycznej. Co ważniejsza, polityka angielska jest nadal po cichu antykatolicka, co się ujawnia w jej stosunku do Hiszpanii, do Włoch, do chadeków w Niemczech itd.

Ch.-Roux bardzo pomniejsza antyklerykalną politykę Beneusza, rozwódzi się natomiast dłużej nad nieporozumieniami Watykanu z Jugosławią, przy czym w tym wypadku — po raz pierwszy i ostatni — jak gdyby nie przyznawał Watykanowi racji, twierdząc, że grały tu rolę włoskie sympatie Kurii. Podkreśla znany zresztą fakt, że Watykan nie poparł wcale korony Alfonsa XIII (tak jak już po wojnie nie wsparł ani Umberta, ani Leopolda III, ani Michała rumuńskiego, ani Symeona bułgarskiego). Przytacza charakterystyczną rozmowę z bratem cesarzowej Zyty, ks. Syxtusem Parmeńskim, którego namawiał do proszenia o audiencję u Papieża.

— Cóż bym tam robił? — odparł książę. Przecież pan wie, jak bardzo książęta krwi są źle widziani w Watykanie!

Mickiewicz i inni polscy republikanie zdziwiliby się widząc jaka zmiana tam zaszła od czasów Grzegorza XVI. Notabene, Papież nie okazał też żadnej czułości dla hr. Paryża, który zresztą, podobno, nie jest wcale Bourbonem, nawet Orleańskim.

Jeżeli mamy wierzyć Charles-Roux, to o żadnym germanofilizmie ani Piusa XI, ani kard. Pacelli nie może być mowy. Z przytoczonych z nimi rozmów przebija głęboki niepokój o los Kościoła w Niemczech, niechęć do Hitlera, troska o przyszłość, chęć ratowania co się da — ale nic więcej.

W całym okresie sprawozdawczym raz tylko autor notuje inicjatywę dyplomatyczną Watykanu w wielkim stylu: w maju 1939 r. kiedy to nowy Papież proponuje Anglii, Francji, Niemcom, Włochom i Polsce zwołanie konferencji 5-ciu mocarstw dla rozpatrzenia konfliktu polsko-niemieckiego i włosko-francuskiego. Wszystkie odpowiedzi były odmowne. Zdaje się, że Pius XII dał się porwać swej żyłce do dyplomacji, marzyły mu się sukcesy Bismarcka na kongresie berlińskim, "uczciwego pośrednika"; wydaje się też, że bardziej mu jeszcze zależało na zażegnaniu konfliktu francusko-włoskiego niż polsko-niemieckiego, przy czym co do pierwszego miał bodaj konkretne plany, gdy co do drugiego mgliste; ale w każdym razie rzadko kiedy pomysł konferencji był równie źle przygotowany, równie nierealny. Zrażony tą próbą Pius XII już jej nie podnosił, zachowywał się odtąd stale wyczekująco, z jedną myślą przewodnią: nie angażować się. Może w tym kierunku przesadził.

Nas interesują zawsze polonica. Jest ich niewiele. Charles-Roux notuje, że Pius XI zachował dobre wspomnienia z Warszawy i "tamtejszego narodu": musiał to słyszeć z ust samego Ratti'ego, ale nie podaje żadnych szczegółów. Miłkiwy Papież pewno poza ogólniki nie wychodził. Roux dodaje, że gdy Pius

XI odnowił Castel Gandolfo, jako swą letnią rezydencję — po sześćdziesięcioparoletniej przerwie — kazał tam swe prywatne apartamenty ozdobić freskami ilustrującymi historię Polski. Przyznaje, że nigdy o tym nie słyszałem. Warto by tę wiadomość sprawdzić.

Jak wszyscy Francuzi, Charles-Roux nie zadaje sobie trudu sprawdzania nazwisk: ambasadora R.P., z którym 6 lat w Watykanie kolegował, nazywa "le comte Schrynski"; nie ma zresztą słowa do powiedzenia o tym dyplomacie, którego po dzień August Zaleski uważa za najlepszego ze swych przedstawicieli zagranicą z czasów (1926 - 32), gdy był w niepodległej Polsce ministrem spraw zagranicznych. Jak cała francuska "kariera", Charles-Roux, jest silnie uprzedzony do polityki Becka, choć nie w tym stopniu co Coulondre. Pisze on, że polityka zagraniczna Becka, "oparta na złudzeniach", nie była w smak ani Piusowi XI, ani kard. Pacelli, ale nie było ich zadaniem do tego się mieszać, i na pewno tego nie robili. Ale z powodów "jak się zdaje osobistych" stosunki Becka i z Papieżem i z Pacellim się popsuly. Przejawiało się to nieobsadzeniem ambasady przy Watykanie po śmierci Władysława Skrzyńskiego przez blisko półtora roku. Roux dodaje nie bez pewnego zadowolenia: "En somme, par suite d'une coïncidence plutôt fortuite, le seul ministre polonais avec qui le Vatican ait été en froid se trouva être celui contre lequel nous-même étions en défiance"\*) (sic! co za francuszczyzna — u członka Instytutu!).

Do Becka wspomnienia ambasadora kilkakrotnie wracają. Twierdzi on, że w ostatniej rozmowie z nuncjuszem Cortesi, w przeddzień wojny, Beck bardzo szorstko odpowiedział na jego ustną sugestję — z polecenia sekretarza stanu kard. Maglione — uczynienia "jakiejś koncesji" w sprawie Gdańska i że ta szorstkość zrobiła złe wrażenie w Watykanie (inna sprawa, że żadne koncesje w Gdańsku w niczym by sytuacji nie zmieniły). Już po wybuchu wojny, powiada Ch.-Roux, "la situation de la Pologne au Vatican n'avait pas été des meilleures son principal ministre, le colonel Beck, était, par sa faute, l'objet d'une antipathie déjà ancienne"\*\*.)

Centralnym zagadnieniem dla Watykanu, głównym przedmiotem jego wysiłków i przed wojną i w pierwszym roku wojny było utrzymanie Włoch w postawie neutralnej: wszystkie inne problemy były w porównaniu z tym głównym postulatem prawie obojętne dla Stolicy Apostolskiej; odnosiło się to m. in. do konfliktu polsko-niemieckiego. We wszystkich tych sprawach Wa-

\*) W rezultacie, na skutek raczej przypadkowego zbiegu wypadków, jedyny minister polski, z którym Watykan miał kiedykolwiek chłodne stosunki, był właśnie tym, do którego my sami nie mieliśmy zaufania.

\*\*\*) Sytuacja Polski w Watykanie nie należała do najlepszych, jej główny minister, płk. Beck, był, z własnej winy, od dawna przedmiotem żywej antypatii.



tykan trzymał się ściśle neutralności. W szczególności jeśli chodzi o sprawy polsko-niemieckie Watykan wyraźnie uważał, że Polska powinna poczynić jakieś ustępstwa; natomiast w stosunkach polsko-sowieckich miał on dużo większe zrozumienie dla tez polskich. Ta dwoistość polityki Watykańskiej wobec Polski wynika z istniejących warunków i nie zmieni się za naszego życia, Beck czy nie Beck. Ale z książki Charles-Roux, tak jak ze wszystkich innych relacji, wynika, że Beck taktem nie grzeszył, a rachunek za jego wyniosłość, Polska musiała wszędzie płacić. Dyplomacja à la Mołotow może nawet Sowiety drogo kiedyś kosztować; ale kraj słaby w żadnym wypadku nie może sobie na takie grymasy pozwalać. Polityka na wyrost jest zawsze zabójcza dla wszelkiej dyplomacji.

Z innych "poloniców" zanotujemy uwagi o kardynał Hlondzie, który wychodzi w ujęciu autora na osobistość bardzo próżną i jednocześnie naiwną, bez żadnej pozycji w Watykanie, a ośmieszoną wzięciem na serio dowcipku kardynała Baudrillart, enfant terrible francuskich purpuratów, który kiedyś zabawił się na koszt Hlonda, mówiąc mu "Eminencja będzie pierwszym papieżem nie-Włochem". Od tego czasu Hlond obnosił się jako "papabile". Charles-Roux ze swej strony dodaje: "oczywiście, nie miał on cienia szansy".

I wreszcie na str. 175 ciekawa informacja o Komisji Pro Russia, na czele której stał Francuz, msgr. d'Herbigny:

"Komisja ta, o której działalności nigdy nie mogłem się dowiedzieć czegoś konkretnego, wydawała się wywiązywać ze swych zadań, ku zadowoleniu Piusa XI. Ale około 1935 r., z powodów, których nigdy nie zdołałem ustalić, jej kierownik popadł w niełaskę, a sama Komisja znikła z widowni. Nie mogę gwarantować, że została skasowana, ale w każdym razie straciła wszelkie znaczenie".

W. A. ZBYSZEWSKI.

## Nadesłane nowości wydawnicze

GUILLOT (A.). *L'horloge*. Pp. 275. (Ed. Calmann-Lévy, 1951, frs. 420).

NEUMANN (R.). *Colin Maillard*. Pp. 378. (Ed. Calmann-Lévy, 1951, frs. 530).

LIDDELL HART (B.-H.). *Défense de l'Europe*. Pp. 300. (Ed. Calmann-Lévy, 1951, frs. 630).

BAILLY (R.). *L'archange et les mirages*. Pp. 116. (Ed. Cahiers Poétiques de "Matines", 1951, frs. 200).

WYRWA (Józef). *Pamiętniki partyzanta*. Str. 285. (Wyd. Ampol Book Co, Chicago 1951).

BĄCZKOWSKI (W.). *Russia and Asia*. Pp. 43. (Ed. Institute "Reduta", Beirut, 1951).

EPSTEIN (J.). *The mysteries of the Van Vliet report*. Str. 15. (Wyd. Polish American Congress, Inc., Chicago 1951).

KOMARNICKI (W., prof. dr). *Konstytucja 3 Maja 1791 r. na tle porównawczym*. Str. 15. (Wyd. Londyn 1951).

## Résumé des principaux articles parus dans ce numéro :

### LES FAUTES MAJEURES DE LA GUERRE

L'auteur, M. Sokolnicki, commente le livre publié sous ce titre par H.W. Baldwin, collaborateur du « New York Times » pour les questions militaires, et y ajoute ses remarques personnelles. Il commence par souligner les paradoxes de la situation actuelle : renversement des conceptions traditionnelles, effondrement des autorités reconnues, révision des alliances, qui montrent incontestablement que les principes politiques proclamés par les puissances occidentales pendant la deuxième guerre mondiale, ont été déformés par des fautes essentielles.

Ajoutant à l'argumentation de M. Baldwin, l'auteur résume ces erreurs en sept points :

1° — Le manque de coordination entre la guerre et la politique et l'oubli progressif du sens véritable de la guerre et de ses buts politiques : on a fait la guerre pour obtenir la victoire... un point c'est tout.

2° — L'ignorance manifestée par les hommes d'état occidentaux, en particulier par les Américains, à l'égard des problèmes européens primordiaux : ces hommes ont été d'une naïveté touchant à l'enfantillage dans la manière dont ils ont traité les affaires russes ; ils ne connaissaient pas les peuples de l'Europe centrale ; ils ne comprenaient même pas des questions élémentaires comme la question turque ou la question iranienne. Dans les affaires polonaises, toute liberté a été laissée à Staline de tromper effrontément les gens crédules. L'auteur croit déceler, dans certaines manifestations de cette ignorance, comme l'idée de « pastoraliser » l'Allemagne ou la propagande en faveur des Soviets, des tendances voulues à éliminer les concurrents ou à se partager des zones d'influence.

3° — « La capitulation sans conditions » : l'auteur s'associe entièrement aux critiques que Baldwin formule à l'égard de cette doctrine et cite certaines déclarations d'après-guerre de Churchill qui essaye, sans succès, du reste, de dégager sa responsabilité pour les décisions prises à Casablanca. Il estime, pour sa part, que d'avoir appliqué cette formule à l'Italie et en particulier à la Hongrie, à la Roumanie et à la Bulgarie, est une double erreur désastreuse.

4° — La terreur d'une paix séparée entre la Russie soviétique et l'Allemagne : l'auteur est d'avis qu'ici la décision reposait entre les mains d'Hitler et non dans celles de Staline. Hitler était, une fois de plus, le facteur décisif, comme il l'avait été en 1939, au moment de la signature de l'accord germano-soviétique, comme il l'avait été dans le projet d'attaque de la Russie.

5° — La faillite du plan stratégique de Churchill : l'attaque de la « forteresse européenne » par le sud, par le bas-ventre, a-t-on dit. Ici, l'auteur, à l'encontre de Baldwin, critique l'ambiguïté, le manque de franchise, l'instabilité de ce plan, au cours des diverses phases de sa préparation.

6° — La légèreté avec laquelle on a traité la question de l'occupation, par les armées occidentales, des capitales de l'Europe centrale, Berlin, Prague et Vienne. L'auteur oppose l'opinion des généraux américains affirmant qu'il était sans importance d'occuper la capitale d'un pays vaincu, aux actes de Napoléon. En l'occurrence, cette négligence a contribué à l'abandon, aux Soviets, de l'Europe centrale aussi bien que de l'Europe orientale et d'une partie des Balkans.



7° — La Pologne livrée aux Soviét : M. Sokolnicki est persuadé que c'est là l'erreur capitale des puissances occidentales. Dans le fait que les auteurs anglo-saxons et Baldwin lui-même, n'apprécient pas à leur valeur la signification et le poids de cette faute, il voit, soit une dangereuse ignorance de l'histoire de l'Europe, à commencer par les partages de la Pologne, soit un besoin inconscient d'échapper aux responsabilités. L'abandon de la Pologne est un précédent qui a été suivi de l'abandon d'autres alliés comme la Yougoslavie et la Chine, et d'autres fautes, comme la coupable négligence manifestée à l'égard de la question tchécoslovaque. Cet abandon a sapé les fondements mêmes de la Charte de l'Atlantique et n'a pas peu contribué à fausser le sens moral de la guerre. Après le nouveau démembrement de la Pologne est venu celui de l'Allemagne. Jusqu'aujourd'hui, les hommes politiques occidentaux ne comprennent pas que l'Allemagne orientale est le glacis qui protège la Pologne et qu'il est impossible de donner une solution au problème allemand, c'est-à-dire de conclure la paix, sans réviser, de fond en comble, les décisions qui ont été prises au sujet de la Pologne.

#### CZESLAW MILOSZ

Poète polonais éminent, né en 1911. Etudes universitaires à Wilno. Auteur des volumes de poèmes : « Le Poème du Temps Figé » (1933); « Trois Hivers » (1936); « Sauvetage » (1945); de maints essais et articles. Pendant la guerre qu'il a passée à Varsovie occupée, il a publié clandestinement une anthologie de poésie : « Le Chant Indépendant » et sa traduction de « A travers le Désastre » de Jacques Maritain. Dans ses poèmes de cette période, il luttait contre l'indifférence de certains cercles vis-à-vis de l'extermination des Juifs par les Allemands. Il est connu comme traducteur de poètes anglais, français et américains. Les critiques soulignaient la grande valeur de sa traduction de la comédie de Shakespeare « Comme il vous Plaira » qui a été jouée par le Théâtre National de Varsovie. Il est parent de l'écrivain français Milosz qui est rangé aujourd'hui parmi les plus grands poètes du XX<sup>e</sup> siècle. Dans les années 46-50, il a été attaché culturel de l'Ambassade du Gouvernement de Varsovie à Washington, et, dernièrement, le premier secrétaire pour les affaires culturelles à Paris. Son article NON, publié dans ce numéro ainsi que son Credo poétique composé de plusieurs poèmes, nous apportent les raisons pour lesquelles il a décidé de rompre avec le gouvernement de Varsovie et de devenir un émigré.

En constatant qu'il savait apprécier pleinement les réformes sociales introduites en Pologne, il fait entendre qu'il pouvait accepter la nouvelle situation dans son pays, seulement aussi longtemps qu'il pouvait remplir ses obligations d'écrivain. Il considère la vérité comme étant le devoir de l'écrivain, en identifiant l'art avec la vérité. On proclama dernièrement dans les pays de démocraties populaires le « réalisme socialiste » comme une doctrine officielle, ce qui en pratique signifie l'imitation servile des exemples soviétiques et l'impossibilité d'écrire honnêtement. Le caractère de la littérature, dans les pays de la « Nouvelle Foi » est, d'après lui, complètement différent de ce qui était jusqu'à présent connu sous ce nom. Le matérialisme dialectique, avec les corrections introduites par les Russes, s'appelle méthode scientifique pour connaître la réalité. La littérature, étant une méthode non scientifique mais visionnaire de la connaissance doit alors

être subordonnée complètement à la dialectique. Il est interdit à l'écrivain de raisonner. Il est soumis aux directives de ceux qui possèdent le savoir scientifique. Ensuite, Milosz étudie les buts qui auraient pu justifier le renoncement de la littérature à son rôle de jadis. La littérature considérée comme une fonction de propagande peut être justifiée si elle aide à la formation d'une structure sociale où les hommes seront heureux. Ce à quoi voudrait tendre le stalinisme à travers des dizaines d'années de souffrances pour les millions de gens, n'est rien d'autre que l'accomplissement des temps et la fin de l'histoire.

Si les idées de la fin de l'histoire nous paraissent absurdes et impossibles à accepter, alors on ne peut trouver les raisons pour lesquelles un écrivain devrait fermer les yeux sur la complète suppression des valeurs éthiques et esthétiques, ce qui est, comme on le prétend, indispensable pour atteindre le but et qui ne peut absolument pas racheter les crimes commis en son nom.

Il répond à l'argument suivant lequel nous avons affaire ici avec la nécessité historique et que la liberté de l'homme consiste, comme le disait Hegel, en la compréhension de la nécessité, ce qu'il ne peut reconnaître. Pour l'homme primitif, céder aux forces de la nature paraissait une nécessité. Pour l'homme du XX<sup>e</sup> siècle l'institution de l'esclavage réintroduit en Russie, paraît être une nécessité. De même que les forces de la nature furent maîtrisées par l'homme, de même les forces du mécanisme social en face desquelles il se sent impuissant, seront maîtrisées. La tâche de l'écrivain est d'aider l'humanité dans cette mission. Par contre, cette fonction est interdite aux écrivains dans les démocraties populaires et réservée aux dialecticiens de Moscou.

#### WITOLD GOMBROWICZ — « TRANS-ATLANTYK ».

Witold Gombrowicz fit paraître, avant la guerre, son premier roman, « Ferdurdurke » qui éveilla la plus vive curiosité dans les milieux littéraires polonais.

En 1939, la Compagnie de navigation polonaise « GAL » invita Gombrowicz à prendre part au premier voyage du paquebot « Chrobry » à Buenos-Aires. Le romancier arriva en Argentine huit jours avant la guerre et resta retranché de la Pologne. Il ne regagna pas son pays après la fin du conflit et habite encore aujourd'hui l'Argentine.

« Ferdurdurke », traduit, parut en espagnol en 1947 et ne fut pas moins bien accueilli par les intellectuels d'Argentine et d'Amérique latine que par ceux de Pologne. « La Nation », l'un des plus grands et des plus sérieux quotidiens d'Argentine, pour bien marquer l'intérêt qu'éveilla l'ouvrage dans les milieux intellectuels, rappelle que vingt personnes s'employèrent à sa traduction.

D'éminents écrivains argentins, comme M. Galvez et E. Martinez Estrada parlent de « Ferdurdurke » en termes des plus flatteurs, soulignant son originalité et sa puissance.

Un drame « Slub » (Mariage) que Gombrowicz publia en espagnol deux ans après « Ferdurdurke », drame éminemment ambitieux dans sa conception et novateur dans les moyens artistiques mis en œuvre, fit à nouveau sensation et valut à son auteur de nombreux admirateurs passionnés. De nombreux critiques ont qualifié ce drame d'œuvre de grande envergure.

Entreprenant de publier des fragments du nouveau roman de Gombrowicz, « Trans-Atlantyk », nous avons pensé qu'il était utile de soumettre



ces quelques lignes à l'attention de nos lecteurs. Il s'agit d'un écrivain qui dit lui-même que « même dans des conditions normales, son œuvre est une noix difficile à croquer et plus difficile encore à avaler. »

### LETTRE D'ANGLETERRE

La situation actuelle a ceci de paradoxal que la seule puissance, capable d'imposer au monde une organisation internationale digne de ce nom, (les Etats-Unis), ne veut pas le faire. Par contre, la seconde puissance du monde, quant à l'étendue, (la Russie), tout en ne possédant pas d'aussi grandes ressources matérielles, est décidée à imposer le système communiste à l'univers.

L'auteur analyse tour à tour les opinions qui sont les plus répandues dans les pays anglo-saxons au sujet de la Russie et du communisme, les qualifiant d'opinions-types, depuis le programme des travaillistes qui sont au pouvoir et le programme d'éléments de gauche plus radicaux que les travaillistes, jusqu'à celui des partisans d'une fédération atlantique, assez peu nombreux, du reste.

Ces manières de voir, pour diverses qu'elles soient, se rejoignent pourtant en un point, la conviction qu'il est possible que les démocraties anglo-saxonnes et la Russie communiste coexistent dans la paix.

Dans les démocraties occidentales et en Amérique, on trouve encore des relents de la croyance du XVIII<sup>e</sup> siècle en la perfectibilité humaine, la persuasion, l'argumentation et la diplomatie. La Russie, elle, a la conviction que le nouvel ordre international ne peut être imposé au monde que par la force; ce n'est qu'après la victoire que la révolution mondiale devrait être proclamée. Elle a du reste appliqué ce programme dans les pays satellites.

L'auteur est persuadé que l'Amérique imposera un jour au monde le cadre d'une véritable organisation internationale mais non sous la pression de Washington mais sous la pression... de Moscou.

Encore quelques succès de la Russie et les Américains se rendront compte que le paiement de tributs successifs au bandit n'assure pas la paix, ne diminue pas les risques de guerre et coûte très cher. Quand cette certitude se généralisera en Amérique, alors il se peut que le conflit éclate pour un oui ou pour un non et les Américains acquerront la conviction que la voie la plus courte pour atteindre la paix, c'est d'en finir avec le ganster et d'imposer de force au monde la « pax americana ».

C'est alors que le plan d'édification d'un monde unifié que Moscou est seule à vouloir réaliser aujourd'hui, sera réalisé par Washington, dans une « version corrigée ». Que cela nous plaise ou nous déplaise, celui qui triomphera de la Russie est celui qui lui ravira l'initiative de la planification de l'univers.

A côté des articles et essais résumés ci-dessous, ce numéro contient, sous la plume de Jean Librach, une esquisse historique intéressante des relations américano-soviétiques qui renferme toute une série de détails peu connus.

Le poète polonais en renom, Joseph Lobodowski qui dirige les émissions en langue polonaise à la radio-diffusion de Madrid, analyse la correspondance véritablement sensationnelle qu'il reçoit de Pologne par les voies les

plus diverses. Les lettres qui parviennent ainsi à Madrid reflètent l'état d'esprit de la population polonaise sous l'occupation soviétique et permettent d'enregistrer les progrès de la soviétisation.

Le correspondant de la « Kultura » en Allemagne, Bogdan Konasiewicz souligne, dans la population allemande, une tendance sans doute trop sous-estimée par les Américains, à garder une neutralité aussi complète que possible en cas de conflit et examine, en même temps, les possibilités de collaboration polono-allemande.

Notre « revue des livres » contient la critique des ouvrages suivants : Elinor Lipper, « Onze ans dans les bagnes soviétiques »; Vladimir Petrow, « Soviet Gold »; A.-E. Brinckmann, « Europäische Humanitas »; François Charles-Roux, « Huit ans au Vatican »; Fitzroy Maclean, « Eastern Approaches ».

Na terenie Stanów Zjednoczonych został powołany do życia Komitet Organizacyjny Międzynarodowego Stowarzyszenia Artystów Polskich, Czechosłowackich, Węgierskich, Jugosłowiańskich i Bułgarskich, którzy zmuszeni zostali do emigracji zza żelaznej kurtyny.

W celu zapoznania opinii publicznej na zachodzie z pracami artystów, reprezentujących na uchodźstwie wolną twórczość tych krajów, Komitet Organizacyjny postanowił zorganizować w New Yorku wystawę z chwila, gdy Stowarzyszenie Artystów zostanie powołane do życia. Następnie podobne wystawy zostaną zorganizowane we wszystkich głównych ośrodkach kulturalnych zachodniej półkuli. Jednym z celów tych wystaw będzie ugruntowanie przekonania na zachodzie, iż sztuka środkowo- i wschodnio-europejska przez wiele wieków oparta na tradycjach kultury zachodniej, niezawodnie stanowi część składową oraz cenną wartość kulturalną dla świata demokratycznego.

Następnym ważnym zadaniem Komitetu Organizacyjnego jest zdobywanie stypendiów oraz funduszy dla tur odczytowych jak też zapewniania środków do życia artystom, którzy znaleźli się na emigracji. Zrealizowanie tych celów umożliwi artystom z krajów Europy Środkowo-Wschodniej kontynuowanie ich prac artystycznych jak również udostępni im zapoznanie się z nowoczesną sztuką zachodnią i jej najnowszymi kierunkami.

Z tego to względu zwracamy się do wszystkich polskich, czechosłowackich, węgierskich, rumuńskich, jugosłowiańskich i bułgarskich rzeźbiarzy, malarzy, artystów-grafików i architektów, znajdujących się na uchodźstwie z prośbą o nadsyłanie na adres niżej podany swych krótkich życiorysów (w języku angielskim, francuskim lub niemieckim), opisu swych dotychczasowych osiągnięć, fotografie swych prac, informacji dotyczących obecnego zajęcia oraz aktualny adres.

Mr. Elemer K. Kezdi, Secretary of the Preparatory Committee, International Society of Exiled Artists, 68-03, 41 Avenue, Woodside, L.I., N.Y., U.S.A.



## Listy do Redakcji.

Szanowny Panie Redaktorze,

Dziwię się, że artykuł Ojca I. M. Bocheńskiego "Biblia i Brewiarz" nie wywołał dotychczas żadnych ech mimo, że dotyczy on najważniejszego zagadnienia politycznego na emigracji. Nawiasem mówiąc podział na tych, którzy na zagadnienie uchodźstwa patrzą tak, jak Ojciec Bocheński, tudzież na przeciwników jego punktu widzenia jest jednym z dwóch istotnych podziałów naszej emigracji. Ponieważ jest istotny nie ma nic wspólnego z podziałem na partie i w każdej partii znajdują się zwolennicy i przeciwnicy zrobienia z nas Żydów XX stulecia. Sam należę do zwolenników tej koncepcji, jako że do antypolonizmu zdążyłem się już przyzwyczaić.

Chodzi mi tu jednak o coś innego. Ponieważ projekt Ojca Bocheńskiego dotyczy sprawy bardzo ważnej i dałby się urzeczywistnić stosunkowo niewielkimi środkami istnieją wszelkie warunki ku temu, by miarodajne czynniki okazały wobec niego swoje zupełne desinteressement.

Wobec tego powstaje miejsce dla inicjatywy prywatnej. Czyżby Pan, Panie Redaktorze, nie zainteresował się możliwością utworzenia komitetu redakcyjnego Brewiarza Polskiego i czyby Pan nie rozpiisał nań subskrypcji?

Skoro już jesteśmy przy sprawie słowa drukowanego muszę jeszcze poświęcić parę słów polemice p. Z. K. z moim twierdzeniem, że do robotników polskich w Niemczech w czasie wojny polskie słowo drukowane nie docierało w żadnej postaci. Pan Z. K. cytuje kilka przykładów jego docierania. Możliwe. Co do mnie, to sam przebywałem w trzech obozach pracy przymusowej i o żadnych bibliotekach nie słyszałem. Pytałem się również wielu byłych robotników przymusowych, którzy potwierdzili słusność moich informacji. Nieco korzystniej przedstawiała się sprawa obozów robotników, zgłaszających się dobrowolnie, którzy mogli wyjeżdżać na urlopy do Kraju. Oczywiście "gadzinówek", o których pisze p. Z. K. nie uważam za polskie słowo drukowane — to było najwyżej niemieckie słowo drukowane po polsku. Dla ścisłości można by było zamiast "nie docierało wcale" napisać "nie docierało prawie wcale".

Pan Z. K. wyraża dalej wątpliwości co do tego, czy wartownicy utrzymują się na wyższym poziomie moralnym niż mieszkańcy obozów cywilnych. Wszystko zależy od tego, co się przez wyższy poziom moralny rozumie. Chętnie przyznam p. Z. K., że wykroczeń przeciw 6-temu przekazaniu jest wśród granatowych chłopców więcej niż w domach IRO dla starców. Albo, że spożycie alkoholu w kompaniach jest większe niż w obozie dla dzieci Bad Aibling. Ale trzej kapelani kompanii wartowniczych oświadczyli mi bez wahania, że młodzi ludzie, służący w kompaniach od dłuższego czasu są dużo więcej warci od tych, którzy obecnie z obozów do kompanii napływają.

Wojciech ZALESKI.

Wydawca: EDITION ET LIBRAIRIE « LIBELLA »

12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV<sup>e</sup>)

Directeur-gérant: M<sup>me</sup> Christiane Karasiewicz.

Dépôt légal: 2<sup>e</sup> trimestre 1951.

# KULTURA

pod redakcją Jerzego Giedroycia

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (Seine-et-Oise).  
Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

## PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		½-roczna	Roczna
<b>FRANCJA:</b> «Libella», 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris IV <sup>e</sup> .....	120 fr.	770 fr.	1440 fr.
<b>W. BRYTANIA:</b> «Gryf» Publications Ltd., 169/171, Battersea Church Road, London, S.W.11.	3 sh.	16 sh.	39 sh.
<b>WŁOCHY:</b> Jan Grochowski, 81, via della Croce, Roma .....	200 lir	1200 lir	2000 lir
<b>SZWECJA:</b> Red. Norbert Żaba, Kalkskärsgatan 3/IV, Stockholm .....	2,50 kr.	12 kor.	2½ kor.
<b>NIEMCY:</b> «Ostatnie Wiadomości», 17a, Mannheim-Sandhofen, 4094 LSCO Schönau, U.S. Zone	2,50 DM	15 DM	25 DM
<b>ARGENTYNA:</b> Tadeusz Dąbrowski, «Składnica Książki Polskiej», Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires .....	6 peso	36 peso	72 peso
<b>KANADA:</b> Books and Newspapers Agency, H. R. Radomski, 83, Front St. E., Toronto/Ont. ....	75 cent.	4 dol.	6 dol.
<b>U.S.A.:</b> Na stan New York: W. Bieńkowski, «Gryf Publ.», 808, Wager St., Utica, N.Y. Na stan Illinois: Józef Białasiewicz, 1165 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill. Na stan California: L. Dudarew-Ossetyński, 28471 Ventura Boulevard, Agoura, California. Na stan Michigan: Kazimierz Trojanowski, 6042 Jos. Campau, Detroit 11, Mich. Na stany Ohio, New Jersey, Pennsylvania, Indiana, Wisconsin, Florida, Virginia i West Virginia: Chrystian M. Kretowicz, 1828 Glenwood Ave, Toledo 2, Ohio. Na pozostałe stany: M. K. Dziewanowski, 27 Aberdeen Ave, Cambridge, Mass. ....	75 cent.	4 dol.	6 dol.
<b>BELGIA i KONGO BELG.:</b> Marie Christ. Janta-Pończyńska, 24, Grande Rue au Bois, Bruxelles, 3, Konto Chèque Postal 244 113 — Bruxelles.	25 bfr.	120 bfr.	210 bfr.
<b>AFRYKA POŁUDNIOWA:</b> Janusz Kruszyński, 71, Raglan Street, Sydenham, Johannesburg .....	3 sh.	16 sh.	30 sh.
<b>AUSTRALIA:</b> «Vistula» (Australia) PTY, Ltd., 77, Pitt Street, Sydney .....	4 sh.(a.)	£A1.0.3.	£A1.18.0.
<b>BRAZYLIA:</b> Prenumeraty przyjmują: Julia Barcińska, r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de Janeiro, oraz Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana .....	15 cruz	90 cruz	150 cruz

W krajach niewymienionych prenumeratę liczymy tak jak we Francji, doliczając na koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie.

Koszta przesyłki pojedynczego numeru: 30 fr. fr.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 1, Av. Corneille, Maisons-Laffitte (S.-et-O.).

Redaktor przyjmuje po uprzednim porozumieniu się listownym lub telefonicznym

Redakcja KULTURY rękopisy nadesłane a nie zamówione zwraca jedynie przy załączeniu znaczków pocztowych na porto

KULTURA omawia w pierwszym rzędzie książki i czasopisma nadsyłane do redakcji w 2-ch egzemplarzach

Cena ogłoszeń: cała strona 6.000 fr. fr.; ½ strony 4.000 fr. fr.



# Cena niezależności

Próbowaliśmy dotąd — mimo generalnej zwyżki cen — nie podnosić ceny pisma. Wymowa cyfr okazała się jednak silniejsza od naszych najlepszych chęci. W ciągu ostatniego roku papier podrożał o 70%, koszty druku o 18%, introligatorni o 50%, a dalszych podwyżek należy spodziewać się w najbliższej przyszłości. Zmusza nas to do podniesienia prenumeraty i ceny pojedynczego numeru **o 25% na terenie Francji i krajów bloku szterlingowego oraz Włoch**, to jest na terenach, gdzie cena pisma była najniższa.

Chcąc jednak choć w drobny sposób podziękować naszym dotychczasowym prenumeratorom za życzliwość i pomoc, a naszych stałych czy przygodnych czytelników zachęcić do prenumeraty — podwyżkę wprowadzamy dopiero od nowego półrocza, tj. od 1-go lipca 1951.

**Podwyżka nie dotyczy prenumerat już opłaconych ani prenumerat, które wpłyną przed 1 lipca 1951.** Zwiększenie ilości prenumeratorów zabezpiecza bowiem byt i niezależność pisma.

## PREUVES

Cahiers Mensuels du Congrès  
pour la Liberté de la Culture

*défend l'indépendance spirituelle de l'homme  
partout où elle est menacée.*

Le numéro de 32 pages, illustré ..... 30 fr.  
Abonnement annuel : France ..... 300 fr.  
Etranger ..... 450 fr.

**PREUVES** : 41, avenue Montaigne — PARIS (8<sup>e</sup>)

Téléphone : ELY 56-61 et 63 — C.C.P. : 17.800 Paris.

NUMÉRO SPÉCIMEN SUR DEMANDE.

**Cena 120 frs.**